

DU VEUZIT MAX

MÓJ NIEZNANY MAŻ

Młoda, uboga Francuzka po otrzymaniu starannego wychowania w szkole klasztornej znajduje zajęcie w domu pewnej arystokratki. Spokojny tryb życia zostaje gwałtownie przerwany niezwykłą wiadomością. Panna Simona dowiaduje się, że od czterech lat jest żoną angielskiego lorda. Natychmiast przystępuje do rozwikłania zagadki tego małżeństwa, a później walczy o odzyskanie wolności. Jakież burzliwe mogą być narodziny gorącej miłości, zwłaszcza... w cztery lata od dnia ślubu.



ROZDZIAŁ I

Owego pamiętnego dnia Anna Maria, pokojówka pani Nordin, weszła do mojego pokoju, trzymając w ręku jakiś list.

W ciągu dwóch miesięcy, które już spędziłam w pałacu des Fresnes, dziewczyna ta prześladowała mnie z lekka tylko maskowaną antypatią. Źródłem niczym nic usprawiedliwionego stosunku do mnie była prawdopodobnie zazdrość. Jadałam przy wspólnym stole z mymi chlebobdawcami, dotrzymywałam stale towarzystwa pani Nordin, która darzyła mnie zaufaniem i wtajemniczała w swoje prywatne sprawy. Przede wszystkim zaś otrzymałam oddzielny apartamencik na piętrze przeznaczonym dla gości. Anna Maria nie mogła darować tego, że traktowano mnie lepiej niż służbę domową.

— Niezbyt obfita poczta — zapowiedziała już od progu dziewczyna, wymachując kopertą. — Za to dzisiejszy list jest prawdziwą rewelacją!

Obracając kopertę w palcach, wybuchnęła nieprzyjemnym, a nawet wręcz obraźliwym śmiechem, po czym głośno odczytała adres na kopercie:

— *Wielmożna Pani Walterowa Anderson, z domu Simona Montagnac, lektorka pani Nordin, w pałacu des Fresnes, poczta Clańgny, departament Eure.* A więc jest pani mężatką? Winszuję, panno Simono Montagnac, bo przecież tak każe się pani tu tytułować. Jeśli ma się za sobą pewne przeżycia małżeńskie i ukrywa się je tak starannie, jak pani to robi, to coś musi tam być niezupełnie w porządku... Jestem tylko prostą dziewczyną z ludu, ale wolę po stokroć głośno i otwarcie przyznać się, że mam kochanka, który zresztą poślubi mnie po żniwach, niż wstydliwie ukrywać fakt posiadania prawowitego męża, tak jak pani to robi.

Oślupiała z wrażenia mierzyłam pokojówkę zdumionym wzrokiem.

— Cóż to znów za historia? — zapytałam, nie bardzo orientując się jeszcze o co chodzi, lecz już bezwiednie przygotowując się na odparcie ataku.

— Proszę mi podać ten list, jeśli istotnie jest on do mnie zaadresowany, i nie wtrącać się do tego, co do panienki nie należy.

Ale dziewczyna uszczęśliwiona, że wreszcie znalazła pretekst, aby mi ubliżyć, nie śpieszyła z zakończeniem rozmowy. Wciąż trzymając w ręku ów rewelacyjny list, terkotała bez przerwy:

— Patrzcie państwo! Mężatka! A udaje skromną panienczkę nie znającą życia. Niewiniątko, co to ledwo wysunęło nosek z klasztoru i rumieni się przy każdym śmielszym słówku. Można skonać ze śmiechu. Pani Walterowa Anderson. A to ci dopiero

kawał... Nawet nie może pani zaprzeczyć, bo koperta posiada oficjalny nadruk pana Dargile, notariusza z Evreux. Taki poważny notariusz chyba wie, co pisze? — Nowy wybuch śmiechu powstrzymał potok jej słów. Raczej rzuciła, niż podała mi, ów list i okręciwszy się na pięcie ruszyła ku drzwiom, wołając po drodze: — Pani Walterowo Anderson. Serdeczne pozdrowienia dla małżonka, kiedy pani będzie pisać do niego. — Jej beczelny śmiech słyszeć było jeszcze długo po zamknięciu drzwi.

Nieoczekiwana i zupełnie niezrozumiała dla mnie tyrada tak mnie zaskoczyła i dotknęła, że zastygłam w miejscu jak sparaliżowana. Nie mogłam się zdecydować na otwarcie koperty. Obracałam ją na wszystkie strony, tak jak to robiła przed chwilą pokojówka, i oglądałam z zaciekawieniem.

Przede wszystkim przykuł mój wzrok nadruk koperty.

M. Dargile, notariusz w Evreux (Eure). Owo lakoniczne zdanie pozbawiało kopertę wszelkich pozorów żartu, pan Dargile bowiem istniał *rzeczywiście*. Był pełnomocnikiem mojej chlebodawczyni i o ile mnie pamięć nie myli, prowadził również interesy mojej przedwcześnie zmarłej matki. Skądinąd nie przypominam sobie, żeby w ciągu ostatnich kilku lat interesował się kiedykolwiek moją osobą, gdyż po śmierci matki rolę opiekuna zaofiarowano innemu prawnikowi, panu Bertheim.

Pani Walterowa Anderson, z domu Simona Montagnac.
Cóż znaczy ten kiepski żart?

Anna Maria mogła dać wiarę tym słowom. Ale ja? Wiedziałam, że nie jestem mężatką. Jedynym nazwiskiem, którym mogę się posługiwać, jest to, które mi rodzice pozostawili w spadku. *Z domu Simona Montagnac*. Byłam nią i jestem nadal. Tylko jakaś omyłka czy niedopatrzenie urzędnika mogło skojarzyć moje imię z osobą Waltera Andersona.

Przypuszczalnie biuralista pisał jednego dnia dwa listy. Jeden do pani Walterowej Anderson, drugi zaś do mnie. Przez nieuwagę poplątał obie adresatki i dolepił mi nazwisko tej drugiej.

Bawiłam się kopertą, nie mając odwagi jej rozpieczętować. Moja wrodzona prawość wystawiona była na ciężką próbę. Czy treść tego listu przeznaczona jest dla mnie, czy też nieuważny urzędnik, wsunął do koperty dokumenty dotyczące jedynie interesów jakiejś pani Anderson, której nazwiskiem niebacznie mnie obdarzył?

Po wahaniach doszłam jednak do wniosku, że mam prawo odpieczętowania listu. Jeżeli zawartość koperty przeznaczona jest dla mnie, to omyłka dotyczy wyłącznie koperty, jeżeli zaś przekonam się, że jest przeciwnie, będzie mi łatwo usprawiedliwić mimowolną niedelikatność, powołując się na moje imię i nazwisko figurujące w adresie.

Zdecydowanym ruchem rozdarłam kopertę. Zawierała typowy blankiet, którego puste miejsca wypełniono ręcznie. Nie umiem wyrazić mojego zdumienia rosnącego w miarę, jak zapoznawałam się z treścią tej epistoły.

J. W. Pani Simona — Ludwika Montagnac, małżonka Waltera Andersona, urodzona w Paryżu dnia 27 listopada 1912 roku, proszona jest o przybycie jak najprędzej do kancelarii notariusza w sprawie dotyczącej jej osobiście.

Dargile — Notariusz w Evreux.

Dwukrotnie odczytałam urzędowe wezwanie, powtarzając bezwiednie:

— Moje nazwisko, imiona, daty mojej metryki, wszystko się zgadza, ale co to ma wspólnego z jakimś Walterem Andersonem?

Nie znałam nikogo takiego, co więcej, mogłam przysiąc, że nigdy w życiu o nim nie słyszałam.

Rzuciłam się w kierunku biurka, by zabrać się do skreślenia najkategoryczniejszego protestu, lecz powstrzymała mnie inna myśl.

— Z panem Walterem Andersonem, czy też bez niego, pan Dargile chce się zobaczyć ze mną... z Simoną Ludwiką Montagnac... Czyż nie prościej zamiast pisać, odwiedzić go osobiście? Wymiana listów zajmie znacznie więcej czasu, a mnie zależy na tym, żeby pomyłka była możliwie najszybciej wyświetlona.

Projekt ten postanowiłam urzeczywistnić jeszcze tego samego dnia. Pobiegłam szybko na dół do pani Nordin, by poprosić ją o zwolnienie na cały dzień. W drzwiach pokoju minęła mnie Anna Maria, wychodząca właśnie od naszej chlebodawczyni.

Niesympatyczna twarz aroganckiej subretki była rozbawiona, a drwiący uśmiezek, jakim mnie obdarzyła w przejściu, uświadomił mi, że właśnie przed chwilą poinformowała panią Nordin o dziwnie zaadresowanym liście. Raptem cała ta historia wydała mi się wysoce zabawna.

Z łatwością uzyskałam od pani Nordin pozwolenie opuszczenia pałacu na całe popołudnie. Starsza dama nie mniej ode mnie była oburzona mistyfikacją, której padłam ofiarą.

— Panienska, którą zakonnice mi tak gorąco polecały, wychowana w klasztorze? Ten niezręczny notariusz zasługuje co najmniej na ostrą wymówkę.

ROZDZIAŁ II

Na zegarze miejskim biła druga po południu, kiedy przekroczyłam próg kancelarii pana Dargile. Był to podłużny, smutny pokój wypełniony zakurzonymi aktami, porozrzucanymi bez ładu i składu, w którym stało kilka stolików zawalonych papierami.

Utkwione we mnie ciekawe i wyzywające spojrzenia urzędników, wprawiły mnie początkowo w zakłopotanie. Na szczęście z drugiego kąta sali zwrócił się do mnie ktoś z miłym głosem:

— Czego pani sobie życzy? — zapytał uprzejmie mężczyzna w sile wieku, odgradzony od pozostałych urzędników drucianą siatką.

— Czy mogłabym mówić z panem Dargile? — odpowiedziałam podchodząc bliżej.

— Pan Dargile jest obecnie bardzo zajęty i wątpię, czy zechce panią dziś przyjąć, zazwyczaj wyznacza godzinę swym klientom.

— Otrzymałam właśnie wezwanie, w którym podkreśla, że pragnie mnie widzieć jak najszybciej w swej kancelarii.

— Ach! Może pani byłaby tak uprzejma podać swoje nazwisko.

Mimo woli zadźwięczał mi w uszach nieznośny głos Anny Marii, tytułującej mnie panią Walterową Anderson, położyłam więc specjalny nacisk na słowo panna.

— Panna Simona Montagnac? — powtórzył sekretarz pana Dargile, jak gdyby szukając pamięcią, skąd jest mu znane to nazwisko. Równocześnie szybko przebiegł oczami spis różnych nazwisk, leżący tuż pod ręką na jego biurku. Wydało mi się, że jego poszukiwania okazały się bezowocne i przyznam się, że sprawiło mi to zawód. Lękałam się, że na skutek jakiejś drobnej pomyłki w adresie odbyłam tę podróż zupełnie zbytecznie.

— Nie orientuję się, w jakiej to sprawie? — szepnął jakby do siebie, a głośno dodał: — Jak dawno doręczono pani to wezwanie?

— Dziś rano.

— Ach tak — zauważył nie bez zdziwienia, po czym wstał z krzesła i zapraszając mnie ruchem ręki, żebym usiadła, rzekł: — Pani będzie łaskawa spocząć! Pójdę do pana Dargile i dowiem się, o co chodzi.

Znikł za drzwiami. Wszystko to zaczynało być coraz bardziej tajemnicze. Po paru sekundach urzędnik powrócił.

— Pani będzie łaskawa wejść. Pan Dargile oczekuje panią.

Wydało mi się, że ujrzałam w jego oczach zaciekawienie, którego przedtem nie było. Zrobiło mi się jakoś nieswojo.

Czego jeszcze mogłam się obawiać? Zaznaczyłam już, że pana Dargile nie znałam. Jego widok nie wywołał również żadnego wspomnienia. Widziałam go po raz pierwszy w życiu.

Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni o poważnej, opanowanej, lecz niezwykle sympatycznej twarzy. Uprzejmym gestem wskazał mi krzesło i jak człowiek, który umie cenić czas, od razu przystąpił do sprawy:

— Prosiłem panią listownie, żeby pani chciała odwiedzić moją kancelarię, ponieważ chcę ostatecznie uporządkować, jeśli to jest możliwe, wszystkie zaległe sprawy dotyczące pani, na które natrafiłem przypadkowo po przejrzaniu akt pana de Bertheim.

— Akt pana de Bertheim — powtórzyłam.

— Tak. Bertheim zmarł przed paroma miesiącami. Nie jest to chyba dla pani nowiną. Jeśli się nie mylę, był pani opiekunem po śmierci rodziców.

— Tak, ale nie wiedziałam, że już nie żyje.

— Niestety. Po jego śmierci powierzono mnie i adwokatowi Lecourt zrobienie inwentarza jego akt i załatwienie bieżących spraw. Pragnę zaznaczyć, że nie pociąga to ze strony pani żadnych dalszych zobowiązań w stosunku do mnie. Może pani sobie wybrać innego pełnomocnika. A nawet jeśli pani sama nie chce się zająć swymi interesami, proszę mi

tylko podać nazwisko adwokata, któremu pani udzieli pełnomocnictwa.

Ton głosu pana Dargile był naturalny i niezmiernie uprzejmy, jednakże wydało mi się, że nie bardzo mu zależy na tym, żebym pozostała jego klientką. Uśmiechnęłam się smutno.

— Nie posiadam żadnego majątku ani... krewnych. Mogę liczyć wyłącznie na siebie i utrzymuję się z własnej pracy, dlatego nie mam potrzeby korzystać z usług plenipotenty. Jeżeli śmierć pana Bertheima ma jakiś związek z moimi interesami, będę panu bardzo wdzięczna, jeżeli pan mi to wyjaśni i zechce załatwić co potrzeba.

— Mój Boże. Oczywiście, że jego śmierć nie jest dla pani bez znaczenia. Wprawdzie małżeństwo usamodzielnia panią całkowicie, a świeżo osiągnięta pełnoletniość pociąga za sobą tylko kilka drobnych formalności bez znaczenia, jednak mąż pani, pan Walter Anderson, zaniedbał załatwić kilku ważnych spraw. Trwa to już od czterech lat. Śmierć de Bertheima pozbawia panią doradcy, który mógłby prowadzić nadal pertraktacje z adwokatem londyńskim i bronić pani interesów.

— Przepraszam, aleja nic nie rozumiem — przerwałam panu Dargile.

Cierpliwie, wciąż tym samym uprzejmym tonem notariusz usiłował wytłumaczyć mi sytuację, wymawiając z naciskiem każde słowo:

— Chodzi mi o to, że sytuacja zmusza panią do posiadania obrońcy prawnego. Nie może pani być zupełnie bezbronna wobec stanowiska pani męża.

— Mego męża? Ależ ja nie mam męża, panie notariuszu.

— Pana Waltera Andersona.

— Nie znam go. Pan się myli, to widocznie nie o mnie chodzi.

— Jednakże...

— Ależ zaręczam panu, że nie. To jakaś pomyłka.

Uśmiechnęłam się wreszcie, ubawiona tym nieporozumieniem. Natomiast notariusz patrzył na mnie z wyraźnym zdumieniem...

— Więc pani nie jest Simoną Montagnac, żoną Waltera Andersona?

— Jestem panną de Montagnac, i kropka, nic ponadto. Nie byłam i nie jestem mężatką, i dziś pierwszy raz w życiu usłyszałam nazwisko pana Waltera Andersona.

Oczy pana Dargile zmieniły wyraz — ze zdumienia przeszły do surowości.

— No, no, moje dziecko... Niechże pani nie żartuje. Przecież przed czterema laty...

— To nie są żarty, proszę pana. Zaręczam, że nie jestem zamężna. Ktoś się pomylił, skojarzył dwa nazwiska nie mające ze sobą nic wspólnego, wpisał mi fałszywy stan cywilny do papierów. Przed czterema laty? Przecież dopiero przed paru miesiącami opuściłam klasztor, gdzie wychowywałam się od

dzieciństwa. Siostry zakonne mogą potwierdzić, że byłam pod ich opieką od wielu lat.

Umilkłam, nie wiedząc już, jakie jeszcze argumenty mam przytoczyć. Widok zdziwienia, graniczącego z przerażeniem, który odbił się na twarzy pana Dargile, obudził we mnie niepokój i zażenowanie. Jego współprzymknięte oczy zdawały się zadawać kłam moim słowom, a na ustach pojawił się ironiczny uśmiech, który mnie zranił.

— Mój Boże — westchnęłam z rozpaczą — pan mi nie wierzy?

— Miałem wczoraj w rękach pani akt ślubu.

— Wczoraj?... Mój akt ślubu?... —powtórzyłam jak echo i nagle nie wytrzymałam. Wybuchnęłam śmiechem, którego nie mogłam opanować. Doprawdy, to już zaczynało być zabawne. Upór, z jakim ten człowiek wmawiał we mnie małżeństwo, jeszcze chwilę wcześniej drażnił mnie. Na ogół ludzie nie lubią, gdy ich biorą za kogoś innego... Wreszcie jednak dostrzegłam zabawną stronę tej sytuacji. Nie mogłam pojąć, jak taki poważny notariusz mógł się upierać przy tak oczywistym głupstwie.

Kiedy się śmiałam, pan Dargile z niewzruszonym spokojem nacisnął dzwonek na biurku, wzywając swego sekretarza.

— Proszę mi przynieść akta pani Walterowej Anderson — rozkazał.

— W tej chwili.

W dwie minuty potem notariusz trzymał już teczkę, której zawartość miała wyjaśnić sytuację.

— Pani stawia sprawę bardzo kategorycznie

— zwrócił się do mnie — ze swej strony dowiodę pani, że mam również podstawy twierdzić coś wręcz przeciwnego.

— Zaręczam panu raz jeszcze, że to pomyłka...

— Niech i tak będzie — przerwał mi. — Przypuśćmy na chwilę, że to istotnie pomyłka, i żeby ją sprostować, cofnijmy się o parę lat. O jedno tylko panią proszę, żeby mi pani odpowiadała szczerze. Sprawa jest zbyt poważna, żeby ją było można lekceważyć. Pragnę z uwagi na pani młodość, a moje doświadczenie, stać się pani przyjacielem i po ojcowsku wyprowadzić panią z tej kłopotliwej sytuacji.

— Dziękuję panu — odpowiedziałam, wzruszona jego słowami. Moja sztuczna wesołość prysła natychmiast, jak tylko zdałam sobie sprawę z powagi mego doradcy. — Proszę mi stawiać pytania. Odpowiem panu z całą ścisłością na każde z nich.

Notariusz poprawił okulary, przerzucił kilka kartek i rozpoczął indagację, nie wypuszczając z rąk teczki.

— Czy nazwisko i imiona podane w wezwaniu, które pani otrzymała dziś z rana, są zgodne z pani nazwiskiem i imionami?

— Tak. Wszystko się zgadza, z wyjątkiem stanu cywilnego i imienia oraz nazwiska rzekomego męża.

— Powoli, powoli — przerwał stary prawnik.

— Nie idźmy zbyt szybko, bo się zagubimy. Jest pani sierotą? Ojciec i matka nie żyją od dawna?

— Tak, proszę pana. Ojciec zmarł parę tygodni przed moim urodzeniem, matkę straciłam dziesięć lat temu.

— To się zgadza... Mam tutaj metryki pani rodziców i pani metrykę również. Wyszukałem te dokumenty w archiwum Bertheima. Człowiek ten nie był zbyt wybredny w doborze spraw, których się podejmował, ale muszę mu przyznać, że był skrupulatny w utrzymywaniu akt.

— To ułatwi nam zorientowanie się w całej tej sprawie.

— Mam nadzieję. Oprócz tych dwóch dokumentów oto jeszcze wykaz opłat wnoszonych ongiś do zakładu wychowawczego, w którym pani przebywała. Rachunki te urywają się cztery lata temu...

— To ciekawe. Minęły przecież zaledwie trzy miesiące od chwili opuszczenia przeze mnie klasztoru.

— To musimy zbadać oddzielnie. A oto jeszcze kartka, odnosząca się do niejakiego Karola de Florent...

— To był mój chrzestny ojciec — uzupełniłam.

— Tak, istotnie. Ów Karol de Florent zmarł w roku 19...

— Przed pięciu laty.

— Tak, w lutym. Otóż w tym samym roku znajduję wśród kwitów, potwierdzających wpłatę kwot za pani wychowanie i kształcenie, oddzielne pokwitowanie na sumę pięciu tysięcy franków mających pokryć wydatki związane z pani podróżą do

Anglii. Z tego wynika, że pani jeździła do tego kraju w roku 19..., czyli cztery i pół roku temu.

— Istotnie. Mój opiekun zażądał tej wycieczki, żebym się wprawiła w języku angielskim.

— Czy pani jeździła tam sama?

— Nie. Towarzyszyła mi jedna z zakonnicek.

— Ach tak. A więc była pani w towarzystwie i pod opieką.

— Oczywiście, ale dlaczego...

— Zaraz, zaraz, już dochodzimy do sedna sprawy. Czy pani sobie przypomina, w jakiej porze roku odbyła się ta wycieczka?

— Latem, podczas wakacji, to jest od 20 lipca do 15 września mniej więcej.

— Czy pani jest pewna tych dat?

— O tak, najzupełniej.

— A więc widzi pani — zawołał notariusz z odcieniem triumfu w głosie — tego roku w dniu 23 lipca poślubiła pani w Londynie pana Waltera Andersona, co stwierdzają dwa autentyczne dokumenty. Niech je pani dobrze obejrzy. Oto one. Dowód zarejestrowania pani małżeństwa w rejestrze stanu cywilnego. Dokument ten jest istotnie zarejestrowany i autentyczność jego nie podlega dyskusji, a oto drugi dokument, kopia aktu ślubu, zawartego przed panem Curnettattorneyem w Londynie. Na podstawie tej kopii stwierdzam, że małżonek pani przyznał pani sumę dziesięciu tysięcy funtów szterlingów w charakterze posagu.

— To niemożliwe, to nie o mnie chodzi — powtórzyłam machinalnie, bynajmniej nie wzruszona ogromem kwoty, którą mi ten akt przyznawał.

— Proszę, niech pani sama sprawdzi — zaproponował pan Dargile, podsuwając oba dokumenty.

- Wszystko jest w największym porządku. Jeżeli pani włada angielskim, nietrudno pani będzie się przekonać, że chodzi o panią.

Stropiona pewnością notariusza, usiłowałam odcyfrować zabazgrany dokument. Byłam zbyt poruszona, żeby coś z tego zrozumieć. W każdym wierszu powracało moje imię i nazwisko splecione z nazwiskiem Waltera Andersona i to jedno uderzyło mnie najbardziej.

Mój Boże, mój Boże. Co to wszystko znaczy? Jestem prawnie poślubioną mężatką? Ja, która nigdy dłużej nie rozmawiałam z żadnym mężczyzną, nigdy nie byłam z nikim nawet na stopie przyjacielskiej? To graniczyło z obłędem.

Nagle zawładnęła mną taka rozpacz, że łzy napłynęły mi do oczu.

— Widzę — szepnęłam, odkładając papiery na biurko — że przeciwko mnie sprzegły się jakieś niepojęte siły. Możliwe, że prawnie wszystko to jest w porządku, ponieważ pan tak twierdzi. Niemniej przysięgam panu, że nie rozumiem, jak się to mogło stać. Przysięgam, że to nie ja, że to nie o mnie chodzi i że ja nic o tym nie wiem.

Moje łzy wzruszyły widocznie starego prawnika. Wyciągnął do mnie rękę.

— Uspokój się, drogie dziecko. Jeśli to istotnie pomyłka, wyświetlimy ją i sprostujemy. Walter Anderson musi przecież wiedzieć, co to wszystko znaczy. Musimy się zwrócić do niego.

— Ale kto to jest? Czy to Anglik? Czy przynajmniej jakiś uczciwy człowiek?

Wymownym ruchem notariusz dał wyraz swej kompletnej nieświadomości.

— Jedno tylko można stwierdzić na podstawie tych dokumentów, że jest to literat. Poważna suma posagu, który pani ofiarował w dniu ślubu, wskazuje, że jest to raczej człowiek zamożny, wreszcie kwota renty w wysokości trzydziestu tysięcy franków rocznie, którą przekazuje pani od dwóch lat...

— Jakiej renty? — przerwałam znowu. — Nigdy nie otrzymałam od nikogo żadnych pieniędzy.

— A to już inna sprawa. W papierach Bertheima i w jego rachunkach znalazłem potwierdzenie odbioru tych pieniędzy. Mąż pani wpłaca od dwóch lat po trzydzieści tysięcy franków.

— Nigdy nie otrzymałam ani centyma. To jeszcze jeden dowód, że moja osoba nie wchodzi w grę i że to wszystko jest dziełem jakiegoś przypadku.

Niewyraźny ruch głowy i rąk pana Dargile znów wywołał moje zmieszane.

— Jedno jest pewne — podchwycił — że Bertheim dwukrotnie pokwitował odbiór tej sumy. Pani opiekun, jak z tego wynika, był wtajemniczony w sprawę tego małżeństwa. Wiedział o istnieniu

Waltera Andersona i zdawał sobie sprawę z więzów, jakie go łączą z panią.

— Z tego wszystkiego głowa odmawia mi posłuszeństwa — zawołałam, ściskając czoło rozpalonymi dłońmi. — Co mam zrobić, żeby pana wreszcie przekonać? Powiada pan, że ślub mój odbył się dnia 23 lipca 19...

— Istotnie.

— Otóż w październiku tego roku zdawałam egzamin maturalny w Rouen. Zanim pan rozpocznie jakieś kroki zmierzające do wyświeatlenia tej zagadki, proszę zapytać zakonnice, czy moje słowa są zgodne z prawdą. One potwierdzą fakt, że mnie wychowały, że opuściłam zakład dopiero po dojsciu do pełnoletności i że nie mogłam wstąpić w związku małżeński w okresie, o którym pan wspomina.

— Zakonnice mogą stwierdzić tylko to, co im jest znane. W czasie pobytu w Londynie mogła pani...

— Wyjść za mąż — dokończyłam, nie panując nad ogarniającym mnie oburzeniem.

— I to nie jest wykluczone! Mogła pani zrobić ten szalony krok, nie zdając sobie sprawy z powagi jego następstw, traktując to na przykład jako żart, zupełnie nieświadomie, bądź też lekkomyślnie, kto wie, może nawet bezwiednie. Czy nie przypuszcza pani, że ktoś mógł po prostu nadużyć pani zaufania?

— Jeżeli już snuje pan tak fantastyczne przypuszczenia, to dlaczego nie bierze pan pod uwagę możliwości, że jakaś inna kobieta mogła pożyczyć

sobie moje nazwisko i posłużyć się nim do własnych celów?

— Ba, wszystko jest możliwe, ale istnieje pewien punkt w moim rozumowaniu, który znacznie komplikuje sprawę, a mianowicie to, że pani bawiła właśnie w tym czasie w Londynie. Pani sama przyznaje się do tego. I pobyt pani wypada właśnie na okres, kiedy to tajemnicze małżeństwo z Walterem Andersonem doszło do skutku.

— To prawda — potwierdziłam, ostatecznie zgnębiona jego argumentacją. — Ten zbieg okoliczności jest istotnie fatalny.

— Poza tym mamy jeszcze drugi punkt trudny do wyjaśnienia, a mianowicie, że pan Walter Anderson jest tak dalece przekonany o tym, że pani jest jego żoną, iż nie waha się wypłacać pani miesięczną rentę. Przed paru dniami otrzymałem list od jego radcy prawnego — oczywiście list ten był adresowany do Bertheima, odpieczętowałem go jednak, będąc do tego upoważniony. Do listu był dołączony czek na kwotę piętnastu tysięcy franków, co stanowi równowartość sześciomiesięcznej renty! Ów radca prawny prosi również o przysłanie mu różnych informacji dotyczących pani obecnego życia.

— To już jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe!

— Poza tym, jak pani wytłumaczy ów szczegół, że to właśnie pani ojciec chrzestny odegrał rolę pośrednika między panią a jej mężem?

— Bertheim mógłby nam to wyjaśnić.

— Nie ulega wątpliwości. Śmierć jego przyszła bardzo nic w porę, zwłaszcza dla pani, jego informacje bowiem mogłyby ożywić pani pamięć, ponieważ w całej tej sprawie pani jedna właściwie nie orientuje się, o co chodzi.

Zamyśliłam się głęboko, widząc, że pan Dargile, pomimo pozorów dobroduszości, nie jest bynajmniej przekonany o mej szczerości. Szukałam rozpaczliwie jakiegoś dowodu na moją prawdomówność, ale żadna rozsądna myśl nie mogła się już zrodzić w mej skołatanej głowie.

— To małżeństwo uniezależniało mnie, czy tak, panie radco? - rzuciłam mu wreszcie od niechcenia.

— Oczywiście.

— Czym więc tłumaczy pan moje przebywanie w zakładzie wychowawczym, aż do czasu osiągnięcia pełnoletności?

— Jakaś bliżej nie znana mi pobudka mogła panią skłonić do tego kroku.

— Ale jaka pobudka?

— Niestety, szukanie pobudek nie należy do mojej kompetencji, opieram się wyłącznie na faktach.

— Zgoda, ale wspomniał pan, że pan Bertheim prowadził wzorowo rachunki. Otóż, jeśli mam już być mężatką od czterech lat, to dlaczego owa renta jest wpłacana dopiero od dwóch lat?

— Nie mam pojęcia.

— Idźmy dalej. Jeśli Bertheim dwukrotnie otrzymał po trzydzieści tysięcy franków, czyli razem

sześćdziesiąt tysięcy, to musiał pozostać ślad zużytkowania tych pieniędzy. Czy istnieje jakiś dowód wpłacenia ich na moje ręce? Czy znalazł pan jakiś kwit z moim podpisem?

— Otóż to. Szukałem...

— No i...

Nigdzie nie znalazłem najdrobniejszego świstka.

— Wobec tego nieboszczyk jest mi dłużny sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Przepraszam, że pozwolę sobie uzupełnić pani zupełnie zresztą logiczne rozumowanie. Jako pani opiekun winien się rozliczyć z tej sumy.

— Doskonale, zgadzam się i na takie wyjście. Ale pan twierdzi, że nie ma śladu rozrachunku.

— Nie ma.

— Skądinąd w ciągu ostatnich czterech lat opłacał on koszty mojej nauki i wychowania.

— Od daty ślubu w książkach jego nie ma również wzmianki o załatwianiu tych rachunków.

— Jakże więc w pana prawniczym umyśle godzą się takie dwie sprzeczności? Z jednej strony, poczynając od pewnej daty, mój opiekun zatrzymuje w swym posiadaniu kwoty wpłacane na imię pani Walterowej Andersonowej, z drugiej zaś, nie prowadzi żadnego obrachunku wydatków, nieporównanie skromniejszych, związanych z faktycznymi kosztami wychowania panny Simony Montagnac, bo przecież w klasztorze nie trzymano mnie za darmo?

Słowa moje wywarły pewne wrażenie na notariuszu, gdyż twarz jego stała się nagle jakby zatroskana.

— To prawda, te dwie nieprawidłowości są dość jaskrawe.

— Widzi pan — zawołałam, nie mogąc ukryć uczucia triumfu. — Niech pan się zwróci z zapytaniem do zakonnic, które mnie wychowały. One zaświadczą, że opłaty za mnie były wnoszone bardzo regularnie.

— Muszę przeprowadzić dochodzenie w całej tej zawilej i niezrozumiałej dla mnie sprawie — oświadczył pan Dargile w nagłym przyplywie energii. — Jeżeli uda się udowodnić, że Bertheim po pierwsze opłacał internat, nie zapisując tych wydatków do swoich ksiąg, po drugie, że przetrzymywał poważne sumy, które winny były być pani doręczane; po trzecie, że wiedząc o zawarciu przez panią małżeństwa, nie zdał pani rachunków z okresu opieki. To tłumaczyłoby wiele rzeczy... nie wyjaśniając ich, niestety, całkowicie.

— Ach, panie radco, pragnę gorąco, żeby pan jak najszybciej zebrał owe potrzebne dowody.

— Cóż, trochę więcej dokumentów nic rozjaśni nam całkowicie tajemnicy.

— Ale dowody te przekonają pana, że mówię prawdę.

Starszy pan uśmiechnął się z ojcowską pobłażliwością.

— Nawet bez nich zaczynam ci wierzyć, moje dziecko.

— Doprawdy. Jakież to dla mnie szczęście. A więc jest pan już przekonany, że nie jestem zameżna?

Roześmiał się, protestując ręką przeciwko takiemu twierdzeniu.

— O. nie, przepraszam. Jest pani najlegalniej w świecie poślubiona lordowi Walterowi Andersonowi. Ten fakt jest zupełnie bezsporny. Ale możliwe, że wykorzystano pani brak doświadczenia i pani młodzieńczą naiwność, bez pani osobistego udziału. Jak? Kto to zrobił? W jakich okolicznościach? — tego nie potrafię wyjaśnić. Ma pani męża i nie zna go pani, co więcej, aż po dziś dzień żyła pani w warunkach skrojonych nic na miarę zasobów materialnych, które pani to małżeństwo zapewnia. Nie wykorzystywała pani ani swej niezależności, ani swobody, ani dobrobytu.

— Wobec tego, cóż mara teraz począć? Co mi pan radzi?

— Proszę panią o czterdzieści osiem godzin do namysłu — odpowiedział mi staruszek po chwili zastanowienia. — Muszę zebrać kilka dowodów potwierdzających pani słowa oraz zasięgnąć rady pana Lecourt, który ze mną zajmuje się likwidacją kancelarii Bertheima. Proszę panią, moje dziecko, wrócić do mnie za trzy dni, o tej samej godzinie. Mam nadzieję, że w tej mgle, która nas otacza, zaświta słabe bodaj światełko.

— Dałby Bóg, panie radco. Spieszno mi do unieważnienia owego groteskowego małżeństwa.

— Widzę, że pani nie lubi tracić czasu na półśrodki — zauważył staruszek ze śmiechem. — Zanim dojdziemy do anulowania małżeństwa, musimy stwierdzić, jakim sposobem było ono zawarte.

Mówiąc to wstał i odprowadził mnie do drzwi.

— Niech pani nie traci cierpliwości i proszę zachować pełny spokój, aż do naszego następnego *rendez-vous*. Możliwe, że sprawa ta jest prostsza, niż nam się wydaje. W każdym razie, jeśli chodzi o pani warunki materialne, są one jeszcze lepsze, niż pani sobie to wyobrażała.

Mocny uścisk dłoni poparł pokrzepiające słowa notariusza. Po chwili znalazłam się na ulicy, oszołomiona tym wszystkim, czego się dowiedziałam. Byłam więc zameżna, nie mając nawet pojęcia, jak wygląda ten, który rzekomo jest moim mężem...

ROZDZIAŁ III

Powróciłam zaraz tego samego dnia do pałacu des Fresnes, gdzie musiałam zdać pani Nordin dokładne sprawozdanie z przebiegu wizyty u pana Dargile.

Pani Nordin była bardzo zacną osobą, należała jednak do kategorii surowych purytanek i nie okazała mi w tej sprawie wyrozumiałości i dobroci, jakiej się spodziewałam. Możliwe zresztą, że Anna Maria urobiła ją odpowiednio w czasie mojej nieobecności. W miarę mego opowiadania, pani Nordin nie mogła powstrzymać gwałtownych odruchów oburzenia.

— O, to bardzo brzydka sprawa, panno Montagnac, i ubolewam, że pani jest w nią wmieszana. Mężczyzna, którego nazwisko pani nosi, może być rozpustnikiem, którego podstępny namowom uległa pani wówczas w Londynie...

— Zareczam pani, że nigdy w życiu nie widziałam tego człowieka — przerwałam, dotknięta do żywego.

— Pani to twierdzi tak stanowczo, że moja życzliwość dla pani nakazuje dać wiarę słowom. Ale jakże zdołam przekonać moich przyjaciół, że to, co

pani mówi, nie jest fantazją? Widzę już poruszenie wśród służby. Pani niezwykła przygoda stanie się jutro tematem rozmów całej wsi. Tego rodzaju rzeczy trudno jest ukryć na prowincji i zanim ludzie doczekają się rozwiązania owej zagadki, będę okryta śmiesznością. Wszyscy potępiają mnie za to, że toleruję w domu pani obecność.

— A więc pani mi nie wierzy. — Czułam, jak blednę pod wpływem takiej obelgi.

— Moje drogie dziecko. Chętnie zatrzymałabym panią przy sobie, ale nie potrafię powstrzymać rozgłosu, jakiego sprawa ta musi nabrać. Niech mnie pani zrozumie i nie ma za złe...

— Już zrozumiałam, proszę pani. To zupełnie naturalne, że nie chce się pani narazić opinii publicznej, stając jawnie w mojej obronie. Jutro z rana opuszczę dom i proszę mi wierzyć, że jest mi bardzo przykro, iż narażam panią na tyle przykrości z mego powodu.

— Nie miej do mnie żalu, moje dziecko, i zechciej zrozumieć...

Wstałam i pochyliłam się w sztywnym ukłonie.

— Przepraszam raz jeszcze, i żegnam panią. Byłam u kresu cierpliwości, absolutnie niezdolna słuchać dalej bredni staruszki.

Nazajutrz skoro świt spakowałam manatki. Głęboko zadraśnięta w mej godności i w poczuciu doznanej krzywdy, nic zeszłam na pierwsze śniadanie, które spożywałyśmy zazwyczaj razem z panią Nordin. Miałam tylko jedno pragnienie, jak naj-

prędzej opuścić ten dom, tak dla mnie niegościnnie. Moja chlebodawczyni ujrzała mnie dopiero około godziny jedenastej, na chwilę przed moim odjazdem na dworzec kolejowy.

Pożegnała mnie bardzo uprzejmie, może żałując swoich wczorajszych słów. W ostatniej chwili podała mi zapieczętowaną kopertę zawierającą moje skromne paromiesięczne honorarium. W danej chwili kwota ta stanowiła cały mój majątek.

Dopiero w pociągu odpieczętowałam kopertę i przekonałam się nie bez zdumienia, że zamiast tysiąca franków, które mi się od niej należały, poczciwa staruszka włożyła tam podwójną sumę, do której dołączyła bilecik następującej treści:

Pozwól mi, drogie dziecko, ofiarować ci tę drobną nadwyżkę i przyjmij ją bez obrazy od starej i przyjaznej ci kobiety, która zachowa zawsze wdzięczność za okazaną jej życzliwość.

Życzę pani powodzenia w rozwikłaniu tej przykrej sprawy i proszę mi nie odmówić paru słów wiadomości, jak się dalej ułoży pani życie.

Proszę również nie zapominać o mnie, jeżeli przeciwny los, co nie daj Boże, postawi panią w ciężkich warunkach. Wierz mi, dziecko, że odpowiem natychmiast na twoje wezwanie. Wbrew wszelkim pozorom proszę uważać mnie za szczerze oddaną przyjaciółkę, która pragnie z całego serca pani dobra.

Berta Nordin

List ten, a zwłaszcza jego ton i uczucia, które podyktowały starszemu słowa życzliwości, wzruszyły mnie do głębi. Było mi miło, że mogłam nadal myśleć o pani Nordin bez goryczy, którą przepełniły mnie ostatnie chwile pobytu w pałacu des Fresnes. Poświęciła mnie z obawy przed plotką i oszczerstwem, ale ów dyskretny gest dowiódł, że nie osądzała mnie niesłusznie i że chwile przebyte w moim towarzystwie pozostawiły jej miłe wspomnienie. Rana zadana mojej miłości nie była już tak bolesna, a do oczu napłynęły nawet łzy wzruszenia.

Jechałam do Evreux, nie mając pojęcia, co zrobię dalej.

Moje szczupłe zasoby nie pozwalały pozostawać długo bezczynnie, ale na razie troska o jutro ustępowała miejsca myśli o angielskim mężu, który spadł mi tak nieoczekiwanie z nieba.

Zanim rozpocznę poszukiwanie nowej posady, muszę się zobaczyć z panem Dargile i dowiedzieć, czy nie zdobył jakich nowych szczegółów wyjaśniających sytuację.

Przede wszystkim musiałam doprowadzić do wymazania z dokumentów kompromitującego mnie nazwiska owego nieznanego mężczyzny. Chcąc sobie zapewnić pełną swobodę działania, zatrzymałam się w hotelu, a nie u zakonnic, które znając mnie od dzieciństwa, zapewne nie odmówiłyby mi schronienia i opieki.

ROZDZIAŁ IV

Dwa dni dzielące mnie od umówionego spotkania z panem Dargile dłużyły się potwornie. Kiedy wreszcie minęły, o oznaczonej godzinie, drżąc z niecierpliwości, weszłam po raz wtóry do gabinetu notariusza.

— Niestety — powitał mnie — nie posunąłem się zbyt w swoich poszukiwaniach. Nic nowego nie mogę pani zakomunikować.

— Nic? — jęknęłam opadając na krzesło.

— Absolutnie nic. W papierach Bertheima nie znalazłem najmniejszej notatki, bodaj pośrednio dotyczącej pani sprawy.

— To jest jednak zastanawiające.

— Przypuszczalnie małżeństwo pani było dla niego rzeczą tak naturalną, że nie miał nic do zanotowania.

Bynajmniej nie przekonana zaprzeczyłam głową, a staruszek ciągnął dalej:

— Odwiedziłem Siostry Miłosierdzia. Potwierdziły wszystko, co pani mi opowiedziała odnośnie wycieczki londyńskiej, narzuconej siostrom przez pani opiekuna.

— Widzi pan...

— Usiłowałem specjalnie wybadać zakonnicę, która pani wówczas towarzyszyła w tej podróży.

— No i co?

— Twierdzi, że nie odstępowała pani na krok.

— To prawda.

— Przypomniała sobie jednak, że chciała pani posłuchać mszy św. w Bavarian Chapel, przy Regent Street.

— Istotnie.

— Nie mogąc czy leż nie chcąc pani tam towarzyszyć, puściła panią samą dwa czy trzy razy.

— Co to ma za znaczenie?

— Właśnie w tej kaplicy pobłogosławiono pani związek z Walterem Andersonem.

- No wic pan, to już jest szczyt wszystkich moich pechów.

Nagle fala krwi uderzyła mi do głowy na wspomnienie drobnego szczegółu, który po czterech latach prawie się zatarł w pamięci.

— Co pani...? — zapytał notariusz, którego uwadze nie uszło moje nagłe zmieszanie.

— Takie drobne wspomnienie... dziwny zbieg okoliczności, możliwe, że...

— Proszę, niech pani opowie.

— Któregoś dnia, kiedy trwałam w modlitwie właśnie w tej kaplicy, przeszła koło mnie para nowożeńców. Panna młoda miała wspaniałą suknię, była drobna, ładna, o jasnozłocistych włosach, podczas gdy on przewyższał ją znacznie wzrostem...

Sądzę, że poznałabym oboje, gdybym ich raz jeszcze spotkała. Ona była rozpromieniona i uśmiechnięta, a on, przeciwnie, bardzo skupiony i poważny. Wyraźny kontrast tych dwojga zwrócił moją uwagę, tak że nawet pamiętam, iż nie znając ich pomodliłam się za ich szczęście. Wydali mi się mało dobraną parą i odniosłam wrażenie, że chyba nie będą szczęśliwi.

Myśli tłoczyły mi się w mózgu; przypominałam sobie różne inne drobne szczegóły. Streściłam je w słowach:

— Kto wie, czy przypadkiem nie byłam świadkiem ślubu Waltera Andersona?

Pan Dargile zrobił grymas wyrażający sceptycyzm. Uznawał tylko fakty dowiedzione, jego pozytywistyczny umysł odrzucał wszystko, co mogło stanowić zaledwie grę wyobraźni.

— Podążając za pani tokiem rozumowania, należałoby przypuścić, że podstawienie na pani miejsce innej osoby odbyło się za zgodą pani opiekuna.

— Nie wydaje mi się to nieprawdopodobne.

— Trudno wyciągać wnioski zbyt pochopnie... Trzeba najpierw zbadać...

— O tak, niech pan bada... Chcę poznać prawdę... Błagam pana, panie radco, niech pan mnie nie opuszcza. Przyszłam dziś do pana z sercem pełnym nadziei.

— I przekonała się pani, że wiem niewiele więcej, niż ostatnim razem.

— Co więc mam robić, panie radco?

— Zastanawiałem się nad tym. — Pan Dargile zasiadł głębiej w fotelu i skrzyżowawszy ręce, ciągnął dalej: — Tu na miejscu nie dowiemy się już nic ponadto. Według prawa jest pani panią Anderson. Papiery pani są w porządku i nic nam one nie wyjaśnią. Trzeba pojechać do Londynu.

— Jeżeli tylko uważa pan, że to jest wskazane, gotowa jestem zaraz się tam udać.

— Otóż to. Odwiedzi pani radcę prawnego lorda Andersona, który pani ułatwi spotkanie ze swym mocodawcą. Dalej postara się pani zobaczyć z pani domniemanym mężem i rozmówi się z nim. W zależności od przebiegu rozmowy, ustali pani dalszy plan działania.

— Dotychczas nie widzę żadnych trudności.

— O, nie jest znów tak dobrze, może się trafić pewna poważna trudność...

— Mianowicie?

— Jeżeli pani zastanie w domu lorda Andersona kobietę, która we własnej obronie zarzuci pani uzurpację nazwiska będącego jej własnością.

— Racja. Jak im dowieść, że to ja jestem prawdziwa Simona Montagnac?

— Właśnie, rozmyślałem wiele na ten temat. Chociaż właściwie bardzo małe są szanse, żeby pani ją tam zastała. Jeżeli Walter Anderson wypłaca jej rentę miesięczną, to dowodzi, że małżonka nie jest przy nim. Na wszelki wypadek przygotowałem list do pana Curnetta.

— Co mu pan napisał?

— *Donoszę, że moja klientka, panna Simona de Montagnac, udaje się do niego, aby uzyskać wyjaśnienia w kwestii jej małżeństwa z panem Walterem Andersonem, o którym to fakcie dowiedziała się dopiero teraz.*

— To jest najprawdziwsza z prawd — potwierdziłam z zapalem.

— Tak długo, póki pani nie zobaczy Waltera Andersona, nie może pani twierdzić, że go pani nie zna. Przecież pod przybranym nazwiskiem może się kryć człowiek, z którym się pani już spotykała.

— No więc dobrze, dajmy już spokój temu tematowi. Co więcej pisze pan w tym liście?

— Stwierdzam, że co do autentyczności pani osoby nie mam cienia wątpliwości, że pani jest istotnie panną Simoną de Montagnac, urodzoną zgodnie z danymi, wyszczególnionymi w akcie ślubnym Waltera Andersona... Kończę list prośbą o okazanie pani wszelkiej potrzebnej pomocy i wsparcia, aby ostatecznie wyświecić całą zagadkę.

— Doskonale. — Uszczęśliwiona wyraziłam zacnemu staruszkowi wdzięczność za tak życzliwe zajęcie się moją osobą, ale ten przerwał mi:

— Podziękuję mi pani dopiero wówczas, kiedy wszystko będzie zakończone, co, nie przypuszczam, żeby prędko nastąpiło. Na razie proszę jechać do Londynu, i to niezwłocznie. Zgromadziłem wszystkie potrzebne pani dokumenty, a poza tym, przewidując możliwość jakiejś intrygi, poleciłem sporządzić pani bardzo szczegółowe dowody tożsamości.

Brakuje już tylko pani fotografii i własnoręcznego podpisu poświadczonego w komisariacie policji. Przydzielę pani urzędnika, który będzie pani towarzyszył w owej urzędowej wizycie i wszystko pani ułatwi. Czy przypadkiem nie ma pani przy sobie fotografii?

Błogosławiłam w duchu panią Nordin, która zrobiła niedawno parę moich zdjęć. Miałam je przy sobie w torebce. Pan Dargile wybrał z całej kolekcji jedną i natychmiast nakleił ją na jednym z dokumentów.

— Udając się do Londynu, musi pani zaopatrzyć się w zapas gotówki.

— Mam dwa tysiące franków — powiedziałam, wstydząc się trochę tak drobnej sumki.

— To nie wystarczy — zauważył staruszek z uśmiechem. W porozumieniu z panem Lecourt postanowiliśmy dać pani *a conto* należnych jej sześćdziesięciu tysięcy franków, które Bertheim bezprawnie przetrzymał.

— Nie przyjmę za nic pieniędzy przeznaczonych dla pani Anderson, w której prawa nie chcę wkraczać.

— To już jest sprawa, którą załatwi pani z... mężem. Z punktu widzenia prawa pani jest panią Anderson i moim obowiązkiem jest wyliczyć się z tej kwoty.

— W takim razie zaznaczam, że na razie nie chciałabym naruszać owego kapitału.

— Jak pani sobie życzy. Musi mi pani jednak pokwitować odbiór piętnastu tysięcy franków, które otrzymałem przekazem pod adresem pani przed paru zaledwie dniami. Pieniądze te może pani wziąć bez zastrzeżeń. Trudno mi było uwierzyć, że to nie sen.

— Jak to, pan twierdzi zupełnie poważnie, że powinnam przyjąć te pieniądze?

— Ależ tak, najpoważniej w świecie. Są one pani własnością.

— Jakim nazwiskiem mam podpisać kwit, który mi pan podsuwa?

— Swoim własnym.

— Dobrze — zdecydowałam się nagle, kładąc wyraźny podpis: Simona de Montagnac.

— Nic doda pani przypadkiem, „małżonka Waltera Andersona” — zapytał z dobrotliwym uśmiechem pan Dargilc.

— Nigdy — zawołałam, zrywając się z fotela.

— Z pani nie lada uparciuszek — roześmiał się, uspokajając mnie równocześnie: — W tego rodzaju pokwitowaniach ma to drugorzędne znaczenie.

Odprowadzając mnie do drzwi, staruszek zacierał radośnie dłonie.

— Swoją drogą przyznaję, że bardzo mnie interesuje, jaki też obrót weźmie ta sprawa w Londynie.

— Doniosę panu szczegółowo.

— Liczę na to. Niech się pani tylko nie zraża brakiem temperamentu i wrodzoną flegmą naszych

brytyjskich sąsiadów. Nie są oni tak zimni i nieczuli, jak się to wydaje z pozoru.

Ostatnia uwaga staruszka na razie wydała mi się niezrozumiała. Opuściłam kancelarię pana Dargile, bogatsza o piętnaście tysięcy franków, ale z uczuciem, jakbym ukradła tę sumę. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że owe pieniądze należą do mnie.

W ciągu dwudziestu minut załatwiłam wszystkie formalności, o których wspominał mój nowy opiekun, a w dwa dni później znalazłam się na pokładzie okrętu, unoszącego mnie przez kanał La Manche do Anglii.

ROZDZIAŁ V

Podróż minęła szybko. Pograżona w myślach nie zwracałam uwagi na drobne wydarzenia podróży. Przyjazd do Dieppe okrętem, wyjście na brzeg w Newhaven, wszystko to minęło jakoś niepostrzeżenie, nie pozostawiając żadnego wrażenia.

W Croydon konduktor zapytał mnie, na którym dworcu mam zamiar wysiąść? Prawie bezwiednie wymieniłam dworzec Victoria. Dopiero to pytanie ściągnęło mnie na ziemię, uświadamiając, że zbliża się kres mej podróży.

Koło godziny siódmej wieczorem stawiałam już pierwsze kroki w Londynie. W zapadającym zmierzchu miasto tętniło życiem, robiąc wrażenie wielkiego ludzkiego ula.

Zamówiłam sobie telegraficznie pokój w hotelu, niedaleko dzielnicy Piccadilly. Hotel polecił mi mój gospodarz z Evreux. Nie potrzebowałam więc odbywać przykrej wędrówki w poszukiwaniu mieszkania. Smacznie zastawiony stół, wygodne łóżko w pensjonacie cieszącym się solidną opinią oczekiwały mnie w owym pierwszym dniu pobytu na obczyźnie.

Nazajutrz punktualnie o godzinie dziesiątej rano dzwoniłam już do drzwi kancelarii pana radcy Curnetta.

Przyjął mnie uprzejmie młody sekretarz, który poinformował, że jego patron jest nieobecny.

— Pan Curnett bawi od dwóch dni w Brighton, załatwia tam ważne interesy.

— Kiedy spodziewają się panowie jego powrotu? — zapytałam, nie ukrywając zawodu.

— Prawdopodobnie przy końcu tego tygodnia, tak mi się przynajmniej zdaje.

Była dopiero środa, miałam więc w perspektywie parę dni oczekiwania.

— Może chciałaby pani pomówić z sekretarzem? Zastanowiłam się. Zwłoka była mi bardzo nie na rękę.

— Dziękuję panu. Chyba poczekam na powrót pana Curnetta - postanowiłam — muszę się z nim rozmówić osobiście.

— Jak pani uważa.

— Czy tymczasem mógłby mi pan wskazać adres Waltera Andersona, który, o ile się nie mylę, zalicza się do klientów kancelarii pana Curnetta?

Młody urzędnik zawahał się.

Jestem tu z polecenia pana Dargile, notariusza z Evreux pośpieszyłam z wyjaśnieniem. — Przypuszczam, że w tych dniach musieli panowie otrzymać od niego list.

Urzędnik wyraził gestem zupełną nieświadomość.

— Nie sędzę, żebym był zmuszony ukrywać przed panią adres pana Andersona. Zresztą zdobyłaby go pani łatwo w pierwszej lepszej redakcji. Pan Walter Anderson wszak jest znanym i cenionym pisarzem.

Zanotowałam w pamięci ową cenną wskazówkę. „Mój mąż” był człowiekiem znanym. Sięgnęłam do torebki po notatnik.

— Wolę zanotować sobie ten adres. Powiada pan, że pan Walter Anderson mieszka...

— Backer Street 132 — dokończył urzędnik. Po czym jeszcze zapytał: — Może pani zechce zostawić mi swój adres, żebym mógł panią natychmiast zawiadomić o powrocie pana Curnetta?

Nie omieszkałam zaspokoić jego słusznej ciekawości. Teraz, kiedy znałam już adres pana Andersona, śpieszno mi było przede wszystkim go obejrzeć.

Opuściwszy kancelarię notariusza, wsiadłam zaraz do taksówki i kazałam się zawieźć pod wskazany mi adres.

Backer Street była wielką, szeroką aleją. Mogłam więc nie wzbudzając niczyjej ciekawości podejść pod dom pod numerem 132 i przyjrzeć mu się z bliska. Pojęcie „z bliska” jest raczej zwrotem retorycznym, gdyż dom ten nie stał od frontu i był ukryty w głębi dużego dziedzińca, który mogłam obejrzeć tylko dzięki temu, że brama wjazdowa była akurat szeroko otwarta.

Rzuciłam okiem na zegarek. Czy nie popełniam niedyskrecji, zjawiając się o tej porze u sir Andersona? Zegarek wskazywał wpół do jedenastej. Wydało mi się, że godzina jest raczej właściwa. Zdecydowanym krokiem minęłam bramę i weszłam na dziedziniec.

Po lewej stronie, w pobliżu garażu, jakiś służący zajęty był myciem samochodu. Podeszłam do niego i zapytałam po angielsku, czy zastałam pana Waltera Andersona w domu?

Wyprostował się powoli i bez słowa wskazał mi główne wejście, do którego dochodziło się po kilku kamiennych schodach. Dźwięk dzwonka elektrycznego, który nacisnęłam, przywołał starszego służącego.

Uchylił zaledwie drzwi, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Uprzejmie powtórzyłam swe pytanie.

— Czy to umówiona wizyta? — zapytał lakonicznie.

— Nie.

— To proszę najpierw napisać i uzyskać zgodę pana Andersona.

Już zamierzał zatrzaskać mi drzwi przed nosem, przezornie jednak wsunęłam nogę w szparę, co zmusiło go do wysłuchania mnie.

— Przychodzę z polecenia pana Curnetta — skłamałam najbezczelniej — muszę niezwłocznie zobaczyć pana Andersona. Oto mój bilet wizytowy. Jestem pewna, że pan Anderson mnie przyjmie.

— Bardzo wątpię — stwierdził staruszek nie mniej lakonicznie. — Ale proszę dać bilet. Spróbuję.

Podalam mu bilet, z moim nazwiskiem, pod którym napisałam ołówkiem kilka słów:

Prosi pana Waltera Anersona, żeby zechciał poświęcić jej parę chwil w ważnej sprawie. Stary służący oddalił się, zamykając za sobą drzwi i pozostawiając mnie samą na ganku.

Jego nieobecność trwała co najmniej dziesięć minut. Zaczęłam już przypuszczać, że stary o mnie zapomniał i wahałam się, czy nie zadzwonić po raz wtóry, kiedy wreszcie się pojawił.

— Proszę panią. — Otworzył drzwi wejściowe.

Oczekiwanie przytłumiło trochę moje podniecenie. Postępowałam w ślad za staruszką raczej onieśmielona, zastanawiając się, jak też rozpocząć rozmowę.

Im bliżej celu, tym bardziej czułam się nieswojo. Wyznaję ze wstydem, że gdybym nie bała się kompromitacji, uciekłabym z tego domu bez chwili namysłu. Tymczasem człowiek idący przede mną otwierał kolejno drzwi, usuwając się uprzejmie, by ustąpić mi pierwszeństwa.

W ten sposób minęłam trzy czy cztery zbytkownie umeblowane pokoje. Wreszcie staruszek zatrzymał się, uniósł portierę i zapukał.

— Proszę! — rozległ się stanowczy głos

— Ta pani jest już tutaj...

— Niech wejdzie.

Rozkazujący i mało uprzejmy ton głosu pana domu wrócił mi przytomność umysłu. Odważnie przekroczyłam próg gabinetu, by wreszcie ujrzeć tego, któremu prawo przyznawało rzekomo tytuł mojego małżonka. Jak przypuszczałam, osobnik ten nic był mi zupełnie znany i twarz jego nie obudziła we mnie żadnych, nawet najodleglejszych wspomnień.

Walter Anderson był wysokim blondynem. Gładko wygoloną twarz ozdabiała para szarobłękitnych oczu, zimnych i dumnych w wyrazie. Z całej jego postaci biła energia i nieprzeciętna siła.

Podniósł się z krzesła, gdy przekraczałam próg. Przez sekundę badaliśmy się wzrokiem.

Nie zachęcana przez gospodarza, prawdopodobnie zmierzającego do tego, by moją wizytę skrócić, bez ceremonii usiadłam naprzeciw niego po drugiej stronie biurka. Milczeniem wyraził zgodę na moją bezceremonialność.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał, stojąc nadal nieruchomo.

— Muszę pomówić z panem — odpowiedziałam spokojnie. — A ponieważ rozmowa nasza przypuszczalnie potrwa dłużej, byłoby wskazane, żeby pan usiadł także.

W jego zmrużonych oczach dostrzegłam zdumienie. Mój zdecydowany ton widać go zaskoczył. Sama nie mogłam wyjść z podziwu nad własną śmiałością.

Nadal sztywny i oficjalny usiadł jednak.

— Proszę, niech pani mówi, o co chodzi — zaczął sucho, posługując się językiem francuskim. — Odnoszę wrażenie, że woli pani mówić po francusku?

— Tylko nieznaczny akcent zdradzał jego brytyjskie pochodzenie.

- Istotnie, wolę mówić z panem po francusku

— podchwyciłam natychmiast — łatwiej mi będzie wytłumaczyć panu wszystko.

— Co mianowicie?

— Zanim przejdę do właściwego celu mej wizyty, pragnę postawić panu pewne pytanie: czy pan jest rzeczywiście panem Walterem Andersonem, klientem pana Curnetta?

— Tak.

— Nikt inny nie nosi tego samego imienia i nazwiska?

— O ile mi wiadomo, nikt.

— W takim razie zwróciłam się do właściwej osoby. Czy odczytał pan nazwisko na moim bilecie wizytowym?

— Owszem.

— I nazwisko to nic panu nic mówi?

— Nie, skoro pani się nim posługuje.

— Jak to posługuje? To moje własne nazwisko.

— Nie...

To „nie” wyrzucił z siebie z taką pasją, że aż podskoczyłam na krześle.

— Poniekąd spodziewałam się takiej reakcji ze strony pana — podjęłam dalej rozmowę, nie okazując, że to „nie” ubodło mnie do żywego. — Przed

paru dniami wymieniono w mojej obecności pana nazwisko i z takim samym przekonaniem stwierdziłam, że pana nie znam.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić to samo odnośnie pani.

— Nie wiem, jaki dziwny splot okoliczności wytworzył tę cudaczną sytuację, rzekomo jednak już od czterech lat według prawa jestem pańską żoną, a pan moim mężem.

Bezwiednie parsknęłam śmiechem, zdając sobie sprawę z nieprawdopodobieństwa owej komicznej sytuacji, ale poważna twarz Waltera Andersona nie zdradzała chęci do śmiechu.

— Nie — powtórzył raz jeszcze z naciskiem—nie znam pani.

— I nie twierdzi pan, że jestem pana żoną, czy tak?

— O nie, pani... nie... — zachnął się odruchowo z wyraźnym przerażeniem.

— Niech pan będzie spokojny, co do tego ja również nie mam cienia wątpliwości — potwierdziłam z uśmiechem. — Widzę pana dziś po raz pierwszy w życiu.

— *Yes.*

— Ale ponieważ bezspornie nazywam się Simona Montagnac, a pan przed czterema laty poślubił kobietę posługującą się bezprawnie moim imieniem i nazwiskiem, przeto przyszedłam prosić pana o parę informacji wyjaśniających zagadkę. Chcę, żeby mi

pan dopomógł wybrnąć z tej zawilej i niesamowitej sytuacji.

— Jakiej sytuacji?

— No, tej, w której się znalazłam dzięki pana małżeństwu. Przecież nasi prawnicy biorą mnie za pańską żonę.

— Nie! To niemożliwe!

— Jednak jest możliwe, skoro w moich papierach osobistych zostało utrwalone małżeństwo z panem, którego przecież nie zawierałam.

— Ja również.

— Więc pan jest żonaty?

— Owszem.

— Ale może pańska żona nie jest z domu Simona Montagnac?

— Wręcz przeciwnie. Właśnie tak się nazywa.

— Ależ to jest moje imię i nazwisko!

— Nie, to niemożliwe.

— Przepraszam pana, ale ja chyba wiem lepiej niż pan.

— Nie. To jest kłamstwo.

— Kłamstwo? Proszę obejrzeć moje papiery osobiste.

— To zupełnie zbędne. Papiery mogą być sfalszowane.

— Jak to sfalszowane?

— *Yes*

— Dlaczego?

— Ponieważ ja pani nie poślubiłem.

— No właśnie. O to chodzi. To jakaś pomyłka.

— Nic. Nie ma żadnej omyłki.

— Niechże się pan sam przekona... Podałam mu dokumenty otrzymane od starego notariusza. Lekceważącym ruchem odtrącił je, nie zadając sobie nawet trudu, by rzucić na nie okiem.

Oburzenie sprawiło, że krew uderzyła mi do głowy i zaczęłam mówić podniesionym tonem:

— Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, że ponieważ chodzi tu o Waltera Andersona i o mnie, Simonę Montagnac, pan nie ma prawa odmówić mi obejrzenia tych papierów.

— Nigdy nie brałem ślubu z panią — stwierdził raz jeszcze z przekonaniem — nie znam pani. Moja żona jest wspaniałą kobietą... jest ładna... szykowna, nie ma między paniami cienia podobieństwa.

Stałam cała w pąsach. Ów nieoczekiwany afront speszył mnie niesłuchanie. Daremnie szukałam w myślach jakiegoś argumentu, żeby go wreszcie skłonić do obejrzenia moich dokumentów. Skorzystał z mego widocznego zmieszania i wstał z krzesła.

— Pani nalegania są bezcelowe.

— Czy to oznacza, że...

— Że nie mogę tracić czasu na wysłuchiwanie pani bajeczek.

— A zatem uparcie nie chce pan brać na serio mojej wizyty.

— Nie, nie biorę jej na serio — powtórzył z ironią.

— Popęlnia pan błąd. Drogą zaprzeczeń nie dojdziemy do żadnego rozwiązania. Przybyłam do

Londynu bynajmniej nie w celu dochodzenia swoich praw małżonki. Tego może pan być pewien. Ale chcę i mam prawo żądać z całą mocą rozwiązania tego ośmieszającego mnie i kompromitującego małżeństwa.

— Istotnie, samo przypuszczenie, że mogłem kiedykolwiek poślubić panią, jest wysoce zabawne.

— We Francji pański sposób wyrażania się nazwano by bez obsłonek grubiaństwem. Nie znam pana i wcale nie pragnę poznać bliżej, ale jestem prawdziwą Simoną Montagnac, jedyną, która ma prawo posługiwać się tym nazwiskiem. Jeżeli więc z przyczyn mi nie znanych, w niewiadomych okolicznościach, pan, czy też pańska małżonka, pozwoliliście sobie przywłaszczyć moje nazwisko, to zapowiadam, że zaprotestuję najenergiczniej przed trybunałem sędziowskim.

— Francuzki są, jak widzę, bardzo gadatliwe — stwierdził bezbarwnym głosem.

— Potrafią również działać — dodałam zrozpaczona — zwłaszcza kiedy muszą same bronić swego honoru.

Najbezczelniej w świecie roześmiał się, jeżeli można nazwać śmiechem lekkie gwizdnięcie, wydobywające się spomiędzy ściągniętych warg.

— Pani honoru? — powtórzył. — A dlaczegoż to noszenie nazwiska Waltera Andersona miałoby oznaczać dyshonor dla jakiegokolwiek kobiety?

— Nie znam pana. Ale do tego, iżby czyjeś nazwisko przynosiło zaszczyt, trzeba jeszcze dobrowolnie je przyjąć.

— To ma być szantaż? — rzucił niedbale z nieopisaną pogardą.

— Szantaż? — powtórzyłam dotknięta do żywego.

— *Yes*. Chyba że tak, bo w tym, co pani mi opowiada od godziny, nie ma ani jednego słowa prawdy.

Jego tupet przeppełnił miarę mojej cierpliwości.

— Nie przesadzam nic i nie koloryzuję. Proszę, oto przedstawiam panu autentyczne dokumenty. Niechże je pan wreszcie przejrzy.

Mój rozmówca skończył właśnie papierosa. Ujrzałam, jak wyciągnął rękę i nacisnął guziczek elektrycznego dzwonka.

— Zmuszony jestem prosić panią o opuszczenie mego domu. Dość mam już tych historyjek, którymi mnie pani raczy — powiedział, podkreślając lodowatością tonu całą impertynencję swych słów.

— Może się pan nie trudzić stosowaniem wobec mnie brutalnych środków — odpowiedziałam, odzyskując nagle utraconą równowagę. — Uprzedzam jednak, panie Anderson, że pożałuje pan, iż nie chciał pan załatwić ze mną polubownie owej przykrew sprawy.

Przywołany dzwonkiem służący stanął na progu.

— Proszę wyprowadzić panią — padł rozkaz z ust pyszałka, który nonszalancko zapalał, po raz już nie wiem który, wciąż gasnącego papierosa.

Nie siląc się nawet na cień ukłonu, opuściłam gabinet hardo zadzierając głowę. Na ulicy poczułam, iż dławi mnie pasja.

— Wstrętny człowiek. Ordynarny brutal. Cham stuprocentowy... — Najgorsze określenia cisnęły mi się na usta. I taki śmie mi powiedzieć, że ja kłamię, że uprawiam szantaż... No, bratku, ja się z tobą rozprawię, jeszcze tego pożałujesz...

Spacerując przez całe popołudnie ulicami Londynu, myślałam bezustannie o procesie, prokuratorze i wymiarze kary. Tej parze gagatków, to znaczy jemu i jego żonie, życzyłam z całego serca potężnej porcji skandalu.

Wściekłość, która mnie wypełniała, sprawiła, że zapomniałam nawet o śniadaniu i dopiero wieczorem, kiedy fala oburzenia i pasji nieco odpłynęła, spostrzegłam, że jestem głodna i że od rana, oprócz szklanki mleka, nic nie miałam w ustach.

Chodząc po ulicach Londynu, zagubiona w myślach, zawędrowałam aż na odległe peryferie miasta i musiałam wziąć dorożkę, żeby odnaleźć drogę do hotelu.

ROZDZIAŁ VI

Wieczorem, kiedy po tym pełnym wrażeń dniu znalazłam się wreszcie w moim hotelowym pokoju, ogarnęło mnie zniechęcenie. Po silnym napięciu nerwowym przyszło odprężenie, z którym łączyła się depresja i rozgoryczenie.

Obraz mojej postaci w lutrzanym odbiciu w niemałej mierze przyczynił się do pogłębienia tego smętnego nastroju.

Dotychczas nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że w mojej starej, wyświechtanej, czarnej sukience, niemodnej już i zużytej, wyglądałam jak nędzarka. A ten kapelusz? Pożal się Boże! Taniutki, tandetny, wyrudziały od paromiesięcznego noszenia, buciki solidne, lecz noszące ślady kilku zelowań; rękawiczki bawełniane, grube, ordynarny parasol, łańcuszek od zegarka z wielkich czarnych kuleczek, stosowny raczej dla starszej pani z prowincji; ubożuchna srebrna broszeczka, słowem, całość przypominająca skromną nauczycielkę ludowej szkoły z zapadłej wsi. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece jestem zaniedbana i budząca współczucie.

Stwierdzenie tego wszystkiego wycisnęło z oczu łzy upokorzenia.

W istocie, wyniosły i wytworny Walter Anderson mógł wziąć mnie za jakąś przybłędę, szukającą drogi do wyzyskania go.

Nie powinnam się dziwić, mając to wszystko na względzie, że Walter Anderson, widząc mój lichy strój, ustosunkował się tak nieufnie do moich wywodów.

Wyrzucałam sobie teraz, że refleksje te przyszły za późno, nie poprzedzając mojej wizyty u Waltera Andersona i oszczędzając świeżo przeżytych upokorzeń.

Jak gdyby myśli te nie wypełniły jeszcze czary mojej goryczy, przypominałam sobie wskazówki i polecenia gospodarza hotelu, u którego zamieszkałam w Evreux.

„Przede wszystkim niech pani nie usiłuje iść do kogokolwiek, nie upewniwszy się z góry, że pani będzie dobrze przyjęta. Należy tam zawsze zaopatrzyć się w jakiś list polecający. Pismo, które damę pani, otworzy pani podwoje solidnego hotelu, w którym zatrzymuje się wyłącznie godna szacunku klientela. Ale to nie rozwiązuje kwestii. Niech pani zapamięta sobie, że do towarzystwa londyńskiego dostaje się tylko ten, którego ktoś wprowadzi. Etykieta króluje w salonach, nawet na najbardziej zdawałoby się bezceremonialnych zebraniach. Należy się więc kierować największą ostrożnością w doborze znajomości i wielką rezerwą w sposobie bycia

i posunięciach, które są natychmiast notowane i krytykowane ostro i bezwzględnie."

Rzeczywiście, stwierdziłam w duchu z goryczą. Nie na wiele zdały mi się ostrzeżenia i rady zacnego hotelarza! Nie zrobiłam z nich użytku we właściwym miejscu i o właściwej porze. Jak na jeden dzień pobytu w Londynie narobiłam chyba dość fałszywych kroków.

Pan Dargile ułatwił mi dostęp do pana Curnetta. Bez tego niewybaczalnego pośpiechu z mej strony wszystko odbyłoby się przyzwoicie i zapewne nie naraziłabym się na wyrzucenie za drzwi przez Waltera Andersona.

Wspomnienie owej obelgi zaróżowiło mi jeszcze policzki. Jak mogłam do tego dopuścić?

Prawie cała noc minęła mi na tych przykrych rozmyślaniach. Jak nietrudno się domyślić, nazajutrz nie wylegiwałam się długo w łóżku.

Opuściłam wcześniej pokój hotelowy i rozpoczęłam wędrowkę po francuskich sklepach Londynu.

Tegoż wieczoru pokój był zavalony stosem pudeł i pudełek najróżnorodniej szych wymiarów i kształtów. Wzbogaciłam swą garderobę o kilka sukien, okryć i kapeluszy. Nie zapomniałam również o bieliźnie i obuwiu. Ale moja portmonetka stała się niepomierne lżejsza. Wyfrunęło z niej całe cztery tysiące franków.

Ledwo skończyłam układać rzeczy w szafach, gdy chłopiec hotelowy zapukał do moich drzwi.

— Miss, proszono panią do telefonu wczesnym popołudniem. Ponieważ pani była nieobecna, polecono nam uprzedzić panią, że pod wieczór nadejdzie do pani ważne pismo. Posłaniec z tym pismem już jest. Czy życzy pani sobie go zobaczyć? Czy będzie jakaś odpowiedź?

Wskutek nadmiernego zapachu, który włożyłam w wykonywaną przed chwilą robotę, moje ubranie i uczesanie nosiły wyraźne ślady miotających mną uczuć. Pokój wyglądał jak pobożowisko, z porozrzucanymi pudłami ziejącymi pustką, spiętrzonymi bezładnie na wszystkich meblach i po kątach. Sama nie wiedziałam, jak mam postąpić. W tym stanie trudno mi się było pokazać w salonie, z dwojga złego lepiej już było wezwać posłańca do siebie.

Wydałam więc polecenie. List, który mi doręczono, nosił nadruk kancelarii pana Curnetta.

Pisał sam notariusz, donosząc mi, że otrzymał list od pana Dargile'a i że wyznacza mi spotkanie nazajutrz na godzinę trzecią.

Skreśliłam szybko parę słów pokwitowania oraz obietnicę przyścia na oznaczone miejsce i godzinę, i wręczyłam to posłańcowi z drobnym napiwkem.

Zmęczona bieganiem po sklepach i zadowolona, że nazajutrz zjawię się u notariusza już w pełnym rynsztunku eleganckiej damy, położyłam się do łóżka i zaraz usnęłam.

ROZDZIAŁ VII

Na wyznaczone mi spotkanie przybyłam z wzorową punktualnością. Przypuszczałam, że zastanę samego notariusza, jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy obok niego ujrzałam smukłą sylwetkę Waltera Andersona.

Jego nieoczekiwana obecność wprawiała mnie w stan zakłopotania. Spodziewałam się sceny podobnej do tej, jaką przeżyłam onegdaj. Przypuszczałam też, że mój rzekomy małżonek nastroił już odpowiednio swego radcę prawnego.

Gdy weszłam do gabinetu sir Anderson wstał i powitał mnie lekkim skinieniem głowy. Oczy jego spoczęły na mnie z wyrazem zdumienia i zaskoczenia, jak gdyby z trudem tylko mnie rozpoznawał. Przypuszczalnie spodziewał się ujrzeć mnie w liberii nędzy, w której poznał mnie u siebie w domu.

Wyczytałam to z wyrazu jego twarzy i wbrew woli fala krwi uderzyła mi znów do głowy, gdy spokojnie, bez pośpiechu, chociaż i bez wyniosłości, oddałam mu ukłon. Widok jego ożywił we mnie całe to nieznośne uczucie upokorzenia i nie odpłaconej urazy. Wolałabym po stokroć, żeby przy owym

pierwszym spotkaniu z panem Curnettem lord Anderson nie był obecny, czułam bowiem, że mogę łatwo zaszkodzić swym interesom, jeśli nie zdobędę się na dość silne argumenty.

Pan Curnett przywitał mnie gestem pełnym wyrafinowanej uprzejmości.

— Miss Simona Montagnac, wszakże się nie mylę? — zapytał z kurtuazją.

W poczuciu, że nowy granatowy kostium prezentuje się na mnie znakomicie, odzyskiwałam stopniowo wrodzoną pewność siebie. W chwili kiedy zasiadłam w fotelu, który pan domu podsunął mi szarmancko, wielkie lustro, wiszące nad tradycyjnym angielskim kominkiem, odbijało sylwetkę świeżej i nie pozbawionej wdzięku paryżaneczki, w dużym, białym, filcowym kapeluszu, w którym było mi bezsprzecznie bardzo do twarzy. Wszak nic nie daje kobiecie większej pewności siebie, jak świadomość, że jest dobrze ubrana i że widok jej może sprawić otoczeniu przyjemność. Od razu przyszło moje onieśmielenie.

Pan Curnett przystąpił do sedna sprawy, nie pozostawiając mi wiele czasu na rozmyślania o otaczających osobach i przedmiotach.

— Otrzymałem list od pani radcy prawnego z Evreux, zapowiadający pani wizytę. Z drugiej zaś strony, sir Walter Anderson poinformował mnie o pani wizycie u niego.

— Ach tak? — zauważyłam ironicznie. — Więc jednak pan Anderson uważał za słuszne wziąć pod

uwagę, że krok mój może mieć dla niego pewne znaczenie?

— Może nie od razu docenił wagę pani słów, nie dając im ostatecznej wiary. Wizyta pani zaskoczyła go. Pani chyba rozumie, że trudno jest powziąć opinię tak nagle... Otóż w środę, zaraz po moim powrocie, dowiedziałem się, że telefonował do mnie par ok o tnie,

— Pan powiada, że w środę?

— Tak — wtrącił się do rozmowy lord Anderson — wieczorem tego dnia, kiedy mnie pani odwiedziła, chciałem poinformować pana Curnetta o pani wizycie i tym, co mi pani oświadczyła.

— To „oświadczenie” zawierało najczystsza prawdę.

— Nie doceniłem jej.

— Mógł pan znaleźć potwierdzenie moich słów w papierach, których obejrzenie panu proponowałam.

Rozmowa nabierała charakteru nieco agresywnego, toteż pan Curnett postanowił złagodzić jej ton:

— Brakowało listu pana DargHle'a, który stanowi poniekąd punkt zwrotny całej tej nieprawdopodobnej sprawy, bez którego lord Anderson mógł przypuszczalnie mieć pewne zastrzeżenia.

- Nawet gdyby zechciał zadać sobie tę drobną fatygę i przejrzeć dowody, których mu dostarczyłam? — zauważyłam oschle.

— Nawet wówczas — podkreślił stanowczo prawnik. — Dowody mogą być przecież sfalszowane i zaopatrzone podrobionymi pieczęciami.

— To i list pana Dargiie'a może być falsyfikatem.

— Oczywiście. Toteż na skutek polecenia pana Andersona sprawdziłem autentyczność jego autora.

— Jak to, i znalazł pan sposób, żeby się przekonać, że pochodzi on rzeczywiście od mego pełnomocnika — zapytałam ze zdziwieniem.

— Tak. Zatelefonowałem do Evreux i poleciłem powtórzyć sobie ustnie niektóre ustępy tego listu.

Dociekliwość Anglika zaimponowała mi. Nie dostrzegając mego zdumienia, pan Curnett ciągnął dalej:

— Lord Anderson i ja nie mamy już cienia wątpliwości, że pani jest panną Simoną Montagnac, którą mocodawca mój sądził, iż poślubia w dniu 25 lipca 19...

— Sądził, że poślubia? — zapytałam, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć.

— *Yes*. Albowiem lord Anderson dążył do poślubienia właśnie panny Simony Montagnac, jakkolwiek by wyglądała osóbką nosząca to nazwisko.

Walter Anderson skinął potakująco głową.

— Wybaczą panowie, ale nic nie rozumiem—za-uważyłam.

- By to wyjaśnić, zmuszony jestem streścić wiele faktów, cofając się dość daleko w czasie. Przed dwudziestu pięciu laty pani chrestny ojciec, Karol de Florent, zapragnął poślubić pani matkę,

podówczas pannę Walentyne d'Erneville. Na nieszczęście, dwie rodziny dzieliły różnice poglądów politycznych i ani ojciec pana Karola de Florent, ani też ojciec panny Walentyny nie chcieli udzielić zgody na to małżeństwo. Panna Walentyna d'Erneville została przeto panią Montagnac, a Karol de Florent nie ożenił się w ogóle. Pan de Florent miał siostrę Janinę, o parę lat starszą od siebie, małżonkę wybitnego angielskiego uczonego Raymonda Andersona, ojca tu obecnego sir Waltera. W rezultacie więc Karol de Florent był jednocześnie pani ojcem chrzestnym i rodzonym wujem sir Waltera Andersona.

Mam nadzieję, że do tego momentu jasne są dla pani wzajemne stosunki osób, które stały się przyczyną pośrednią, a nawet i bezpośrednią zawarcia przez mego klienta tego małżeństwa.

Dotychczas wszystko jest zrozumiałe.

W obecnej chwili oboje państwo, to jest pani i sir Walter, jesteście jedynymi żyjącymi potomkami rodów d'Ernevillów i de Florentów.

— Rozumiem.

— Jest jeszcze jeden szczegół niezwyklej wagi, który winienem pani zdradzić — umierając przed pięciu laty pan Karol de Florent nie zostawił bezpośredniego spadkobiercy, nic miał bowiem dzieci, a pozostawiał fortunę liczącą dziesięć milionów.

W testamencie swym ustanowił pana Waltera Andersona swym generalnym spadkobiercą, uwarunkowując jednak objęcie spadku tym, że sir

Walter Anderson, jego siostrzeniec, poślubi jego chrzestną córkę, Simonę Montagnac, i przekaże jej tytułem posagu kwotę dziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Trudno mi wyjaśnić, dlaczego testator utrwalił w testamencie ten warunek, zamiast zapisać pani bezpośrednio tę kwotę. Możliwe, że obawiał się zaatakowania i obalenia testamentu przez starego pana de Florent! Ze słów jego ostatniej woli wynika, że nigdy nie wybaczył swemu ojcu, iż skazał go na celibat, zabraniając mu poślubić jedyną kobietę, którą kochał. Można również domniemywać, że pozostawanie w starokawalerskim stanie nie było spowodowane tylko jego romantyczną, a nieszczęśliwie zakończoną miłością, lecz że zrobił to poniekąd z zemsty, aby pozbawić swego ojca wszelkich nadziei *posiadania potomków* noszących jego nazwisko. Istotnie, na Karolu de Florent kończy się ród i wygasa ta rodzina.

Jakiegokolwiek by nie były rzeczywiste motywy, które podyktowały podobny testament pani chrzestnemu ojcu, jedna rzecz jest faktem niezbitym, a mianowicie jasno wyrażona wola, żeby pani została żoną Waltera Andersona.

— To jednak byłoby skojarzeniem przedstawicielki rodziny d'Erneville z potomkiem rodu de Florent — zauważyłam z uśmiechem.

— Właśnie o to chodzi. W bardzo serdecznym liście zaadresowanym do swego siostrzeńca Karol de Florent zaklina go, żeby zawarł to małżeństwo, twierdząc, że znajdzie on w jego chrzestnej córce

ideał żony. Otóż sir Anderson, który bardzo kochał swego wuja, bez zastrzeżeń przyjął na siebie obowiązek zrealizowania tej pośmiertnej zemsty i od razu wyraził zgodę na poślubienie towarzyszki życia, którą mu wyznaczył.

— Łaskawie przyjął żonę jako dodatek do owych dziesięciu milionów — zauważyłam ironicznie.

— Oczywiście—odrzekł notariusz, udając, że nie dostrzega ironii. — Ponieważ miliony te były jednym z punktów tego układu.

W czasie owych wyjaśnień Walter Anderson, siedząc ze skrzyżowanymi nogami w fotelu, w przeciwległym końcu pokoju, sprawiał wrażenie jakby ta rozmowa go nie dotyczyła. Trudno byłoby ustalić, czy słuchał jej, czy też wędrował myślami gdzieś daleko. Chwilami wpatrywał się uważnie w koniec swego bucika, który rzucał przelotne błyski w miarę lekkiego kołysania nogi, to znów oczy jego zatrzymywały się nieruchomo na futrynie wysokiego okna, przesłonięto lekką tiulową firanką.

— Wszystko, co mi pan powiedział, nie wyjaśnia jednak, jakim cudem lord Anderson urzeczywistnił to małżeństwo beze mnie i nawet bez mojej wiedzy?

Stawiając to pytanie niemal z lękiem oczekiwałam odpowiedzi, tak dalece w danej chwili przypuszczenia mistrza Dargile'a wydały mi się prawdopodobne:

„Mogła pani wyjść za mąż nieświadomie, stawiając ten decydujący krok życiowy bezwiednie, dla żartu, czy też wskutek czyjś podejścia”.

Ale pan Curnett rozproszył szybko moje obawy:

— Pytanie pani jest raczej kłopotliwe i trudno nam dać na nie całkowicie wyczerpującą odpowiedź. Nastąpiło tu nadużycie dobrej wiary pana Andersona. Żeby pani ą poślubić, trzeba było wpierw zawrzeć z panią znajomość, a do tego potrzebna nam była interwencja pani opiekuna. To on właśnie, nadużywając w sposób nikczemny naszego zaufania, opracował i wykonał cały ten plan. Bertheim przybył do Londynu i przedstawił nam uroczą panienkę, będącą rzekomo panną Simoną Montagnac, jego pupilką. Nie mieliśmy żadnego tytułu kwestionować autentyczność tej osoby i prawdziwość słów opiekuna. Nie przyszło nam wszystkim do głowy, że może on mieć interes w tym, żeby na miejsce pani podstawić kogoś innego. Lord Anderson poślubił więc tę młodą osóbkę, która była młoda, ładna...

— Wiem już: blondynka, elegancka, szykowna — przerwałam litanię pochwał nie bez cienia ironii, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku lorda Andersona. Ale jego twarz ani drgnęła nie zmieniając wyrazu krańcowej obojętności w stosunku do tego, co się koło niego mówi i robi.

— To pani ją widziała? — zapytał zdumiony notariusz.

— Nie, ale sir Anderson wyśpiewał mi cały pean na jej cześć.

Pan Curnett pokiwał tylko głową i ciągnął dalej:

— Niestety, zalety te ograniczały się tylko do jej wyglądu zewnętrznego. Okazało się, że jest

to bezduszna kokietka, despotyczna, rozrzutna, o wręcz nieznośnych cechach charakteru. Po niespełna miesiącu pożycie małżeńskie lorda Andersona stało się istnym piekłem.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerknąć w stronę lorda Waltera. Kiedy opowiadanie notariusza zeszło na tory bliżej go dotyczące, wstał i zaczął przemierzać gabinet wielkimi krokami. Twardy wyraz oczu i zaciśnięte usta świadczyły o tym, że ani jedno słowo pełnomocnika nie uszło jego uwagi. Zdziwiłam się nawet, że ani jednym gestem nie powstrzymał pana Curnetta od ujawniania dość intymnych szczegółów jego małżeństwa. Widocznie jednak sprawa ta była uzgodniona jeszcze przed moim przybyciem, notariusz bowiem mówił swobodnie dalej, jak gdyby osoby zainteresowanej nie było w pobliżu.

— Nie chcąc za wszelką cenę dopuścić do rozwodu, który by tak ucieszył jego dziadka Raula de Florent, kultywującego nadal niezycziwe uczucia w stosunku do córki Walentyny d'Erneville, klient mój ukrywał przed wszystkimi doznany zawód. Pomimo gehenny, jaką było to pożycie małżeńskie, wytrwał w nim przez całe dwa lata. Prawdopodobnie sprawy te nie uległyby zmianie po dziś dzień, gdyby owa niegodna kreatura, która podstępnie przywłaszczyła sobie pani imię i nazwisko, nie opuściła pewnego dnia po kryjomu domu swego rzekomego małżonka, zabierając ponadto pakiet papierów wartościowych na sumę stu sześćdziesięciu

tysięcy franków, które mój klient nieopatrznie przechowywał w szufladzie biurka.

Od tego czasu grasuje sobie gdzieś po świecie i tylko raz mieliśmy o niej wiadomość, znowu za pośrednictwem Bertheima, który zażądał w jej imieniu renty miesięcznej, grożąc skandalem, jeśli prośba nie będzie uwzględniona.

— Nie mogę pojąć jednej rzeczy. Jaki interes miał w tym mój opiekun, żeby podstawiać kogoś innego na moje miejsce — zauważyłam.

— Należy przypuszczać, że przyniosło mu to poważne korzyści materialne - zauważył pan Curnett. - Oczywiście, są to jedynie przypuszczenia. Bertheim był niemieckim Żydem, który przyjął obywatelstwo francuskie, bo mu to ułatwiało prowadzenie interesów. Musiał być bardzo chciwy i pozbawiony skrupułów, jeśli chodzi o sposoby wzbogacania się. Prawdopodobnie przewidywał, że lord Anderson, zmęczony wybrykami żony, zdecyduje się w końcu na rozwód, a w danym wypadku zmuszony będzie wypłacić żonie owe dziesięć tysięcy funtów, zapisanych jej testamentem jako posag. Zbędne jest chyba zaznaczać, że większa część tej sumy pozostałaby w jego kieszeni, wspólnicze oszustwa zaś przypadłyby tylko ochłapy. Ta nędznica zagrała zresztą wspaniale powierzoną jej rolę, ale przypadek chciał, że zdecydowana wola lorda Andersona pokrzyżowała ich plany.

— Ale co ja robię w tym wszystkim? Jak sobie Bertheim wyobrażał załatwienie całej sprawy ze mną?

— Ba! Możliwe, że uspokajał się tym, iż ma jeszcze całe cztery lata przed sobą. Cztery lata dla zatarcia śladów, zanim z okazji pani pełnoletności będzie zmuszony zdać pani rachunek z opieki. Przypuszczał, że do tego czasu wszystko będzie już załatwione, i gdyby się wszystko ułożyło tak, jak on to przewidywał, nie czekałby ukończenia przez panią dwudziestu jeden lat, żeby uciec i ukryć się gdzieś za granicą wraz ze swą współniczką.

W istocie, przypuszczenia pana Curnetta musiały być bliskie prawdy.

Kiedy pan Curnett po długich wyjaśnieniach odpoczywał, uwaga moja przeniosła się na sir Waltera Andersona.

Czoło jego przecinały poprzeczne zmarszczki. Z rękami skrzyżowanymi na plecach chodził miarowo wzdłuż gabinetu. Prawdopodobnie po raz pierwszy ujawniano bez obsłonek, wobec obcej mu osoby, jego niepowodzenia małżeńskie. Ten dumny człowiek musiał się czuć bardzo upokorzony. Toteż niezależnie od żalu, jaki miałam do niego, wzbudził we mnie współczucie.

— Zna więc pani teraz wszystkie okoliczności towarzyszące temu małżeństwu, zarówno te, które je poprzedziły, jak i te, które były poniekąd jego konsekwencją — zaczął znów notariusz. — Mam wrażenie, że nie opuściłem żadnego szczegółu, który mógłby się przyczynić do wyjaśnienia pani sytuacji. Teraz z kolei pani winna nam opowiedzieć, jaką

droga doszła pani do poznania prawdy i co zamierza pani teraz uczynić?

Streściłam pokrótce znane już fakty: śmierć Bertheima, pojawienie się pana Dargüe'a. Opowiedziałam w paru słowach, ile trudu musiał sobie zadać pan Dargile, żeby mnie przekonać, że istotnie jestem zameżna, i zakończyłam stwierdzeniem, iż dołożę wszelkich starań, aby unieważnić to małżeństwo będące jedynie nieporozumieniem.

— Ale po cóż zaraz unieważnienie? — zawołał nagle notariusz, któremu to określenie widocznie bardzo było nie w smak. — Substytucja osoby panny młodej nie przekreśla bynajmniej istnienia testamentu Karola de Florent. To przecież jego przedśmiertna wola zmusiła lorda Andersona do poślubienia pani.

— Przepraszam pana — odpowiedziałam natychmiast — ale ja nie dałam swej zgody na wypełnienie klauzuli tego testamentu.

— Niemniej testament ten czyni i panią bogatą. Nie sądzę, żeby to było rzeczą błahą i żeby należało to odtrącać, zwłaszcza że pani nie posiada żadnej fortuny osobistej.

— I pan sądzi, panie notariuszu, że zatrzymam dla siebie owe dziesięć tysięcy funtów, które mają mi przypaść z tytułu tego małżeństwa? Nie mam zamiaru pozbawiać pana Andersona jednego centima z odziedziczonej przezeń fortuny. Gotowa jestem natychmiast pokwitować odbiór tej sumy, jeśli pozwoli mi to uporządkować sprawy spadkowe. Ze

swej strony mam tylko jedną prośbę, żeby mi lojalnie dopomógł w rozwiązaniu tego małżeństwa.

— Nigdy!

Okrzyk ten padł z ust Waltera Andersona. Zatrzymał się przede mną i pobladły patrzył mi w oczy tak, jakby mi rzucał wyzwanie.

Drgnęłam uderzona jego siłą. Po raz pierwszy wtrącił się do naszej rozmowy.

Kiedy minął pierwszy wstrząs, muszę przyznać, że odczułam coś w rodzaju zadowolenia, że trafia się okazja wykazania mej niezłomnej woli i że mogę wreszcie z nim walczyć.

— Pan sobie nie życzy unieważnienia tego małżeństwa?— zapytałam spokojnie, nie mogąc jednak ukryć zdumienia.

— Nie, nie życzę sobie.

— A dlaczego?

— Z tych samych powodów, dla których znośłem na przestrzeni dwóch lat piekielny charakter tamtej kobiety... Nie chcę ani unieważnienia, ani rozwodu... tak długo przynajmniej, jak długo żyć będzie mój dziadek. Potem zobaczymy...

— A w jakim wieku jest pana dziadek?

— Ma siedemdziesiąt sześć lat i trzyma się znakomicie, jeśli można sądzić z pozorów. W każdym razie daje dowód żywotności, nie rezygnuje bowiem ze swych dawnych antypatii i bezwzględnych uprzedzeń.

Roześmiałam się mimo woli.

— Ależ, milordzie, to, co pan mówi, nie jest poważne. Nie znamy się wcale i nie kochamy... o tak, nie lubimy się ani trochę.

— Tak, to prawda.

— Powiem więcej, odczuwamy jedno do drugiego... raczej antypatię...

— Nawet antypatię... — powtórzył jak automat.

— Przeto jest rzeczą niemożliwą, żeby pan poważnie domagał się przedłużania tej idiotycznej sytuacji i trwania tego bezsensownego małżeństwa, które nas łączy pomimo wszystko. Przecież może się to przedłużyć na czas zupełnie nieokreślony, jeżeli pana dziadek zechce na przykład dożyć stu lat...

— To małżeństwo jest istotnie ciężkim dopustem, nawet dramatem, jeżeli pani woli, ale postanowiłem, że go nie zerwę tak długo, jak długo mój dziadek nie umrze. Otóż Anglik zna tylko jedno słowo. Jeżeli je da, chociażby samemu sobie, nic go nie powstrzyma od dotrzymania go.

Nie wytrzymałam i w tym miejscu wybuchnęłam śmiechem. Śmiech mój był może przesadny, ale odczuwałam żywe zadowolenie, mogąc go sprowokować swym zachowaniem.

— A więc pozwoli pan zauważyć, że ja również posiadam wolę i na nieszczęście moja wola skierowana jest w diametralnie innym kierunku.

Płomień przeleciał przez jego twarz.

— Zapłacę, ile tylko pani zechce, jeśli pani podporządkuje się mojej woli.

Nie przyzwyczajona do praktycznego zmysłu Anglików, odczułam jego słowa jako ponowne uderzenie w swoją godność. Mój drwiący śmiech nie zdradził jednak faktycznego stanu moich uczuć.

— Więc pan ma zamiar zapłacić mi za to, że zamieszkałam z panem i zatruję panu życie tak, jak moja poprzedniczka.

Przypuszczałam, że tym razem dźgnęłam go dość dotkliwie i że pierwszy zwycięski punkt mogę zapisać na swoje konto, tak mi się przynajmniej zdawało, kiedy obserwowałam jego zimne spojrzenie. Zawiodłam się jednak. Lord Anderson, bardzo opanowany, odparował mój cios, rzucając jakby od niechcenia:

— Czyżby prawdziwa Simona Montagnac miała zamiar wzorować się na intrygantce, która usiłowała podawać się za nią?

Speszyłam się. W zapale odwetu o mało nie zapomniałam, co jestem winna swojemu nazwisku i wychowaniu. Uśmiech zastygł na mojej twarzy i odpowiedziałam żywo:

— Właśnie dlatego, żeby nie stworzyć nawet pozoru, iż ją naśladowuję, stanowczo protestuję przeciwko takiemu postawieniu sprawy, które mogłoby wyglądać na sankcjonowanie oszukańczego małżeństwa zawartego przez nią.

— Mój Boże, nie wymagam wcale, żeby pani faktycznie była moją żoną i żebyśmy żyli ze sobą w idealnej harmonii...

— To bardzo dobrze, bo żaden wzgląd nie skłoniłby mnie do tego.

— Proszę mi wierzyć, że mnie osobiście bynajmniej na tym nie zależy. Nie odczuwam najlżejszego pragnienia zawarcia bliższych stosunków z panią.

Ten drwiący ton, zaledwie tylko maskowany zdawkową uprzejmością, zaczął mnie gniewać nie na żarty. Poza tym me byłam otrzaskana z owymi oratorsko-impertynenckimi zwrotami, w których brytyjska ironia kojarzyła się z pewnego rodzaju męską pogardą.

Skończmy już tę jałową dyskusję — zaczął znów po chwili, zmieniając nagle ton. — Proszę panią o pozostawienie wszystkiego tak, jak było. Zdecydujemy, że się nie znamy i nic sobie nie mamy do powiedzenia. Po prostu para obcych ludzi, którzy nie wiedzą nic o swym istnieniu.

— Ale to małżeństwo?

— Będzie sobie nadal trwało z punktu widzenia prawa. Pani zaś będzie sobie żyła jak dotąd, robiąc to, co się pani podoba, mieszkając we Francji, czy gdzie indziej, jak sobie pani życzy. Może pani nawet nadal pozostać dla swego otoczenia Simoną Montagnac. W zamian za to będę pani płacił rentę w wysokości, którą sama pani wyznaczy. Małżeństwo to ma na celu zemstę, z której za żadne skarby świata nie zrezygnuję. Może pani wykorzystać ten mój kaprys dyskutując warunki, jakie tylko pani dogadzają...

— Proszę nie nalegać. Szkoda pana słów. Stanowczo odmawiam.

— Ależ to jest szaleństwo. Pani jest w biedzie, a ja ofiaruję pani...

— Żadna kwota pieniędzy nie skłoni mnie do przyjęcia pana propozycji. Pan jest bardzo krótkowzroczny w swym samolubstwie, mój panie. Do tego bilansu nic wprowadza pan jednak jeszcze jednej rzeczy, z którą nie uważa pan nawet za stosowne się liczyć. Jest nią moja młodość, którą mam poświęcić nie wiadomo dlaczego, tak jak i moją wolność, i prawo do życia... Mam poświęcić to wszystko w imię pańskiej zemsty? Powiada pan, że pozostanę dla wszystkich Simoną Montagnac, niemniej będę nadal pana legalną żoną, czyli że każde inne małżeństwo stanie się dla mnie rzeczą niedostępną. A jeśli przyszłość postawi na drodze mego życia kogoś, kto obdarzy mnie miłością i zaufaniem, i zechce mi dać swoje nazwisko? Mam zrezygnować ze swego osobistego szczęścia, z radości odwzajemnionych uczuć, z dumy noszenia nazwiska człowieka kochanego, ze słodczy macierzyństwa? Z jakiego tytułu mam to wszystko przekreślić, złożyć na ołtarzu poświęcenia z powodu człowieka, którego nic znam i dla którego odczuwam zupełną obojętność. Jaką sumą można opłacić zwichnięcie życia? Może się pan łaskawie nad tym zastanowi. Nie, z całych sił, całym rozsądkiem, odtrącam pana propozycję i ten hańbiący układ, który jest zwykłym, kupieckim targiem.

Głos mój drżał ze wzruszenia. Tym razem moje słowa dyktowała już nie przekora i chęć odwetu. Broniałam swego prawa do szczęścia i kobiecej godności, nad którą przeciwnik mój przechodził do porządku bez cienia skrupułów.

Od chwili kiedy Walter Anderson wtrącił się do rozmowy, pan Curnett zachowywał dyskretne milczenie.

Przerwał je nagle:

— Proszę mi wybaczyć, drogi lordzie Anderson, i pani, panno Simono, że pozwolę sobie zainterweniować. Pozostawiłem państwu swobodę wypowiedzenia się... Zaczęliście państwo od mówienia sobie rzeczy raczej drażliwych i stanowczo nie[^] przyjemnych. Kolejno każde z was starało się dotknąć przeciwnika, chociaż doprawdy nie ma do tego najmniejszego powodu, ponieważ oboje jesteście w równej mierze ofiarami pewnego fatalnego splotu wydarzeń...

— O, przepraszam — przerwałam mu — osobiście mam poważne powody, żeby żywić głęboki żal do pańskiego klienta.

— Jakie powody?

— Dzięki panu Andersonowi, który wyrzucił mnie za drzwi ze swego domu, przeżyłam najcięższą chwilę upokorzenia, której się nie przebacza do końca życia i której nic nie zdoła wykreślić z mej pamięci.

— Był to tylko rezultat nieporozumienia. Przez moje usta klient mój uznał przed chwilą swój błąd,

witając w pani osobie prawdziwą Simonę Montagnac.
Wzruszyłam ramionami.

— To niczego nie zmienia. Pan Anderson pozostanie dla mnie na zawsze najniesympatyczniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu.

Lord Anderson skłonił mi się z przesadnym uznaniem.

— Przynajmniej w jednym punkcie jesteśmy zgodni, gdyż ze swej strony muszę zaznaczyć, że nie spotkałem jeszcze w życiu kobiety, która by się tak siliła na to, żeby być aż tak nieprzyjemną...

Ze zdumienia i przerażenia notariusz zamienił się w słup soli.

— Moi państwo — wtrącił się po chwili do rozmowy — *to* przecież nierozsądnie tak zaostrać wasze nieporozumienie. Pan, lordzie Anderson, jest najlepszym i najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. Jest pan potomkiem jednego z najstarszych naszych rodów, wybitnym pisarzem i stu-procentowym gentlemanem. To nie do wiary, żeby pan trwał nadal w tak agresywnym nastawieniu w stosunku do młodej tak dobrze wychowanej panienki. Zwłaszcza w tym wypadku, kiedy to ona padła ofiarą owego małżeństwa, łączącego bez jej zgody wasze dwa nazwiska.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego panna Montagnac ma być tak dalece godna pożałowania wyłącznie z tego tytułu, że jest moją legalną żoną — zauważył mrukliwie Walter Anderson.

— Oczywiście, że to nie o to chodzi — pośpieszył poprzeć go zacny notariusz.—Miss Simona nie może się uskarżać ani na szacowność pańskiego nazwiska, ani na pana stanowisko, tak towarzyskie, jak i w świecie literatury, jak również na znane wszystkim pana osobiste zalety. Z tego tytułu każda kobieta, nosząca pana nazwisko, może być tylko dumna!

— No więc...

— Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że więzy łączące ją z panem, zostały pannie Simonie narzucone przez pewne okoliczności nie mające uzasadnienia, ani w jej wolnej woli, ani w uczuciach.

— A czyż mój udział jest lepszy w tej całej sprawie?

— Muszę jednak podkreślić, że gdyby nie doszedł do skutku ów oszukańczy podstęp niegodnej istoty, która zadręczała lorda Waltera, prawdopodobnie żylibyście państwo najzgodniej, kochając się nawzajem i nie myśląc bynajmniej o rozstaniu. Przed czterema laty przypuszczalnie zawarliby państwo to małżeństwo dobrowolnie i po wzajemnym porozumieniu. Pani, panno Simono, nie miałyby tak przykrego wspomnienia z wizyty u lorda Andersona, a pan, drogi przyjacielu, nie przeżyłby momentu irytacji, wywołanej samym dźwiękiem nazwiska panny Montagnac, które wskrzesiło w panu bolesne wspomnienia tylu zawodów i rozczarowań.

Widząc, że lord Anderson nie ukrywa swego zniecierpliwienia, pan Curnett zwrócił się teraz bezpośrednio do niego:

— Niech pan przyzna, milordzie, że w początkach pożycia małżeńskiego używał pan wszelkich sposobów, żeby utrzymać w domu atmosferę harmonii i zgody.

— To się samo przez się rozumie.

— Otóż metody, które zawiodły z tamtą, osiągnęłyby zupełnie inne wyniki z panną Simoną.

— Ach, tu nie można robić żadnych porównań — przerwałam, nieco zniecierpliwiona jego ugodowym tonem.

N otariusz odwrócił się w moją stronę gwałtownie. - Dlaczego?

— Gdyż pan Anderson czyniąc te wszystkie wysiłki, ażeby się przypodobać kobiecie, która wykradła moje nazwisko, robił to z głębokiego wewnętrznego przekonania. Dlatego że ta kobieta była ładną blondynką, elegancką, wytworną itp., podczas gdy widok mojej osoby zrodził w nim tylko jedną myśl, żeby się mnie pozbyć jak najprędzej, a nawet brutalnie.

Mimo całej wewnętrznej urazy powiedziałam to w sposób lekki i z uśmiechem.

Pan Curnett nie mógł się również powstrzymać od uśmiechu, lecz lord Anderson się nie rozchmurzył.

— Umie pani długo chować urazy, panno Montagnac. Kobieta, która uzurpowała sobie pani miejsce, była istotnie bardzo przystojną osobą. Czego to jednak dowodzi? Ona była blondynką, pani jest szatynką. Nic sędzę, żeby kolor włosów mógł decy-

dować o tym, czy ktoś jest uroczy. Jakie jest pana zdanie w tej sprawie, lordzie Anderson?

Zapytany wzruszył ramionami i odpowiedział zniecierpliwionym głosem:

— Cóż znaczy moje zdanie w sytuacji, kiedy nie mam żadnego wyboru. Przypadek zdecydował za mnie, nie pytając mnie o gust... — i zakończył z goryczą: — biorąc pod uwagę wszelkie rozkosze, które czekają mnie w przyszłości w tym małżeństwie, jest mi to doprawdy z gruntu obojętne, czy żona moja jest ładna, czy brzydka.

— Ach jesteśmy małżeństwem w stopniu tak nieznacznym... — zaprotestowałam.

— O, przepraszam. Akt ślubu jest formalnie sporządzony i najzupełniej prawomocny — oburzył się notariusz. — Jesteście państwo zaślubieni i związek wasz ma ważniejsze znaczenie formalne, niż prawne, podyktowała go wam bowiem wola waszych zmarłych krewnych, a to jest chyba w tym wypadku bardziej miarodajnie od wszelkich możliwych dokumentów prawnych. Uważam więc, w konkluzji naszej rozmowy, że zanim przystąpimy do zrywania tego związku, co jest wyraźnym żądaniem panny Simony, lub zanim ułożą sobie państwo dwa oddzielne i niczym nie związane życia, jak to proponuje mój klient, winniście państwo rozpocząć od tego, żeby się przekonać, czy istotnie nie możecie państwo współżyć ze sobą.

Ten sam odruch protestu poderwał z miejsca mnie i lorda Andersona.

— Nigdy! — krzyknęłam.

— To niemożliwe! — zawołał lord Anderson.

— Po co to „nigdy” i „niemożliwe” — zauważył spokojnie notariusz, wcale nie wytrącony z równowagi naszym żywym protestem. - Nie znacie się państwo zupełnie, co do tego chyba nie ma ze strony państwa sprzeciwu. Powinniście się państwo bliżej poznać, tak jak tego pragnęli autorzy testamentu, i dopiero potem podejmować dalsze decyzje. Uważam, że jest to jedyne logiczne i lojalne wyjście z tej sytuacji.

Zaniemówiłam ze zdumienia, patrząc kolejno to na notariusza, którego zachowanie cechował zupełny spokój, to na lorda Andersona, który nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

— Proszę mi wybaczyć, drogi panie Curnett, ale nie spodziewałem się z pana strony wystąpienia, które przekracza granicę uzgodnionej między nami taktyki. Zanim pan wysunął ten projekt, winien pan był porozumieć się ze mną. Ledwo powróciłem do jakiej takiej równowagi i spokoju, a już chce pan, żebym popełniał nowe szaleństwo, rozpoczynając *da capo* ten sam eksperyment z osobą, która...

— Dość, dość, lordzie Anderson — przerwał mu notariusz. — Niechże pan już skończy z tymi komplementami pod adresem miss Montagnac. Proszę mi wierzyć, nie zna pan i nie docenia tej panienki, tak jak ona nie docenia pana. Żadne z was nie może osądzać drugiego jedynie na podstawie pozorów.

— Curnett, powtarzam, że przekracza pan udzielone panu pełnomocnictwo — przerwał z kolei Walter Anderson, doprowadzony niemal do wściekłości.

— To w imię pana dobra, drogi przyjacielu — odpowiedział mu prawnik z imponującym spokojem. — Możliwe jednak, że każde z was ma jakieś osobiste przyczyny, które każą wam odtrącić moją propozycję. Chętnie pomówię z każdym z was z osobna, jeśli się państwo na to zgodzą. W ten sposób będziecie się mogli państwo wypowiedzieć zupełnie swobodnie.

Walter Anderson zgodził się natychmiast. Nie trzeba było nadmiernej spostrzegawczości, żeby sobie zdać sprawę, jak dalece nieponętna była mu perspektywa jakiegokolwiek zbliżenia ze mną.

Jeśli chodzi o mnie, to nie widziałam celu takiego eksperymentu. Żaden argument nie zdołałby już zachwiać moją opinią, odnośnie człowieka, którego los przemocą mi narzucił.

Notariusz otworzył drzwi gabinetu, zapraszając mnie gestem, bym przeszła do sąsiedniego pokoju.

— Proszę, niech pani zechce łaskawie spocząć w tym saloniku, miss Montagnac, dopóki się nie rozmówię z lordem Andersonem. Za chwileczkę jestem całkowicie na pani usługi.

Mój wyraz twarzy dał mu chyba wyraźnie do zrozumienia, że proponowana przez niego forma porozumienia nie trafia mi wcale do przekonania.

— Uważam, że owa próba dogadania się z nami jest co najmniej zbędna. Nigdy nie zdołam poczuć się żoną człowieka, którego sama nie wybrałam.

Pan Curnett starał się mnie uspokoić słowami:

— Moje dziecko. Przemawiam w tej chwili w imieniu pani matki i ojca chrzestnego, których życzliwego oddania nie będzie chyba pani kwestionować... Na pamięć tych obu drogich pani osób proszę uwzględnić moją prośbę. Jestem pewien, że gdyby pan Dargile był tu obecny, poparłby mnie z całą energią.

— Dobrze więc, poczekam, zobaczymy, czy rozmowa ta zda się na coś — odpowiedziałam, ulegając jego argumentom. Przeszłam do saloniku, którego drzwi wychodząc notariusz zamknął starannie za sobą.

ROZDZIAŁ VIII

Nie umiałabym określić, jak długo trwała rozmowa notariusza z lordem Andersonem. Czas dłużył mi się okropnie, chociaż zużyłam go na powtarzanie sobie we wszelkich możliwych wariantach mego postanowienia: nie zgodzę się za nic w świecie na zamieszkanie z tym człowiekiem.

Wreszcie drzwi uchylły się i notariusz ukazał się na progu. Powróciłam z nim razem do gabinetu, w którym nie zastałam już lorda Andersona. Jego nieobecność potwierdziła mój domysł, że nie dał się również przekonać swemu pełnomocnikowi i że odjechał do domu.

— Czy zastanowiła się pani, miss Simono, nad tym, o co panią prosiłem przed chwilą — zapytał od razu prawnik.

— Tak, zastanowiłam się, ale to w niczym nie zmienia mego postanowienia. Próba, którą pan proponuje, może doprowadzić jedynie do kompletnego fiaska. Między pana klientem a mną nie tylko brak cienia sympatii, ale zasadniczo różnimy się temperamentami i wychowaniem. Rozumując

logicznie, musimy dojść do wniosku, że nigdy nie znajdziemy ze sobą wspólnego języka.

— Bo może pani nie jest już panią swego losu?

— zauważył zniechęca prawnik, obserwując mnie tak przenikliwie, że mimo woli zaczerwieniłam się bardzo zażenowana.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że może oddała już pani serduszko temu dzielnemu młodemu chłopcu, o którym wspomniała pani mimochodem.

Teraz oblałam się już na dobre purpurą.

— Daję panu słowo, że nie. Z całą swobodą rozporządzam swoim losem. Żaden mężczyzna nie obudził dotychczas we mnie poważniejszych uczuć, nawet... przyjaźni. Przecież dopiero przed trzema miesiącami opuściłam szkołę klasztorną, a w tak krótkim czasie nie miałam możliwości zastanawiać się nad zagadnieniem miłości i małżeństwa.

— A więc jest pani zupełnie wolna?

— Najzupełniej.

— Wybacz, drogie dziecko, ten nacisk, może nawet niedelikatny ze strony obcego człowieka. Ale odtrąciła pani z takim oburzeniem propozycję współżycia z lordem Andersonem, że wywnioskowałam z tego, iż ktoś inny zdążył już zawładnąć pani serduszkiem.

— Nie, moje oburzenie nie ma nic wspólnego z przeżyciami natury uczuciowej. Czyż pan nie zdążył jeszcze zauważyć — dodałam ze śmiechem

— że nawet teraz, kiedy chcemy zachować formy

kurtuazji, wystarczy, żeby jedno z nas powiedziało „białe”, a już drugie odpowiada „czarne”.

— Czasem może to świadczyć o tym, że dwoje ludzi dochodzi do porozumienia.

— Możliwe, ale nie w tym wypadku.

— Mówi pani jak dziecko, któremu bezwiednie zrobiono niesprawiedliwy zarzut i które obraziwszy się, boczy się w kąciku, zamiast przyjąć z uśmiechem smakołyk, który mu się ofiarowuje jako zadośćuczynienie.

— Pan Anderson należy do smakołyków raczej gorzkich i kłujących — zauważyłam z grymasem niesmaku.

— Kasztany i orzechy mają również chropowatą i twardą powłokę, moja maleńka panienko, co nie przeszkadza, że jądro ich jest wyjątkowo smaczne.

— Ale mnie zupełnie nie dopisuje apetyt na ten przysmak.

— Jestem więc zmuszony zastosować lekki aperitif.

Pocziwy notariusz starał się mówić tonem lekkim i po ojcowsku, co przyniosło mi nawet pewną ulgę. Doprawdy w obecności zacnego prawnika trudno mi było, z całą powagą, wytaczać ciężkie baterie poważnych zarzutów przeciwko Walterowi Andersonowi.

Wyszukawszy w jednej z teczek rozłożonych na biurku jakiś list, pan Curnett podał mi go, mówiąc:

— Oto jest coś, co niewątpliwie pobudzi ten pani uśpiony apetyt.

Chociaż atrament zblakł już na papierze, który zapewne od dawna przebywał w zamknięciu, od razu rozpoznałam pismo. Nagle łzy przyćmiły mój wzrok i zadrżałam.

— To list pisany ręką mojej matki — szepnęłam, czując skurcz gardła.

— Tak jest, to list pani de Montagnacdo Karola de Florent, pani chrzestnego ojca. Chciałem oszczędzić pani przykrości poruszania tych smutnych, choć zapewne drogich pani sercu wspomnień, lecz obowiązkiem notariusza jest dopilnować, żeby wola tych, których już nie ma na ziemi, była ściśle wykonana. Zmuszony więc jestem przekonać panią wszelkimi argumentami, że byłoby to uchybieniem pamięci matki pani, gdyby pani, bez słusznych motywów, odrzuciła propozycję zostania żoną mego klienta.

Czy moja matka go знаła?

— Odwiedzała go parokrotnie w Normandii, w szkole, gdzie przebywał na studiach. Pan Anderson nie zapomniał do dziś dnia tych odwiedzin. Proszę, niech pani czyta. Sama się pani przekona, do jakiego stopnia matka pani pragnęła tego małżeństwa.

Drżącymi palcami ujęłam podawany mi przez notariusza arkusik papieru.

— Jest to przedśmiertna prośba stroskanej matki, która ma świadomość, że pozostawia swoje dziecko bez majątku i bez żadnego oparcia w życiu — ciągnął dalej notariusz. — Błaga ona Karola de

Florent, żeby czuwał nad panią, przypominając mu, że gdyby nie upór ich rodziców, on byłby ojcem pani i naturalnym pani opiekunem. Wreszcie, odnośnie małego Waltera, przypomina mu projekty przyszłości, które tak często snuli razem, widząc, jak rośniecie... Ale niech pani sama przeczyta te słowa tchnące miłością dla pani i troską o ukochane dziecko. Przekona się pani o prawdzie mych słów.

Ze zrozumiałym wzruszeniem przebiegłam wzrokiem drogie kartki listu.

Notariusz uszanował moje milczenie po odczytaniu listu i udał, że nie widzi łez, które zawisły mi na rzęsach. Dopiero po paru chwilach zapytał łagodnie:

— A więc, co pani teraz postanawia? Zrobiłam nieokreślony gest i zakryłam rękoma

twarz, chcąc ukryć przed jego wzrokiem walnę, jaka rozpętała się w mej duszy.

— Wierz mi, drogie dziecko, że to, o co panią proszę, ma na celu jedynie dobro pani.

— Wierzę panu, ponieważ teraz wiem, że jedynie popiera pan życzenie mojej matki... Usłucham tego rozkazu z za grobu i przejdę do porządku nad moimi osobistymi uczuciami. Rozumiem, że jest to mój obowiązek córki, i poddam się temu nakazowi.

— Zatem zgadza się pani? — zapytał z nie ukrywanym zadowoleniem.

— Tak. Zanim zdecyduję się na zerwanie węzłów, łączących mnie z lordem Andersonem, gwoli życzeniu mej matki spróbuje, czy istotnie mogę zostać żoną tego, któremu mnie za życia przeznaczyła.

Notariusz wyciągnął do mnie obie dłonie.

— Dziękuję ci, drogie dziecko. Wiedziałem, że słowa listu matki przekonają panią.

— Ale co na to powie pan Anderson? — spytałam. — Przypuszczalnie teraz on odmówi?

— O nie. Zgadza się tak samo jak pani.

— Zgadza się? — powtórzyłam zdumiona. — Jakiegoż argumentu użył pan w stosunku do niego?

— Takiego samego, z tą tylko różnicą, że jemu pokazałem ostatnią wolę jego wuja. A teraz — ciągnął dalej zmierzając do portiery, maskującej wejście do innego jeszcze pokoju idę go wezwać.

Kiedy ręka jego już miała uchylić portiery, wstrzymał się i zawrócił ku mnie. Pochylając się nisko, żeby móc mówić jak najciszej, jak gdyby się lękał, że ktoś może usłyszeć to, co ma mi do powiedzenia, szepnął błagalnie:

— Zanim zakończymy nasze porozumienie, droga mała miss, proszę mi przyrzec, że lojalnie dołoży pani wszelkich starań, aby pokochać lorda Andersona. Zwłaszcza proszę mi obiecać, że nie da się pani zwieść pozorom chłodu i obojętności, i że to pani nie zrazi tak od razu. Trzeba koniecznie, żeby pani pozwoliła się pokochać... więcej nawet, trzeba, żeby pani do tego doprowadziła za wszelką cenę... to jest konieczne. Znam go od dawna i bardzo dobrze. Wiem, że jest to dobry chłopak i że pani znajdzie u jego boku prawdziwe szczęście. Niech mi pani da słowo, że nie zaniedba pani niczego, żeby wzbudzić w nim uczucie dla siebie.

Patrzyłam na notariusza z wyraźnym przerażeniem.

— Ależ ja nie potrafię tego dokonać, zwłaszcza jeżeli on pozostanie nadal tak chłodny, dumny i nieprzystępny jak dotąd. W tych warunkach to, o co pan prosi, jest po prostu niemożliwe, nawet nie mogę zrobić pierwszego kroku...

— „Niemożliwe”, to nie jest wyraz z francuskiego słownika.

Głos jego miał ton tak szczerzej prośby, że uznałam, iż powinnam usłuchać jego rady.

— Postaram się, to jedno mogę panu przyrzec — zapewniłam go z całą powagą.

— Więc mam pani słowo? — zapytał raz jeszcze, ściskając moje dłonie.

Teraz już udał się do Waltera Andersona, który oczekiwał go w sąsiednim pokoju.

Po powrocie do gabinetu oczy młodego człowieka spoczęły na mnie badawczo. Spostrzegł zaczerwienienie moich powiek i odgadł prawdopodobnie, z jaką energią sprzeciwiałam się początkowo naleganiom starego notariusza, zwrócił się bowiem do niego, pytając krótko:

— A więc?

— Panna de Montagnac gotowa jest poddać się ostatniej woli swej matki.

— To znaczy że...

— Nie będzie usiłowała zerwać tego małżeństwa, dopóki wzajemnie nie utwierdzicie się państwo w przekonaniu, że istotnie współzycie wasze jest niemożliwe.

— Ale czy decyduje się udać ze mną do domu i zająć tam miejsce, które jej się należy zupełnie legalnie.

Słowa te spowodowały u mnie gest wyrażający zaskoczenie. Notariusz uspokoił mnie lekkim skinieniem i spojrzeniem wyrażającym niemą prośbę.

— Oczywiście — odpowiedział w moim imieniu — uważam, że miss Simone znajdzie się w domu swego małżonka i przy jego boku w sytuacji daleko odpowiedniejszej dla siebie, niż w roli lektorki u osób obcych.

Lord Anderson zwrócił się teraz bezpośrednio do mnie:

— Czy jest to również i pani zdanie?

— Jeżeli pan się na to decyduje, to tak — odpowiedziałam zmieszana.

Skłonił się przede mną, nie okazując zadowolenia, ale już bez uprzedniego chłodu.

— Dziękuję, lady Anderson, że wyraziła pani zgodę na tę próbę. Ufam zresztą, że wszystko ułoży się między nami jak najlepiej.

Zaczerwieniłam się słysząc, jak mnie tytułuje „Lady Anderson”, czego mi pan Curnett dotychczas oszczędził.

Dopiero po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że nadając mi ten tytuł, chciał podkreślić, że wprowadza do swego domu jedynie legalną małżonkę, a nie kobietę, obojętne, młodą czy starą, piękną czy brzydką.

Było mi to zresztą w danej chwili obojętne,

ponieważ zdecydowałam się towarzyszyć swemu mężowi, a nie mężczyźnie, do którego nie odczuwałam żadnego pociągu.

Pan Curnett, zachwycony takim rozwiązaniem sprawy, zacierał ręce z zadowolenia.

— Doprawdy, nie straciłem dziś czasu na próżno. Jestem niewymownie rad, moje dzieci, że się daliście nakłonić do takiego rozwiązania. Lord Anderson wprowadza wreszcie do swego domu dzielną i zacną panienkę z uczciwego gniazda. Należała mu się od losu taka rekompensata za doznany zawód. A pani, droga milady, wejdzie do domu otoczonego szacunkiem i *zajmie* tam miejsce, które winna pani była objąć już przed czterema laty. Jestem zadowolony... tak bardzo zadowolony!

Walter Anderson spiorunował pełnomocnika spojrzeniem, w którym można było wyczytać, że uważa jego radość za przedwczesną i że obrazek rodzinny, który szkicuje, sprawia mu raczej przykrość.

Ale radość notariusza była tak wielka i szczerą, że wymowa spojrzenia lorda nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

— Tak, tak, lordzie Anderson, proszę nie spoglądać tak ponuro i cieszyć się wraz ze mną. Powtarzam raz jeszcze, że dobrze dziś zużytkowałem czas i jestem z siebie zadowolony.

— Miejmy nadzieję, że pan nic pożałuje tej przedwczesnej radości.

— Jestem zupełnie pewien swego, niechże i pan pozbędzie się swych wątpliwości. A pani, drogie dziecko — dorzucił z powagą — niech pani towarzyszy bez cienia lęku swemu małżonkowi i nie zapomnieć danej mi obietnicy. To jest wszystko, o co panią raz jeszcze gorąco proszę.

— Dałam przecież słowo — odpowiedziałam, wyciągając dłoń na pożegnanie.

Parę minut później Walter Anderson opuścił wraz ze mną dom pana Curnetta, który z wielką kurtuazją odprowadził nas aż do drzwi wyjściowych.

Samochód mego męża stał u podjazdu. Lord Anderson otworzył drzwiczki i usunął się ustępując mi pierwszeństwa i podając dłoń, na której win nam się była oprzeć.

Króciutka chwila wahania i rzut oka na ożywioną ulicę. Zaledwie przed paru godzinami przyszłam dobrowolnie do tego domu, a wychodziłam z niego przykuta do męża, którego nie kochałam i który był mi raczej antypatyczny; mroził mnie swym wyniosłym chłodem i z pewnością nigdy nie okaże się wyrozumiały.

Ogarnął mnie głęboki smutek. Wydało mi się w tej chwili niepodobieństwem, żebym dotrwała do końca tej ciężkiej próby. Moje spojrzenie napotkało czujny wzrok lorda, którego uwadze nie uszło zapewne to wahanie. Zawstydziałam się własnej słabości w parę chwil po tym, jak zdecydowanie zobowiązałam się pójść za nim, toteż stłumiwszy westchnienie, pochyliłam głowę i weszłam szybko do

limuzyny. Siadając w głębi siedzenia usiłowałam zająć jak najmniej miejsca, wtulając się w sam kąt, jak gdybym już teraz chciała za wszelką cenę uniknąć zetknięcia z nim.

Milczeliśmy oboje pierwszą połowę drogi. Wreszcie ja przerwałam milczenie:

— - Mogę dopiero jutro udać się do pana domu. Muszę jeszcze uregulować hotel i zabrać bagaże.

Rzucił okiem na zegarek.

— Mamy jeszcze czas wstąpić tam po drodze. — Ujął trąbkę akustyczną i rozkazał szoferowi jechać pod wskazanym przeze mnie adresem.

— Niepotrzebnie fatyguję pana — zaprotestowałam uprzejmie. — Mogłam sama pojechać do hotelu, albo odłożyć tę sprawę do jutra.

— Lepiej będzie, jeżeli załatwimy wszystko od razu.

— Ale potrzebuję trochę czasu, żeby spakować walizkę. Nie chciałabym narażać pana na czekanie.

— Weźmie pani tylko najniezbędniejsze drobiazgi. Poślę tam jutro służącego, który resztę załatwi.

Nie nalegałam więcej. Zdałam sobie sprawę, że nie dopuści do tego, żebym się z nim rozstała tego dnia bodaj na chwilę. Ponieważ nie miałam bynajmniej zamiaru uchylać się od przyjętych u pana Curnetta zobowiązań, było mi właściwie obojętne, czy mój mąż stosuje celowo, czy też bezwiednie, owe ostrożności.

Kiedy samochód stanął przed wejściem do hotelu, wyskoczyłam lekko na chodnik, mówiąc:

— Tylko minutkę... zaraz powrócę. — Skacząc po parę schodów wbiegłam szybko na piętro, gdzie znajdował się mój pokój.

Bawiłam już w nim od kilku minut, zajęta pakowaniem sporej ilości rzeczy do trochę zbyt szczupłej walizki, kiedy usłyszałam lekki szmer za moimi plecami, który zmusił mnie do odwrócenia głowy. JCu memu wielkiemu zdumieniu ujrzałam za sobą Waltera Andersona we własnej osobie.

Badawczym spojrzeniem wędrował po meblach pokoju który był czysty, choć skromny i mały, unikałam bowiem zbędnych wydatków.

— Wszedłem, żeby dopomóc pani, jeżeli pani ma coś cięższego do dźwigania — wytłumaczył powód swej obecności.

— Dziękuję bardzo. Zabieram tylko tę walizkę. Jutro przyjdę po pozostałe rzeczy.

Zabrał mi z rąk walizkę, którą na szczęście udało mi się domknąć, nie bez trudu zresztą. Ruszył przodem, obejrzawszy się na progu, czy rzeczywiście podążam za nim.

— Uregulowałem już rachunek z portierem i uprzedziłem go, że jutro przyślemy po pozostałe bagaże.

— Dziękuję panu — odpowiedziałam po prostu, będąc zdecydowana przyjmować wszystko zupełnie naturalnie, przekonana, że wizyta mego „małżonka” w pokoju miała jedynie na celu upewnienie się, czy przypadkiem nie mam zamiaru drapnąć.

Znowu zawarczał motor samochodu i w dziesięć minut potem elegancki wehikuł lorda Andersona zatrzymał się u podjazdu domu, który przed dwoma dniami opuszczałam z tak upokarzającym uczuciem osoby wyproszonej za drzwi.

ROZDZIAŁ IX

Ledwo tylko zgrzytnęły z lekka hamulce maszyny, drzwi wejściowe otworzyły się i w obramowaniu ich ukazał się ten sam stary służący, który jednym bodaj drgnieniem mięśni twarzy nie zdradził, że mnie poznaje,

Lord Anderson oddał mu walizkę i odwrócił się, żeby mi podać rękę przy wysiadaniu.

— Witam panią, milady, na progu jej domu, do którego mam zaszczyt panią dziś wprowadzić. Pragnę panią właśnie w tym miejscu przeprosić za złe przyjęcie, jakiego pani tu doznała przed paru dniami. Mam nadzieję, że zechce pani uwzględnić mój szczerzy żal z tego powodu i nie będzie więcej chować urazy do człowieka, który pragnie zasłużyć na całkowite rozgrzeszenie.

Przyznaję, że wzruszyła mnie delikatność intencji, która dyktowała mu te słowa, właśnie w chwili, kiedy stawiałam pierwszy krok w jego domu. Chociaż w niezmiernie ugrzecznionym tonie jego głosu nie było żadnego ciepła, uściśnęłam lekko palcami dłoń, którą mi podał pomagając wysiąść z samo-

chodu, i zapewniłam, że jego obecna kutuazja wymazuje z mej pamięci tamto zdarzenie.

Jasno oświetlony żyrandol rzucał ciepły blask na boazerie obszernego przedsionka. Mimo to stary służący wziął do ręki trójramienny lichtarz o zapalonych świecach, których różowawe światelko ślizgało się po lustrzanych płaszczyznach miedzianych ornamentów.

Zwrócony w stronę lorda Andersona z wyrazem pełnego szacunku oddania, czekał tylko na jego rozkazy.

— Johnie, proszę nas poprowadzić do apartamentów milady...

— Apartamentów mil...? — stary nie dokończył słowa, jak gdyby lękając się, że nie dosłyszał, czy też nie zrozumiał właściwie rozkazu.

Milady — dokończył za niego pan domu tonem suchym i rozkazującym. — Czyżbyś już zapomniał, gdzie się one znajdują?

— Najmocniej pana przepraszam — wykrzyknął staruszek, wbiegając szybko po stopniach szerokich schodów. — Jakżebym mógł zapomnieć, skoro codziennie sprzątam tam z całą starannością, mówiąc sobie, że pewno nadejdzie wkrótce ten szczęśliwy dzień, kiedy jaśnie pan wprowadzi tam z powrotem towarzyszkę życia, dla własnego szczęścia i zapewnienia potomstwa rodowi, któremu od tylu już lat służę wiernie i z całkowitym oddaniem...

Lord Anderson przerwał staremu tasiemcowe zdanie, czyniąc to jednak pobłażliwie i serdecznie:

— Boże! Ależ z ciebie gaduła, mój poczciwy Johnie... Twoja niamka zrobiłaby ci swego czasu prawdziwą przysługę, gdyby przycięła koniuszek języka. Prędzej, staruszkule. Pozapalaj tu wszystkie światła i rozpal ogień na kominku, boję się, że jest tu może trochę chłodno.

Stary John dreptał od kontaktu do kontaktu przekręcając kolejno wszystkie, tak że w krótkim czasie ze dwadzieścia żarówek rozświetliło duży pokój, do którego weszliśmy.

Ujrzałam błękitny odcień jedwabistych tapet, szereg lustrzanych tafli w ścianach, gmatwaninę artystycznych arabesków sufitu i koronkowość deseni poduszek rozrzuconych po kanapach i fotelach. W owej bajkowej scenerii luksusowego salonu oczy moje nie odróżniły początkowo poszczególnych fragmentów. Stałam pośrodku pokoju zaskoczona bogactwem umeblowania.

Stary sługa wpatrywał się we mnie z nabożeństwem. Ręce miał złożone jak do modlitwy.

Przypuszczam, że musiało to wyglądać dość dziwnie. On jak w transie, a ja raczej zażenowana jego zachwytem.

No więc, Johnie, co z tym ogniem? Na co jeszcze czekasz? — rozległ się rozkazujący głos pana tego domu.

Widocznie jednak staruszek cieszył się specjalnymi przywilejami i mógł śmiało liczyć na wyrozumiałość ze strony lorda Andersona, na dźwięk bowiem jego głosu nawet się nie poruszył.

— Mój Boże — monologował półgłosem. — Czy to prawda? Pan powiedział „milady”? Moje stare uszy lękają się, czy dobrze dosłyszały... Niechże mój pan potwierdzi staremu słudze tę szczęśliwą nowinę.

Przy ostatnich słowach zwrócił się do lorda Andersona i z niepokojem oczekiwał jego odpowiedzi. Zapytany lord Anderson wzruszył tylko ramionami, zniecierpliwiony natarczywością służącego.

— Ależ tak. To jest milady, jedyna, prawdziwa lady Anderson, której oczekiwałeś od dawna, a która winna była znaleźć się już tu przed czterema laty. No, jesteś zadowolony, mój stary?

— Przed czterema laty — powtórzył mechanicznie starszek, jak gdyby szukając w myślach rozwiązania tej niezrozumiałej dla niego zagadki. — Jedyna, prawdziwa milady powiada pan?... prawdziwa? powtórzył raz jeszcze.

I jak gdyby odgadł wreszcie wszystko, czego jego pan nie dopowiedział dodał:

— Wybacz, milordzie, ale trzeba, żeby mój młody pan powiedział jeszcze staremu Johnowi, który go wychował, czy jego serce rozsadza taka sama radość, jak serce jego wiernego sługi, który dożył wreszcie tego pięknego dnia.

Jak gdyby chmurka przemknęła przez twarz młodego człowieka.

— Ależ oczywiście, Johnie, oczywiście — potwierdził, starając się nadać swemu głosowi radosny odcień — Jakżeby mogło być inaczej, przecież wprowadzam do domu prawdziwą panią, której

miejsce, wykorzystując moją łatwowierność, zagarnęła bezprawnie nędzna intrygantka.

— Kiedy mój pan jest szczęśliwy, wszystkie pragnienia jego starego sługi są spełnione.

Zanim zdążyłam zapobiec temu, co nastąpiło, staruszek ukląkł przede mną i ucałował z pietyzmem rąbek mojej sukni.

— Pozdrawiam, milady, w starym domu Andersonów. Niech milady raczy przyjąć, z ust najstarszego ze służby domowej hołd pośmiertny tych wszystkich, którzy zamieszkivali mury tego domu. Niech milady raczy również przyjąć wyrazy najgłębszego oddania tych wszystkich, którzy służyć jej będą w tym domu z tym większym zapalem, że wszyscy tak bardzo pragnęli jej przybycia.

Jego niemal feudalny gest wzruszył mnie niepomiernie, tak dalece był nieoczekiwany. Wzruszenie spotęgowały jeszcze jego patetyczne słowa powitania.

Spojrzałam na lorda Andersona, który z niezwykłą powagą wysłuchał w milczeniu słów Johna.

— Dziękuję wam, mój zacny Johnie, za takie życzliwe przyjęcie — powiedziałam, dopomagając staremu podnieść się z klęczek. — Możecie być pewni, że dołożę wszelkich starań, by godnie zastąpić wszystkie moje poprzedniczki.

Przy ostatnich słowach Walter Anderson lekko się skrzywił.

— Mówię o pana matce i wszystkich poprzednich

paniach tego domu, lordzie Anderson — wyjaśniłam łagodnie.

Położyłam potem obie dłonie na ramionach staruszka, kończąc:

— Zależy mi specjalnie na tym, mój zacny staruszk, żeby wam wyrazić całą moją wdzięczność za miłą niespodziankę, jaką mi sprawiliście.

— Co mówiąc na obu pomarszczonych policzkach starego wycisnęłam serdeczny pocałunek. Po czym odwróciłam się, czując że wzruszenie zwilża mi oczy. Mój dziecinny gest tak wstrząsnął staruszką, że zaczął dygotać z wrażenia. Usiłował coś powiedzieć, lecz żaden dźwięk nie mógł się wydobyć ze ściśniętego gardła. Spojrzał bezradnie na lorda Andersona, który nawet teraz nie zmienił kamiennego wyrazu twarzy.

— Idź już, idź, staruszk. Zajmij się zapaleniem na kominku w tych wyieżbionych pokojach — powiedział jego pan, popychając go z lekka i przyjaźnie w kierunku drzwi.

Kiedy stary zniknął za drzwiami, powrócił do mnie.

— Muszę być specjalnie wyrozumiały dla mego starego Johna, który niańczył mnie w dzieciństwie i był jeszcze przy narodzinach mego ojca. Niech panią zbytnio nie dziwi jego spoufalenie, podyktowane przecież przywiązaniem do naszej rodziny. Przeżywszy u nas całe swe życie czuje się on niemal członkiem rodziny. Poczuję się do specjalnych względów w stosunku do niego.

— Niech pan nie usiłuje mi tłumaczyć rzeczy, które uważam za zupełnie naturalne.

Dostrzegłam, jak mnie obrzucił szybkim i przenikliwym spojrzeniem, i nagle zmieniając temat rozmowy, zagadnął:

— To są więc pani apartamenty. Tu jest salonik, a tuż obok pani sypialnia.

Mówiąc to otwierał drzwi po przeciwnej stronie pokoju. Szłam w ślad za nim, lecz nagle zatrzymałam się przed obrazem wiszącym na ścianie.

— Ojciec chrzestny - szepnęłam z przejęciem. - Poznała go pani'? — zdziwił się niepomiernie.

— Jakże mogłabym go nie poznać, jego? Po śmierci matki on jeden interesował się mną... Nigdy nie zapomnę jego szorstkiej trochę, lecz jakże życzliwej mi twarzy.

— Był również moim najserdeczniejszym przyjacielem — szepnął Walter Anderson. — Pragnąc jedynie spełnić jego żądanie, zgodziłem się na to dziwaczne małżeństwo. W imię jego pamięci, tak mi drogiej, zaprosiłem panią również pod swój dach.

— Lękam się, że chrzestny ojciec, życząc nam jak najlepiej, popełnił pomyłkę, domagając się tego małżeństwa, nie przewidział jego skutków — zauważyłam niepewnie.

Lord Anderson nic nie odpowiedział, kierując swoje kroki do następnego pokoju. Ruszyłam za nim. Tak jak i salonik, pokój ten był wytapetowany błękitnym jedwabiem. Meble z białozłotawej laki nadawały mu charakter jeszcze bardziej luksusowy.

W wielkim lustrze ujrzałam swoje odbicie, tworzące ciemną plamę na jasnym tle pokoju. Poczułam się intruzem wśród tego zbytku. Na myśl, że mam tu zamieszkać na stałe, biedna sierota przyzwyczajona do skromnego i przeciętnego otoczenia, poczułam się nagle bardzo niepewna i zażenowana. Czy nie był to z mej strony zbyt śmiały krok? Czy na okres próbny nie należało raczej, poprosić o jakiś skromniejszy pokój? Zwróciłam się w stronę lorda Andersona, lecz on nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach przyglądał się uważnie małemu obrazkowi, zawieszonemu po prawej stronie łóżka, na wysokości jego głowy.

Stałam bez ruchu walcząc z wrodzoną nieśmiałością i zastanawiając się, jak postąpić, kiedy nagle odwrócił się do mnie, wskazując ręką obrazek, który oglądał. Z artystycznie rzeźbionej ramy wyzierał ku mnie pastelowy wizerunek mojej matki. Ogarnęło mnie wzruszenie.

— Mama — wyszeptałam tylko. — Skądże jej portret?...

— Pokoje te były przemeblowywane przed czterema laty dla chrześniaczki mego wuja, która miała pozostać moją żoną — wyjaśnił spokojnie.

ICrew napłynęła mi do twarzy. Pomyślałam bezwiednie o tej, która ośmieliła się nie tylko ukraść moje nazwisko, lecz ponadto podawała się za córkę mojej matki.

Odgadł widać moje myśli, gdyż zaraz dodał:

— Przypominam sobie, że ona nie zauważyła nawet tego portretu, wchodząc tu po raz pierwszy. Musiałem dopiero zwrócić na niego jej uwagę. Obojętność, z jaką przyjęła moje wyjaśnienia, powinna była mnie ostrzec.

— I od jej wyjazdu nie zmienił pan nic w tych pokojach, umeblowanych dla niej i przez nią zamieszkiwanych?

— O, przepraszam, umeblowanych dla pani, a tylko zamieszkiwanych przez inną i to bez mojej świadomości popełnianej omyłki — poprawił mnie spokojnie. Nie, nie dokonałem tu żadnych zmian, będąc zdecydowany nie zrywać ciężących mi więzów, łączących mnie z przedstawicielką rodu d'Erneville. Postąpiłem słusznie, jak widać pani się zjawiała, by zająć należne jej miejsce mojej małżonki.

Jest pani tu u siebie — rzucił z odcieniem zniecierpliwienia. — Może pani sprawdzić, że wszystko oczekiwało tu na panią. Szafy wypełnia bielizna znaczonej pani monogramem, a i wokół siebie znajdzie pani niejedną pamiątkę rodzinną, drogą zarówno pani, jak i mnie.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna za ten apartament. Jeszcze przed chwilą wahałam się, czy wolno mi w ogóle tu zamieszkać.

— Dlaczego?

— Jest zbyt wspaniały na te parę miesięcy próby, które mara spędzić w pana domu.

— Niech pani raczej przyzna, iż te pokoje potwierdzają pani status w tym domu.

— Istotnie - przyznałam z całą szczerością.

— Przypuszczałam, że mój pobyt będzie otoczony większą dyskrecją, że będziemy mogli ukryć łączącą nas więź i ugodę, która zmusza nas do przebywania we wspólnym mieszkaniu.

— Nie podzielam pani zdania — odparł sucho.

— Drzwi winny być otwarte bądź zamknięte, a nigdy tylko uchylone. W jakim innym charakterze, jak nie legalnej żony, mogłaby pani zamieszkać w tym domu? Nie jestem jeszcze w tym wieku, żebym mógł bezkarnie angażować sobie guwernantkę w pani wieku i z pani powierzchownością... Czy wolałaby pani, żeby ludzie doszukiwali się w tym jakiegoś maskowanego romansu?

— Nigdy w życiu! — zawołałam, oblewając się purpurą.
- Wolałabym przejść tę próbę przez nikogo nie zauważona.

— To dlatego, że patrzy pani w przyszłość bez wiary, że wszystko się jakoś ułoży. Pani zdaniem, nasza przygoda musi trwać krótko. Ja zaś na to patrzę zupełnie inaczej. Nie chciałbym, żeby kobieta, której przeznaczeniem jest nosić moje nazwisko, możliwie do końca życia, znalazła się bodaj na krótki czas w sytuacji mogącej zrodzić niepotrzebne komentarze. Przeto, poczynając od dziś, proszę panią, by postępowała tak, jak gdyby była ze mną związana na zawsze.

Mimo woli zaprotestowałam gestem przeciwko takiemu postawieniu sprawy, więc dodał:

— Możliwe, że nasze życie nie ułoży się gładko i że się rozejdziemy. W każdym razie rozsądniej jest od pierwszego dnia postępować tak, żeby nie

uniemożliwić sobie wspólnej przyszłości. Rozumie pani moją intencję?

— Nie mogę się z tym nie zgodzić

— Sprawdził godzinę na zegarku.

— Za pół godziny poproszą nas na obiad. Na razie zostawiam panią samą. Proszę się rozgościć. Stary John jest na pani rozkazy, proszę nim rozporządzać według swej woli. On panią najlepiej zapozna z trybem życia tego domu. Pewien jestem, że będzie uszczęśliwiony, iż przydzielam go do pani osobistej obsługi.

Oddalił się, pozostawiając mnie pod dobrym wrażeniem.

To pierwsze *tête a tête* minęło zupełnie znośnie, o wiele lepiej, niż to sobie wyobrażałam w gabinecie notariusza.

„Mój mąż”, wbrew moim oczekiwaniom, zachował się w najwyższym stopniu poprawnie i z wzorową kurtuazją. Nic było nic przykrego i raniącego w jego słowach. Nic, co by przypominało naszą poranną dyskusję. Żadnej ironii, żadnego nieuprzejmego zwrotu. Tym razem okazał się w stosunku do mnie wysokiej klasy gentelmanem.

Nadal był chłodny, wyniosły i arbitralny, ale wszystko to pokrywał wytworną uprzejmością. Nie miałam więc powodu uskarżać się na niego.

Ja jednak nastrojona bojowo, zaczepna, mimo zawartej ugody, nie dostroiłam się do jego uprzejmego tonu. Wciąż byłam nastroszona, czyhając na jego pierwsze mniej zrównoważone słowo, żeby w miarę potrzeby choćby drapać i gryźć.

ROZDZIAŁ X

Do obiadu musiałam zejść w mojej spacerowej sukience, ponieważ zabrałam z hotelu jedynie nocną bieliznę i drobiazgi toaletowe.

Znając jednak tradycje angielskie, w których przy obiedzie obowiązuje strojniesze ubranie, i nie chcąc świadomie uchybiać miejscowym obyczajom surowością mego kostiumu, zdjęłam kamizeleczkę tiulową, zakrywającą mój skromny dekolt.

Drobna transformacja była właściwie drobiazgiem. Ale złoty łańcuszek na matowej szyi, widocznej dzięki wycięciu żakietu, sprawił że kostium stracił nieco ze swej surowości.

Wybrałam piękną różę z wazonu, który przyniósł stary John i przypięłam ją do klapy żakietu.

Kiedy więc przeszedłszy za przewodnictwem starego służącego przez labirynt korytarzy i schodów weszłam wreszcie do sali jadalnej, gdzie oczekiwał mnie lord Anderson, czułam się nawet dość pewnie. Pan domu obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem, które po chwili nieco złagodniało.

Bardzo ceremonialnie podał mi ramię i zaprowadził do fotela, stojącego w pobliżu kominka.

- Zanim zasiądziemy do stołu, czeka nas jeszcze jedna domowa ceremonia — wyjaśnił mi. — Muszę pani przedstawić całą naszą służbę.

Nie potrafiłam ukryć grymasu zniecierpliwienia.

— Czy to nieodzowne?

— Absolutnie. Stary John poinformował ich o pani przybyciu. Wiedzą już, że będą musieli teraz słuchać młodziutkiej pani domu, której jeszcze nie znają. Zdiije sobie pani sprawę, jaką niespodzianką jest dla nich to wydarzenie i jak niecierpliwie oczekują tej prezentacji, będącej u nas rytuałem uświęconym wieloletnią tradycją.

- Jeśli taki jest zwyczaj, to oczywiście nie można się z niego wyłamywać — odpowiedziałam zrezygnowana, choć równocześnie zdecydowana wywiązać się jak najlepiej z tego zadania. Pomyślałam jednak w duchu, że przy odrobinie dyskrecji ze strony lorda Waltera, można było tego uniknąć. Usiłowałam nawet dostroić się wewnątrz do tonu tej uroczystości.

Miał mnie zaraz przedstawić jako swoją żonę gronu osobników, którzy bez chwili zwłoki opowiedzą tę nowinę wszędzie, gdzie się da. To tak, jak gdyby przyłożono pieczętę towarzyską tuż obok pieczęci prawnej, która nas skubała. Robiło to poniekąd wrażenie niewidzialnych łańcuchów, pętających mnie coraz silniej.

Mimo woli westchnęłam ciężko.

- Ba — zauważył, jak gdyby odgadując moje myśli — nie warto nadawać tej scenie większego

znaczenia, niż jest w gruncie rzeczy warta. Większość tych ludzi służy u mnie od paru lat, ale nie muszą pozostać tu wiecznie. Z chwilą kiedy przestaną nam dogadzać, przyjdą inni. Z jednym tylko starym Johnem liczę się poważnie, toteż musiałem przygotować dla niego pewną formę podania mu prawdy. Ale nie potrzebuje pani obawiać się, że pozostali powtórzą za staruszką całą scenę powitania.

Pomimo obojętnego tonu, jakim mi to wszystko powiedział, wydało mi się, że cień melancholii przyćmił jego rysy. Byłam mu wdzięczna, że właśnie w tym momencie nutką ironii nie podkreślił dwuznaczności naszej sytuacji. Zamiast wykpić, jak się tego mogłam spodziewać, moją niechęć do odegrania roli świeżo poślubionej mężatki, myślał jedynie o gorzkiej stronie popełnionego kłamstwa w stosunku do wiernego sługi, którego tym łatwiej było oszukać, że darzył swego pana bezwzględny zaufaniem.

Ale drzwi się otworzyły kładąc kres mym rozmyśleniom. Ukazał się najpierw John, a za nim przeszło tuzin osób pozostałej służby.

— Jeżeli jaśnie państwo pozwolą, ich służba powita młodą lady.

- Wejdźcie, proszę - odpowiedział lord Anderson uprzejmie.

Przekroczyli więc próg pokoju, jedni za drugimi, wypychając naprzód małego chłopca hotelowego, trzymającego niezręcznie w obu rękach olbrzymią wiązkę różnobarwnych kwiatów.

Podeszłam do mego, żeby go uwolnić od tego ładunku, wyraźnie krepującego jego niezręczne ruchy. Czułam się trochę speszona, pomimo przewagi mojej sytuacji.

— Ach! Jakie śliczne kwiaty i jak to uprzejmie z waszej strony, drodzy moi przyjaciele, że tak witacie mnie w pierwszym dniu pobytu w domu.

Po tych kilku uprzejmych słowach zupełnie nie wiedziałam, co mam z sobą począć dalej.

Zażenowana tyłoma parami oczu, które lustrowały mnie z zaciekawieniem, zaczęłam podawać rękę na prawo i na lewo, uważając, że ten gest jest łatwiejszy, niż wygłaszanie kilometrowych tyrad. Rozdawszy kilkanaście uściśnień dłoni zwróciłam się ku lordowi Andersonowi, oczyma wzywając go na ratunek.

— Proszę im powiedzieć wszystko, czego moja słaba znajomość języka angielskiego nie pozwala mi wyrazić.

Uśmiechnął się, widząc moje zakłopotanie.

— Pozwolę sobie przedstawić ich kolejno — powiedział, zbliżając się do całego grona. - Oto Hieronim, nasz maitre d'hotel, to Steven — kucharz, ten, to Austin — stangret, tu Peter — lokaj, wreszcie Magdzia, pomocnica kuchenna. — Wymienił wszystkich bez wyjątku, i znowu kilkanaście par spracowanych rąk uściśnięło moją dłoń.

— A teraz, moi drodzy, możecie już odejść — zakończył. — Dziś wieczór wypijecie szampanem zdrowie naszej nowej pani, a przy końcu miesiąca otrzymacie podwójne pensje.

— Niech żyje milady - Zawołali radosnym chórem. Wszystkie twarze rozpromienił uśmiech i każdy z nich silił się na jakiś komplement pod moim adresem. Odeszli bardzo zadowoleni.

Kiedy już zniknęli za drzwiami, zwróciłam się do mego towarzysza ze słowami:

— Dziękuję panu za przyobiecana im gratyfikację. To bardzo podnosi znaczenie mego pojawienia się w tym domu.

Siedząc po drugiej stronie stołu jadalnego czułam badawcze spojrzenie, którym mnie obrzucał starając się nie zwrócić tym mojej uwagi.

Wysokie weneckie lustro, zawieszone obok kredensu, odbijało całą moją postać. Widziałam w nim wyraźnie ciemną głowę, raczej drobną pod obfitością lekko rozwianych włosów. Ciemne ubranie podkreślało jeszcze białosc skóry i drobny kształt dziecinnej prawie głowy. Całość nie wydała mi się odstręczająca. Doszłam do wniosku, iż tego wieczora wyglądam niebrzydtko.

W pewnej chwili wydało mi się, że dostrzegam w jego oczach wesoły błysk. Jakby cień uśmiechu musnął jego wargi. Po paru sekundach powstrzymywania wesołości, nie wytrzymał widocznie i na wargi jego wypłynął drwiący śmiech.

Zaczerwieniłam się gwałtownie, nie wiedząc, jak się zachować. Ten człowiek najwyraźniej bawił się moim kosztem.

— Nie wyobraża pani sobie, jak trudno mi się pogodzić z tą zupełnie niezwykłą sytuacją - wyjaśnił

po chwili, kiedy usługujący nam lokaje opuścili pokój jadalny. — Widząc panią siedzącą ze mną przy wspólnym stole z trudem uprzytamniam sobie, że to wszystko nie jest snem. Bez kapelusza zaledwie mogę rozpoznać w pani ową panienkę, którą poznałem przed paru dniami. I oto tę nieznaną przedstawiałem przed chwilą jako moją żonę. Ciekaw jestem, jakbym zareagował, gdyby mi to przepowiedziano jeszcze dziś w południe, podczas mego samotnie spożywanego śniadania. Doprawdy to zupełnie nieprawdopodobne i tak zabawne, że nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

Był zdumiewająco młodzieńczy w swoim rozbawieniu. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z wieku Waltera Andersona. Był niemal tak młody jak ja. A w każdym razie niewiele starszy.

Tymczasem on rozbawiony ciągnął dalej:

— Dopiero w tej chwili odkryłem, że pani jest szczupłą brunetką, podczas gdy ja gustuję w czymś... wręcz przeciwnym. Rumieni się pani o byle drobiazg, a z drugiej strony oczy pani potrafią się zmienić w parę sztyletów. Jakie ma pani upodobania, charakter, zwyczaje? Nie wiem nic. Jest pani dla mnie zupełną zagadką, ajednak siedzi pani naprzeciw mnie i będę musiał przyzwyczaić się do pani, jak gdybym panią wybrał spośród wielu innych, i z góry pogodził się ze wszystkimi jej wadami, zamiłowaniami i zachciankami.

— Jedno jest pocieszające, że moje położenie nie jest wcale lepsze.

— Oczywiście. Nie mam zamiaru twierdzić, że pani los jest lepszy. Ale zgodzi się pani, że to skojarzenie nas jest najcudaczniejszym wymysłem, jaki mógł się zrodzić w czyjejs głowie. Najbujniejsza fantazja nie mogłaby stworzyć podobnej sytuacji.

— Istotnie jest ona tak nadzwyczajna, że serce ściska lęk i niepokój o to, jak się też może ułożyć przyszłość?

— Och, o to się bynajmniej nie troszczę. Mniejsza o jutro! Dzisiaj widzę tylko zabawną stronę całej tej sprawy.

— Nie uważam, żeby to było takie zabawne — zauważyłam z powagą. Cokolwiek by się nie stało, pan ze swoją pozycją może być zupełnie pewny, że wyjdzie z tej sytuacji obronną ręką.

— Podczas gdy pani?... — zapytał.

— Ja? Jestem sama na świecie — szepnęłam z nutką smutku w głosie — bez przyjaciół... Nie mam właściwie niczego i nikogo... gdyby panu na przykład przyszło raptem do głowy pozbyć się mnie w jakiś radykalny sposób. Nawet gdyby przyszło panu do głowy mnie zabić, a później pozbyć się mego trupa, nikt na świecie nie zainteresowałby się moim zniknięciem.

Walter Anderson słuchał mnie z uwagą. Po ostatnim zdaniu, wypowiedzianym przeze mnie poważnym tonem, parsknął serdecznym śmiechem.

— Muszę przyznać, że takie rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Bardzo pani dziękuję za wskazanie mi go. Wyobrażam sobie jednak, że gdybym usiłował

panią zamordować, nie zgodziłaby się pani na to bez protestu.

Jego dobry humor w końcu udzielił się także i mnie.

— Bez wątpienia — odpowiedziałam. - - Moja małżeńska lojalność nie sięga tak daleko, żebym chciała złożyć w ofierze własne życie.

W tej chwili wszedł jeden ze służących, niosąc z namaszczeniem wspaniale upieczonego bażanta i Walter Anderson odzyskał swoją zwykłą powagę.

— Wydałem polecenie, żeby podano nam kawę u pani... Pomyślałem sobie, że może sprawi pani przyjemność robić dziś honory domu we własnych apartamentach. Nie będziemy zresztą zbyt długo zabawiać, chyba musi pani być zmęczona.

Potwierdziłam jego przypuszczenie skinieniem głowy, nie bardzo rozumiejąc, o co mu właściwie chodzi, lecz nie chcąc się z tym zdradzić zwłaszcza w obecności służby.

„U pani” — powiedział. Cóż, to znaczy „u mnie”... Chyba nie w mojej sypialni?

Nie zdążyłam zgłębić tej zagadki, gdyż ledwo służący zniknął za drzwiami, mego towarzysza ogarnął znów paroksyzm śmiechu.

— Kapitalny jest ten pani pomysł wybrnięcia z sytuacji drogą morderstwa. Wnoszę z tego, że moja osoba pobudza w pani twórczą wyobraźnię. Muszę starannie przestudiować tę ewentualność. Skoro pani twierdzi, że nikt by tego nie spostrzegł i nikt by się tym nie zainteresował. No, no, no... warto nad tym pomyśleć.

Zaczęłam rię śmiać razem z nim. Wolałam to, niż całe to tragizowanie.

ROZDZIAŁ XI

Po skończonej kolacji podał mi ceremonialnie ramię i poprzedzeni przez służącego niosącego zapalony świecznik, udaliśmy się do saloniku sąsiadującego z moją sypialnią.

Na kominku wesoło płonął ogień. Tuż obok ustawiono mały stół. Kwiaty, klosze z owocami i wazeczki z różnorodnymi słodyczami oraz karafki z napojami stanowiły zastawę stołu przykrytego koronkowym obrusem.

Mój towarzysz posadził mnie w wygodnym fotelu, kazał podać srebrną maszynkę do kawy, którą służący ustawił na spirytusowym zgrabnym grzejniku, po czym odprawivszy go, podszedł do drzwi i ku memu najwyższemu zdumieniu przekręcił klucz w zamku.

— Uf. Nareszcie sami... Okrzyk ten pobudził znów jego wesołość. Ironiczny uśmiezek wykwitł na jego wargach, a ja, zaskoczona tym gestem, poczułam się znowu onieśmielona i sztywna.

Udawał, że nie dostrzega mojego zaniepokojenia.

— Czy nie uważa pani, że jest to najmiłsza chwila — powiedział, siadając naprzeciwko mnie,

po drugiej stronie kominka. — „Wreszcie sami!” Któryż z młodych małżonków nie tęskni do takiej chwili, która wreszcie uczyni z ukochanej jego własną żoną! I oto ta chwila staje się moim udziałem. Po raz pierwszy jesteśmy „wreszcie sami”, w zaciszu własnego domu i w warunkach, których każda świeżo poślubiona para mogłaby nam pozazdrościć.

Powiedział to półgłosem, nie patrząc na mnie, jakby zwracał się do kogoś niewidzialnego. Tak bardzo chciałam przerwać mu, powiedzieć coś, co zmieniłoby tok tej rozmowy, zaczynającej wkraczać na trochę śliskie tory, ale zdołałam tylko skulić się w sobie i zeszywnieć jeszcze bardziej.

Ujrzałam, jak pochylił się nad stolikiem i nalał do jednego z kieliszków jakiś mieniący się likier, w którym tańczyły pyłki złocistych iskierek, po czym jednym haustem wychylił zawartość. Wziął z pudełka cygaro, które wydało charakterystyczny chrzęst, kiedy je zgniótł w palcach, i zwracając się do mnie, zapytał:

— Czy wolno mi zapalić? Dym cygara...

— Nie sprawia mi żadnej przykrości — dokończyłam.

— Dziękuję. — I zapalił cygaro. — Mówiłem więc... — podjął przerwany wątek.

— Że był pan głęboko wzruszony — poddałam mu, nabierając znów pewności siebie. Wreszcie jego zachowaniu nic nie można było zarzucić.

— Wzruszony? Kiedy? — zapytał zbity z tropu.

— Wówczas, kiedy poślubił pan swoją pierwszą żonę, przed czterema laty.

Spokojną twarz skrzywił grymas niesmaku.

— Po co przypomina mi pani tę kreaturę?

— Ponieważ kochał ją pan i to właśnie przy niej doznawał pan owych nieziemskich rozkoszy...

Odniosłam wrażenie, że niezbyt trafnie wybrałam temat.

Z trudem powściągnął gest zniecierpliwienia. Chcąc widać położyć kres wałkowaniu tych wspomnień, wstał i podszedł do stolika.

— Dziś wieczór jestem na pani rozkazy i sam pani usłużę. Co mi wolno podać, herbatę czy kawę?

— Wolę kawę.

— Zdawało mi się, że Anglicy stawiają wyżej herbatę od kawy.

— Na ogół tak. Nie myli się pani. Ale proszę nie zapominać, że moja matka była Francuzką i że wszystkie wakacje spędzałem we Francji. Z konieczności przeto nabrałem upodobań i przyzwyczajeń obu ras.

Szybko i zręcznie napełnił nasze dwie filiżaneczki

— Stwierdzam fakt — zauważył siadając na swym poprzednim miejscu — że oto coś nas łączy.

— Upodobanie do kawy?

— Otóż to.

— Nie jest to szczegół do pogardzenia — dodałam z uśmiechem.

— Tylko — ciągnął dalej z niewzruszonym spokojem — jeżeli chce mi pani oszczędzić pokusy

cisnięcia w panią całej zawartości wraz z filiżanką, proszę mi zrobić jedną przyjemność i nigdy nie wspominać o... pani poprzedniczce. Jestem skłonny znieść z największą pogodą pani obecność w domu i w moim usystematyzowanym, staro-kawalerskim życiu, ale z góry zapowiadam, że moja wytrzymałość ma swoje granice, które może pani naruszyć powracaniem do nienawistnych mi wspomnień.

— Skoro temat ten jest dla pana aż tak przykry, nie poruszę go więcej — obiecałam skwapliwie. A chcąc go rozśmieszyć dodałam: — Muszę przyznać, że tym razem będzie to gest poświęcenia z mojej strony, by oprzeć się pokusie sprawdzenia czy istotnie byłby pan zdolny spełnić swoją groźbę i rzucić we mnie filiżanką z kawą.

— Nie radzę ze mną igrać. Nigdy nie obiecuję czegoś, czego bym nie mógł dotrzymać.

Cała ta rozmówka była prowadzona tonem lekkim i żartobliwym. Każde z nas usiłowało po swojemu uzyskać przewagę nad drugim.

— Rozmowa nasza przypomina podróż w nieznane — zauważył lord Anderson — w której wciąż nawzajem coś w sobie odkrywamy. Jedno poznaje drugie. W pani słowach wyczuwam jakby kolczasty zasiek, o który mogę się podrapać aż do bólu. Ale i w tym, co ja mówię, kryje się jad, który zapewne może panią niepokoić.

— Ależ ja wcale nie chcę sprawiać panu przykrości — zaprotestowałam energicznie.

— Nie wątpię — powiedział z uśmiechem — od paru godzin oboje prześcigamy się w uprzejmości. Ale *a propos* — przeskoczył nagle na inny temat. — Czy mogłaby mi pani powtórzyć, co pani mówił tak tajemniczo i w zaufaniu mój pełnomocnik, pan Curnett?

— Kiedy?

— Pod koniec państwa rozmowy na osobności. Powiedział pani coś po cichu.

— Czyżby pan podsłuchiwał? --- zauważyłam ze zdziwieniem.

— Szmer głosów państwa dochodził dość wyraźnie do sąsiedniego pokoju. Raptem przycichł i stał się nieuchwytny.

Podsłuchiwał jednak, pomyślałam nie bez zadowolenia.

— A więc?

— Nie przypominam sobie, żeby to było coś ważnego.

— Czy rzeczywiście?

Uniosłam brwi w zdziwieniu. Jego ciekawość przekraczała dozwolone granice.

— Jeżeli pan Curnett uważał za słuszne mówić do mnie szeptem, to przypuszczalnie zależało mu na tym, żeby nie być słyszany przez nikogo.

— Otóż właśnie.

— Wobec tego elementarne poczucie dyskrecji nakazuje mi milczenie.

Najwyraźniej nie mógł ścierpieć, żeby mu się ktoś przeciwstawiał. Iskry gniewu zamigotały w jego

błękitnych oczach, ale głos nie zmienił uprzejmego tonu.

— Wszystko zależy, z jakiego punktu widzenia patrzy się na to. Po prostu kiedy proszę panią, żeby pani nie robiła z tego przede mną tajemnicy

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— Czy to, co pani powiedział, jest aż tak ważne?

— To sprawa bez znaczenia.

Zresztą. Była to czysto osobista rada pana Curnetta, dotycząca wyłącznie mojej osoby.

Zdaje się, że zaczął pojmować niewłaściwość swych pytań.

— Możliwe, że popełniam niedyskrecję — zaczął wolno i z namysłem — ale sprawia mi wyjątkową przykrość, że pan Curnett będący moim pełnomocnikiem, opłacany przeze mnie, stanął tak całkowicie po pani stronie, ze szkodą dla moich interesów.

— Pan Curnett nie powiedział mi nic, co mogłoby panu przynieść ujmę w moich oczach. Mogę panu na to dać słowo.

Lord Anderson milczał, lecz wyraz jego twarzy świadczył o głębokim niezadowoleniu.

— Zapytam więc wręcz Curnetta — powiedział po chwili.
— Zobaczymy, czy i on będzie się zasłaniał względami dyskrecji.

Uprzytomniłam sobie nagle, że interwencja lorda Andersona może zrazić do mnie pana Curnetta.

Byłam zdecydowana zatrzeć owo nieporozumienie.

— Pan Curaett przy końcu naszej rozmowy położył specjalny nacisk na to, żebym nie zaniedbała nic, co mogłoby utrwalić między nami dobre stosunki i doprowadzić do całkowitego porozumienia.

— Czy pani mogłaby sprecyzować to jaśniej

— zauważył.

— Powiedział mi: „Trzeba, żeby pani zrobiła wysiłek w kierunku pozyskania uczucia swego męża.”

— Tylko tyle?

— I jeszcze dodał: „Winna pani użyć wszelkich sposobów, żeby i on panią pokochał.”

Nie oczekiwałam takiego efektu moich słów. Lord Anderson aż podskoczył na krześle z wrażenia. Nerwowy śmiech, suchy jak gwizd, wydarł się z jego zaciśniętych warg.

— Doprawdy ten Curnett jest nadzwyczajny.

— Zerwał się z fotela i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. — Z jednej strony udziela mi rad, z drugiej nie szczędzi ich pani. A potem, mając zupełnie spokojne sumienie i nie troszcząc się, jakie rezultaty dadzą te jego rady, jak Piłat umywa ręce.

Byłam zaskoczona tym nieoczekiwanym wybuchem gniewu, zwłaszcza że nie potrafiłam zrozumieć przyczyny, która go spowodowała.

— A więc — rzucił mi w twarz z niebywałą gwałtownością — na co pani czeka? Dlaczego nie rzuci mi się pani na szyję? Czyż nie jest pani zdolna, jak każda inna kobieta, by zdobyć się na kokieterię?

Przecież nakazano pani wyzyskać wszelkie atuty do zdobycia mnie.

— Nie wiem, jakie znaczenie przypisuje pan słowom pana Curnetta. Mnie osobiście wydały się one rozsądne i mądre. Dlaczego słowa pana radcy prawnego tak bardzo pana zdziwiły? Czy rady, jakie dawał panu, były sprzeczne z tym, co powiedział mnie? Gdyby pan Curnett usiłował mi wmówić coś przeciwnego, zaręczam panu, że nie zgodziłabym się go wysłuchać. Nie przybyłam do pana domu po to, żeby doszukiwać się przyjemności w ścieraniu się naszych indywidualności. Jeżeli zgodziłam się pozostać z panem pod jednym dachem, to jedynie dlatego, by spełnić wolę mojej matki.

Moje wyjaśnienia zbiły go zupełnie z tropu.

— Pani ma słuszość — powiedział już o wiele łagodniej.
— Myślę, że poczułem się urażony, że ktoś chce wyrzucić na nas presję by przemocą narzucić nam uczucia, których w nas nie ma.

Gestem wyraziłam całą swoją bezsilę.

— Czy przynajmniej postąpiliśmy słusznie i czy kiedykolwiek nie pożałujemy tego kroku?

Zresztą, nie wiem doprawdy, po co właściwie tak się troszczyć o jutro. Na razie chodzi przecież tylko o dzisiejszy wieczór. Robi się późno. Czy zgodzi się pani, żebym spędził dzisiejszą noc przy niej?

O mało nie parsknęłam śmiechem.

— Pan chyba żartuje — zapytałam z drwiącym uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie, mówię zupełnie poważnie. Daję pani okazję wprowadzenia natychmiast w czyn rad otrzymanych od mego pełnomocnika.

— Dziękuję, nie jestem aż tak gorliwa.

— Jak to, pani odmawia? Widzę, że pani nie jest dość praktyczna. Jakież to uczucia dyktują pani odmowę?

— Właśnie dlatego, że między nami nie może być mowy o uczuciu, nie mogę traktować poważnie pana słów.

— Zdaje się, że i tym razem słuszność jest po pani stronie. W każdym razie nigdy nie będzie mi pani mogła postawić zarzutu, że nie usiłowałam stworzyć pewnych możliwości naszego... zbliżenia.

— Och, z góry wyrażam panu wdzięczność.

— A jednak odmawia pani?

— Kategorycznie.

Lord Anderson nalał sobie nowy kieliszeczek likieru z miną dziecka, którego kaprys nie został spełniony. Wyraz ten dziwnie nie pasował do jego zazwyczaj chłodnego wyrazu twarzy.

— Przypuśćmy więc, że wyraziłem tę prośbę, żeby się z pani pośmiać.

— Domyślam się.

— I nie wzruszyło to pani wcale.

— Ani trochę.

— Co gorsze, pani odmowa dotknęła moją miłość własną.

— Proszę mi wierzyć, że to nie leżało w moich intencjach.

— Toteż nie robię pani żadnych wyrzutów, tylko...

— Tylko co?

— Od paru minut odczuwam szczerze pragnienie nie opuszczenia pani dzisiejszego wieczoru... Proszę się nic śmiać. Mówię zupełnie poważnie... Nawet proszę, niech mi pani nie każe odejść...

Roześmiałam się serdecznie.

— Nie mogę się na to zgodzić.

— Pani zgoda sprawiłaby mi prawdziwą przyjemność.

— Aleja nie podzielam tych pragnień.

— To źle... Może pani tego żałować.

— Mam nadzieję, że nie.

„Mój mąż" zdawał się szukać jeszcze w myślach nowego argumentu.

— To byłoby jednak najprostsze rozwiązanie całej sprawy.

— Możliwe. Ale niech pan sobie wyobrazi, co by się stało, gdybyśmy po tym doszli do wniosku, że nie potrafimy współżyć ze sobą. Wszak sam pan przed chwilą podkreślał fakt, że właściwie jesteśmy sobie zupełnie obcy.

— Jednak kto wie, może to właśnie by nas zjednoczyło...

— Chcę wierzyć, że mówi to pan zupełnie szczerze, ale jutro... jutro zmieniłby pan swoje przekonanie.

— Jutro byłoby za późno odrabiać coś, co się już stało. Musielibyśmy, chcemy czy nie chcemy, nagiąć nasze charaktery jedno do drugiego.

— A jednak czuję się bardziej powołana do tego, by orzekać, co leży w moim własnym interesie.

Machnął ręką z wyrazem zniechęcenia.

— Pani nie chce uwierzyć, że mówię zupełnie szczerze.

- O, przepraszam, pragnę wierzyć w całkowitą uczciwość pana zamiarów.

— A jednak nie zgadza się pani.

— Zapewniam pana, że zostanę faktyczną żoną jedynie tego człowieka, którego pokocham, a... pana jeszcze nie pokochałam.

Zrobił jakiś niewyraźny i zabawny grymas.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć pani dobrej nocy.

Podałam mu rękę.

— Dobranoc i proszę nie mieć do mnie żalu. Podniósł moją rękę do ust.

— Do jutra więc. Możliwe, że już nigdy nie ponowię dzisiejszej prośby.

To będzie nawet lepiej.

— Zobaczymy. Cokolwiek by nastąpiło w przyszłości, proszę, żeby pani nie wykreślała ze swej pamięci faktu, że pierwszego wieczoru, który pani spędziła pod moim dachem, byłem w pani zakochany i że zrobiłem wszystko, żeby panią o tym przekonać.

— Nigdy nic zapomnę, że okazał się pan wspaniałomyślny.

Wzruszył ramionami, wyraźnie już w złym humorze. Podszedł do drzwi i nonszalanckim ruchem odkręcił klucz w zamku. Zanim jednak przekroczył próg pokoju, odwrócił się rzucając mi szydercze spojrzenie. Usłyszałam jego suchy, denerwujący śmiech. Drzwi zamknęły się za nim. Zostałam sama.

Myśli kłębiły się w mojej biednej głowie po jego odejściu. Rozmyślałam do drugiej w nocy. Dopiero, kiedy zegar wydzwonił dwa uderzenia, zdecydowałam się przejść do sypialni. Mimo wszystko nie zdołałam ustalić swego poglądu na zachowanie Waltera Andersona. Czy rzeczywiście bodaj przez chwilę, był szczery, czy też przez cały wieczór kpił sobie tylko ze mnie?

ROZDZIAŁ XII

Zaspałam nazajutrz. Było już dobrze po dziesiątej, kiedy otworzyłam oczy. Szybko wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam się ubierać. Usłyszałam lekkie pukanie do drzwi. To stary John przyszedł po polecenia w związku ze śniadaniem.

— Kufer lady Anderson jest już w saloniku — dodał, otrzymawszy polecenia — a oto klucz od niego, który lord Anderson kazał mi wręczyć milady.

Jednym susem znalazłam się w saloniku. Rzeczywiście, mój kufer stał pośrodku pokoju. Zaczerwieniłam się gwałtownie na myśl, że ktoś obcy miał okazję stwierdzić moje ubóstwo, oglądając bieliznę i ubranie.

— Któż to jeździł po mój kufer? — zapytałam ze ściśniętym gardłem.

— Sam lord Anderson.

— Jak to, sam?

— Tak. Pojechał samochodem. Czyżby milady była z tego niezadowolona? Pewien jestem, że mój młody pan chciał zrobić miłą niespodziankę... chciał milady oszczędzić trudu...

Opanowałam się już.

— Lord Anderson postąpił bardzo uprzejmie. Lękam się tylko skutków męskich rąk grzebiących w moich kobiecych drobiazgach.

— Milady może się natychmiast przekonać. Proszę mi pozwolić pomóc ułożyć bieliznę na półkach szaf.

— Dziękuję wam, Johnie, ale wolę to sama zrobić... John może się już oddalić.

Spojrzał na mnie tak żałośnie, jakbym go wypędzała na zawsze, ale momentalnie zawrócił w kierunku drzwi. Jego spojrzenie obudziło we mnie wyrzuty sumienia. Pomyślałam, że zraniłam staruszka okazującego mi tyle życzliwości. Podeszłam więc szybko do niego i zatrzymałam za rękaw.

— Johnie, w tej walizce są wyłącznie moje pensjonarskie ubrania. Są to skromniutkie pamiątki, których prawdopodobnie nie ułożę wcale w tych szafach, i nie chciałabym, żeby ich dotykały inne ręce oprócz moich własnych.

— Niech milady zrobi mi tę łaskę i nie tłumaczy swoich poleceń. Wszystko tu ma być tak, jak sobie tego milady życzy. Sam, będąc już stary, nigdy nie ośmieliłbym się krytykować tego, że milady przywiązuje wagę do swych dawnych wspomnień. Takie pamiątki bywają niejednokrotnie rzeczą najcenniejszą i najbliższą sercu. Są jak starzy słudzy — nigdy nie sprawiają zawodu.

Wygłosiwszy tę sentencję, pokrzepiony na duchu, staruszek wyszedł z pokoju. Po jego wyjściu pode-

szłam do kufra i uchyliłam wieko. Wszystko było tam wrzucone bezładnie, chociaż z zachowaniem pewnej logiki kolejności. Ze ściśniętym sercem patrzyłam na zawartość kufra. Po co też Walter sam się trudził pakowaniem moich szmatek?

Ubogie sukieneczyny nie wymagały oczywiście jakiejś specjalnej pieczołowitości. Były jednak wszystkim, co mi pozostało z beztróskiego dzieciństwa. W fałdach pocerowanych czarnych spódniczek drzemały dziewczęce sny i marzenia, pragnienia i młodzieńcze iluzje. Ból skurczył mi serce na myśl, że obojętne, lekceważące ręce sprofanowały je swym dotknięciem. Walter Anderson chciał naocznie przekonać się o mojej biedzie.

Łzy napływały mi do oczu. Kto wie, czy te ręce w poszukiwaniu jakichś sekretów nie przeszukały owych rzeczy, czy nie przeglądały każdego skrawka papieru, w nadziei, że posłużą jako wskazówka i klucz do mnie.

Podejrzenie to wyprowadziło mnie z równowagi.

O nie, lordzie Anderson, to nie było zajęcie godne pana.

Zamknęłam z trzaskiem kufer i własnoręcznie zaciągnęłam go do ciemnej komórki sąsiadującej z moim pokojem.

Po cóż wypakowywać wszystko, co się w tym kufrze mieści? Czyż mój bagaż, tak jak i ja sama, nie powróci wkrótce do Francji?

ROZDZIAŁ XIII

Z Walterem spotkałam się dopiero przy śniadaniu. Obojętnie uścisnął mi dłoń, nie robiąc najlżejszych aluzji do wczorajszego wieczoru.

Wydał mi się jakiś zatroskany i pogrążony w myślach, które nie miały związku ani ze mną, ani z naszą wspólną sytuacją. Milczał przez cały czas posiłku i byłoby może znacznie lepiej, gdyby się w ogóle nie odezwał do mnie tego dnia. Przy końcu śniadania zapytał jednak:

— Czy John doręczył pani klucz od kufra?

— Tak — i... dziękuję bardzo, że pan zadał sobie tyle trudu, żeby samemu przywozić mój kufer. Wolałabym stokroć załatwić to sama.

— Czy może brakuje pani czegoś?

— Och, nie sędzę. Nie sprawdzałam zresztą dotychczas.

— A więc?

Nie zdołałam powstrzymać wyrzutu.

— Wolałabym, żeby nikt obcy nie dotykał moich osobistych drobiazgów.

— Toteż nikt „obcy” nie miał do nich dostępu. Ja

sam własnoręcznie spakowałem je do kufra. Nie chciałem tego powierzać służbie.

— A jednak wolałabym to zrobić osobiście — powtórzyłam z uporem, przez który przebijała wroga nutka, co wreszcie zauważył. Nerwowo ściągnął brwi, mówiąc z nieukrywanym zdziwieniem:

— Dlaczegoż to? Nie rozumiem pani, skąd jej niezadowolenie? Przecież nikt poza mną nie przeglądał zawartości pani kufra, ani nie dowiedział się, skąd ten kufer przybył?

— Nie mam nic do ukrycia — zauważyłam z dumą.

— Ale również nic do pokazania — dodał.

— Och!...

Ten człowiek miał wyjątkowy dar ranienia mnie. Widząc, że oburzenie oblewa mnie pasem, zachmurzył się.

— Pani ma wyraźną skłonność do fałszywego tłumaczenia sobie słów i czynów ludzi, którzy chcieliby jedynie zrobić pani przyjemność.

— Przecież pan powiedział, że mego bagażu nie można nikomu pokazać. Czy mam to uważać za komplement?

— To się odnosiło wyłącznie do służby, której nie widzę powodu wtajemniczać w sprawy związane z pani przeszłością.

— Moja przeszłość jest taka jak mój kufer. Można w niej szperać po wszystkich zakamarkach. Nie znajdzie się tam nic, czego bym mogła się wstydzić.

Nie mógł ukryć gestu zniecierpliwienia.

— Zaprzestańmy tej jałowej dyskusji. Nie możemy się porozumieć i zmusza mnie pani do mówienia rzeczy, których nie myślę.

Odsunęłam szorstko talerz, nie mogąc przełknąć najdrobniejszego kęska. Zaśmiał się sucho i ironicznie.

— Co się stało? Czy czuje się pani chora? Spojrzałam na niego wrogo, niezdolna otworzyć

ust, do których cisnęły się najbardziej przykre i gwałtowne słowa, płynące z głębi urażonej dumy.

Wzruszył ramionami i zmełł kilka niezrozumiałych wyrazów, których treści nie mogłam zrozumieć. Od tej chwili siedział milcząc, z ciężką bruzdą wzdłuż czoła, ledwie naruszając potraw, które służba stawiała przed nami. Śniadanie skończyło się w ciężącej ciszy, której żadne z nas nie chciało przerwać.

Ledwo znalazłam się w swoim pokoju, ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki z tego domu.

— Nie mogę tu pozostać, nie chcę...

Nie zastanawiając się długo narzuciłam płaszcz, szybkimi ruchami wsadziłam na głowę kapelusz, porwałam rękawiczki i zbiegłam ze schodów.

Byłam już prawie na dole, kiedy drzwi gabinetu Waltera Andersona otworzyły się, a on sam stanął na progu.

— Dokąd pani idzie?

Twarz jego złagodniała, lecz w wyrazie oczu czaiło się podejrzenie.

— Dokąd pani idzie? — powtórzył raz jeszcze, zmuszony brakiem mojej odpowiedzi.

— Po sprawunki.

— Niech pani wejdzie przedtem do mnie. Proszę panią o to.

— Do pana?

— Tak. Proszę o to — powtórzył. Równocześnie wyszedł do przedpokoju i stanął tak, że nie mogłabym przejść do drzwi wejściowych, nie otarłszy się o niego. Szybko zorientowałam się w jego strategii. Zrozumiałam też, iż nie mogę się uchylić od tej rozmowy. Lepiej już było go usłuchać, niż stawiać opór, który i tak nie doprowadziłby do niczego. Weszłam więc do gabinetu, którego drzwi on starannie zamknął.

— Proszę, niech pani usiądzie — zaprosił wskazując mi fotel. Sam zaś wybrał fotel stojący naprzeciwko. Rozmyślnie czy tylko przez przypadek posadził mnie tak, że sam znalazł się między mną a drzwiami.

— Czy wolno zapytać, co to za sprawunki, których nie może pani przełożyć do jutra? — zapytał z miejsca.

Jego sposób mówienia i ton nie pozostawiały nic do życzenia, były poprawne, a nawet uprzejme. Ja zaś byłam zbyt podniecona, żeby opanować oschłość głosu:

— Każdy sprawunek można odłożyć, ale w tym konkretnym wypadku dogadza mi właśnie załatwienie go dzisiaj.

— Jak pani sobie życzy, ale dlaczego nie kazała pani zaprząć koni do powozu?

— Nie przyszło mi to do głowy, nie jestem przyzwyczajona do jeżdżenia powozami, dotychczas obchodziłam się świetnie bez tych zbytków — odpowiedziałam nadąsana.

— Nie mogę sobie wyobrazić lady Anderson biegnącej piechotą od sklepu do sklepu. No, ale pogódźmy się nawet z tym kaprysem. Przynajmniej stary John mógłby pani towarzyszyć, bodaj żeby nosić za panią paczki. Byłby pani przewodnikiem po Londynie, którego pani nie zna.

— A jeżeli mi nie dogadza przyzwoitka w osobie Johna?

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby to pani nie dogadzać. Nie przypuszczam, żeby miała pani wizytę czy *rendez-vous*, które chciałyby pani ukryć.

— Ach tak. Więc mam się uważać za więźnia i nie wolno mi wychodzić bez pozwolenia lub asysty? — Przysługują pani wszystkie prawa, z wyjątkiem jednego... — mówił głosem spokojnym, chociaż wyczuwało się w nim nutkę wzburzenia.

— Cóż to za nowy zakaz? — Wstałam, mierząc go rozpalonym wzrokiem.

— *Zakaz* ucieczki z tego domu — odpowiedział z wrodzonym mu spokojem. — Zdaje mi się, że pani zapomina o obietnicy złożonej mi wczoraj przez Simonę Montagnac, na chwilę przed przekroczeniem progu tego domu jako lady Anderson. Panna Montagnac zgodziła się dobrowolnie na paromie-

sieczną próbę współżycia ze mną. Chcę wierzyć, że dziś ta urocza osóbką nie zaprze się danego słowa. Zawstydziałam się tak bardzo, że aż spuściłam oczy.

— Czy pani zaprzeczy, że przed chwilą opuszczając mój dom, miała pani zamiar odejść i już nie powracać?

Stałam jak winowajca milcząc. Nie miałam odwagi podnieść głowy.

— Widzi pani, że przeczucie mnie nie omyliło. Czy muszę być zmuszony do szpiegowania pani kroków i czyż nie wolno mi zaufać pani słowu?

Zrobiłam jakiś niewyraźny gest.

— Miałem nieszczęście zranić panią dziś z rana — podjął Walter Anderson — przywożąc pani osobiście jej kufer. Zrobiłem to wyłącznie po to, by oszczędzić pani przykrości... nie pakowania tego kufra, bo to mi nie przyszło na myśl, ale powrotu do pokoju, który zamieszkiwała pani samotnie, a który opuściła pewnego popołudnia pod opieką... mężczyzny.

— Więc o to panu chodziło — zdziwiłam się szczerze.

— A na czymże innym mogło mi zależeć? Wiem dobrze, że pani nie ma powodu wstydzić się tego, że odjechała pani ze mną, ale ludzie lubią na ogół sądzić z pozorów, nie wnikając w przyczyny faktów.

— Nie pomyślałam o tym — szepnęłam zmieszana. Byłam zgnębiona prostotą jego wyjaśnienia. Od

samego rana wynajdywałam tylko powody, żeby go oczernić.

— Czy nie ma już pani żalu do mnie? — zapytał, pochylając się w moją stronę.

— Cała wina jest po mojej stronie — przyznałam, zawstydzona swoją nieuzasadnioną agresywnością. Na znak zgody wyciągnęłam do niego rękę.

— Nie, to ja powinienem był wyjaśnić pani wszystko jeszcze w południe. Oszczędziłoby to nam przykrych chwil i jeszcze przykrzejszych słów.

— Nie przypuszczałam, że Anglik potrafi być tak wrażliwy — powiedziałam z uśmiechem.

— Jest to widać jeszcze jedna spuścizna po mojej matce — odparł tym samym żartobliwym tonem. — Mój ojciec powinien był się ożenić ze swoją rodaczką i nie komplikować tak dalece charakteru potomka.

— Pan również się nie ustrzegł od popełnienia tego błędu.

— Ach, ja...

— Co pan?

— Ja nie wybierałem. Pani wie najlepiej, że mi narzucono żonę.

— No! Jeszcze nie jest za późno. Nie ma pan powodu tracić nadziei, że nadejdzie dzień, w którym będzie pan mógł dobrać sobie towarzyszkę życia według gustu.

— Jestem przekonany, a nawet... — tu urwał i zmienił temat. — Teraz więc, kiedy nasze nteporo-

zumienie już się wyjaśniło, czy pragnie pani nadal wyjść na miasto jeszcze dzisiaj? Zawahałam się.

— Właściwie muszę... przecież pan widział, w jakim stanie są moje suknie.

— Czegóż im brakuje?

— Są trochę... trochę za skromne — dokończyłam z wysiłkiem.

— Przypuszczam, że moja matka opuszczając klasztor miała takie same warunki — powiedział prosto i serdecznie, może nawet nie zdając sobie sprawy, jak miłe były mi jego słowa. — Rozumiem jednak, że nie wypada pani nosić pensjonarskich sukienek teraz, kiedy jest już pani kobietą zamężną. Każę zaprząć do powozu, a dopóki nie pozna pani dobrze Londynu, John będzie pani towarzyszył w wycieczkach do miasta.

— Pan mi nadal nie ufa?

— O, wręcz przeciwnie. Pragnę tylko uświadomić pani, że jako moja żona nie może pani dreptać po ulicach Londynu jak żony drobnych urzędników.

Czułam się rozbrojona jego argumentacją, a ponieważ rozmowa sprawiła mi dużą ulgę, rozpraszając nieporozumienie, skwapliwie wyraziłam zgodę na tę propozycję.

ROZDZIAŁ XIV

Kilka dni wypełniły mi zakupy i miary w salonach mód. Był to również okres bliższego osvajania się z moim apartamentem i jego zakamarkami.

Prócz olbrzymiej ilości wykwintnej bielizny znaczonej moim monogramem wypełniającej szafy po brzegi, znalazłam całą kolekcję eleganckich szlafroczków i bluzek pozostawionych przez moją poprzedniczkę.

Nie powiem, żeby mi było przyjemnie używać rzeczy, którymi ona się posługiwała, wolałam jednak to, niż konieczność zwracania się do lorda Andersona z prośbą o pieniądze na opłacenie wszystkich brakujących szczegółów mojej garderoby. W tych zupełnie nowych dla mnie warunkach moje skromne zasoby pieniężne były daleko niewystarczające. Przerobiłam więc niektóre z sukien pozostawionych tu przez pierwszą lady Anderson, co urozmaiciło mój zapas toalet. Nie przypuszczałam zresztą, że mój mąż spostrzeże, iż donaszam spuściznę po tamtej. Jak się okazało myliłam się, podejrzewając go o brak spostrzegawczości.

Zachowywał się w stosunku do mnie z nieposzlakowaną, lecz wyniosłą kurtuazją. Nie interesował się w najmniejszym stopniu, co robię, czym się zajmuję, gdzie i kiedy wychodzę, ograniczając się wyłącznie do pilnowania czysto zewnętrznych form współżycia. Żyłam pod jego dachem nadal zupełnie mu obca.

Spotykaliśmy się zresztą jedynie przy stole w godzinach wspólnych posiłków.

Kiedy zbliżała się właściwa godzina, schodziłam na parter do salonu, do którego wprowadził mnie pierwszego wieczora. Natychmiast opuszczał swój gabinet i śpieszył mnie powitać.

Złożywszy ukłon, uprzejmie pytał o moje zdrowie.

— Jak się pani czuje dzisiaj? — albo: — Czy pani dobrze dziś spała?

Wytarte frazesy nie wymagały zbyt skomplikowanych odpowiedzi. Ograniczałam się więc do równie mało oryginalnych zdań: — Najuprzejmiej panu dziękuję. Dzisiejszej nocy spałam dobrze.

Czasami dialog nasz rozrastał się do niebywałych rozmiarów.

— Jaką śliczną mamy dziś pogodę? — lub: — Ależ dziś brzydko na dworze.

Owe nadprogramowe rozmowy zdarzały się wyłącznie wówczas, kiedy *maitre d'hotel* spóźniał się ze stereotypowym:

— Jaśnie pani, podano do stołu.

Wówczas mój mąż podchodził, podawał uprzejmie ramię i ceremonialnie wprowadzał mnie do sąsiedniej jadalni.

Oczywiście siedziałam naprzeciwko, żeby móc się upajać jego widokiem. Po rozłożeniu serwetek i sumiennym przestudiowaniu menu obiadowego, wypisywanego codziennie bardzo starannie, słyszało się już tylko chrzęst naszych pracowitych szczęk miażdżących pokarmy.

Od czasu do czasu, między jedną a drugą potrawą, mój małżonek podnosił nos znad talerza i zwracał się do mnie ze słowami:

— Czy pani czytała dzisiejsze dzienniki. Bardzo udane przemówienie wygłosił w Izbie Gmin lord X... Albo:

— Ten dramat, o którym piszą w „Timesie”, zakrawa na romans o posmaku kryminalnym. Nigdy nie mogłem zrozumieć zbrodni na tle uczuciowym. Nie powinno się wynajdywać dla zbrodniarzy okoliczności łagodzących przy ferowaniu wyroków. To by zmniejszyło liczbę podobnych wypadków.

Pewnego dnia ośmieliłam się zapytać go:

— A czy w pana przekonaniu możliwe są zbrodnie, których podłoże nie jest zdożne.

— Oczywiście.

— Czyli innymi słowy kwestionuje pan tylko namiętność, mogącą doprowadzić nawet do zbrodni i ją poniekąd usprawiedliwiająca.

Pogardliwie wzruszył ramionami.

— Uważam, że namiętność należy traktować jako chorobę.

— Jak to — powiedziałam głęboko zdumiona, więc według pana miłość jest przejawem choroby?

— Naturalnie — stwierdził z całym spokojem.

— Ludy prymitywne nie znają ani przewrażliwień, ani wyrafinowania sentymentalnego, które zwykliśmy nazywać miłością, będącą rzekomo bodźcem do popełniania szaleństw i głupstw.

— Czy mam na podstawie pana słów wysnuć wniosek, że uważa pan, iż uczucie miłości jest szaleństwem, nie licującym z postawą rozsądnego człowieka, za jakiego przypuszczalnie uważa pan samego siebie i że nie zaznał pan nigdy owego uczucia?

Nikły uśmiezek wykrzywił jego wargi.

— Przepraszam bardzo, jako okaz gatunkowo przynależny do rasy ludzkiej podlegam ogólnym prawom.

— A więc pan wie, co to jest miłość. Kochał pan już.

— Niestety, tak..

— No więc, jeżeli sam pan już kochał, to...

— Czegóż to dowodzi? Jedynie chyba tego, że potrafię być jak inni głupi, śmieszny i niezrównoważony w okresach zachwiania władz umysłowych, które delikatnie zowią okresem zakochania.

— Czy oznacza to, że poprzysiągł pan sobie nigdy nie wpaść w recydywę?

— Teraz jestem jak człowiek, którego zapobiegawczo zaszczepiono. Miłość i ja nie mamy z sobą nic wspólnego. Raz na zawsze powiedzieliśmy sobie

— żegnaj!

— Amen.

Skłonność do paradoksów była jedną z charakterystycznych cech umysłu lorda Andersona. Zauważyłam, że lubił atakować powszechnie uznawane teorie.

Kpił sobie ze wszystkiego. Mam wrażenie, że owe obrazoburcze teorie wygłaszał jedynie po to, żeby mnie doprowadzać do gorących protestów. Najwidoczniej bawiło go moje oburzenie.

Kiedy już udawało mu się wyprowadzić mnie z równowagi jakimś nieprawdopodobnym argumentem, stawał się wesoły, a w oczach mu błyskały iskry ironicznej wyższości.

Natychmiast po śniadaniu rozstawaliśmy się, żeby się spotkać dopiero przy obiedzie, celebrowanym jeszcze bardziej ceremonialnie.

Czasami jakiś rzadki gość, zatrzymany na obiad przez mego męża, urozmaicał monotonię codzienności, ale najczęściej bywaliśmy sami.

Dwa czy trzy razy na tydzień spędzaliśmy razem resztę wieczoru, bądź to w moim saloniku, tak jak pierwszego dnia, bądź też w gabinecie męża.

Owe wieczory wydawały mi się weselsze od innych, chociaż Walter Anderson bywał teraz o wiele bardziej powściągliwy niż w początkowym okresie. Nigdy też nie zaproponował mi spędzenia ze mną reszty nocy. Doszłam nawet do przekonania, że wówczas istotnie usiłował mnie pozyskać i rzeczywiście była to jedyna w swoim rodzaju okazja, która się więcej nie powtórzy.

Przyzwyczaiałam się w końcu do jego wyniosłej i nieposzlakowanej kurtuazji, do obojętności i typowo angielskiej flegmy, która chwilami urażała moją bezpośredniość Francuzki. Z jednym nie mogłam się tylko pogodzić, z ironią jego uśmiechu i spojrzeń.

Mógł bezkarnie przyglądać mi się z lodowatym wyrazem twarzy, obserwując każdy mój gest, czy szczegół stroju. Doskonale znosiłam owe inkwizytorskie spojrzenia, czy też, zależenie od sytuacji, nic nie znaczące zainteresowanie moją obecnością w jego domu.

Wystarczyło jednak, żebym dostrzegła przeblýsk ironii, czułam jak się czerwienię ze złości i jak ogarnia mnie głucha bezsilna pasja.

Muszę wyznać, że w takich momentach z całej duszy pragnęłam go upokorzyć i zranić.

Te mniej chwalebne uczucia znajdowały odbicie w tonie mego głosu. Wyszukiwałam w umyśle jakieś gorzko-kwaśne słówka, których udawał, że nie spostrzega i nie rozumie, zachowując bez względu na to, co mówiłam, lodowatą obojętność człowieka dobrze wychowanego, którego nic nie wytrąci z równowagi. Wobec braku reakcji i przeciwstawnych argumentów, moje niezadowolenie gasło, tak że na ogół można by powiedzieć, iż pierwsze tygodnie, spędzone po dachem Waltera Andersona minęły spokojnie bez głębszych nieporozumień.

Pierwsze nasze starcie nie było groźne. Spowodował je zresztą drobiazg. Chodziło o jedną z bluzek,

które objęłam w spadku po poprzedniczce, a którą tego wieczoru włożyłam po raz pierwszy.

Ciemnogrnatowy jedwab długiej bluzki podkreślał moje kształty. Małżonek musiał na to zwrócić uwagę. Dostrzegłam, że jego czoło zmarszczyło się, jakby pod wpływem wysiłku. Po chwili poblady trochę podszedł do mnie i rozkazującym tonem rzucił:

— Proszę natychmiast zdjąć tę bluzkę! Natychmiast — powtórzył.

Czułam, że się czerwienię, jak gdybym była złodziejem przyłapanym na gorącym uczynku.

— Zdjąć tę bluzkę? — wyjąkałam bardzo zmieszana.

— Prosiłem już panią, by nie przypominała mi o istnieniu tamtej kobiety — powiedział niemal brutalnie.

— Nie sądziłam... — usiłowałam się wytłumaczyć.

— Proszę nie udawać — przerwał. — Znalazła pani sposób na dokuczenie mi i cieszy się pani, że może prowokować, zachowując pozory nieświadomości, na które nie dam się złapać.

Gwałtowność jego tonu i słów wyprowadziła mnie wreszcie z równowagi.

— Przypisuje pan moim postępkom pobudki, których nie ma — odpowiedziałam sucho. — Myli się pan, sądząc, że mi zależy na tym, by się panu podobać lub prowokować pana oburzenie.

— Jakież więc inne motywy skłaniają panią do noszenia szmat pozostałych po tamtej kobiecie.

Aż zbladłam z oburzenia.

— Jeżeli noszę suknie kobiety, której pamięci, wbrew temu, co pan mówi, bynajmniej nie mam zamiaru wskrzeszać, to zmusza mnie do tego jedynie konieczność ubierania się na takim poziomie, na jakim musi być ubrana pani tego domu. Sam pan wie najlepiej, że moje skromne środki nie pozwalają na zaspokojenie potrzeb w takiej skali.

Był wyraźnie zaskoczony moimi słowami, widocznie nie oczekiwał tak prostego wyjaśnienia.

— Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym? Trzeba się było zwrócić do mnie.

— Nie jestem przyzwyczajona do tego rodzaju próśb — odpowiedziałam z goryczą w głosie.

— Uważa pani, że to ja powinienem przewidzieć pani potrzeby?

— Nie, to mi nawet nie przyszło do głowy. Na krótki okres próby, który mam tu spędzić, tworzenie jakiegoś specjalnego budżetu byłoby zbędne. Uważam, że postępując tak, jak postąpiłam, zrobiłam słusznie.

— Nie, nie było to słuszne, ponieważ wszelkie wspomnienia mnie ranią i pani o tym dobrze wie.

— Powtarzam raz jeszcze, proszę nie przypisywać mi nie istniejących pobudek.

— A więc zgoda. Ale czy nie uważa pani, że mnie rani ponownie, zarzucając sknerstwo.

— Protestuję przeciwko tej insynuacji, nic panu nie zarzucam i o nic nie proszę.

— Nie raczyła się pani zastanowić nad tym, co powie służba, widząc na pani ubranie poprzedniczki? Jakie pojęcie wyrobią sobie o pani, o mnie, o naszym wzajemnym stosunku? Czy nie sądzi pani, że ten szczegół może im dać do myślenia i stawia w dziwnym świetle pani pobyt w moim domu? Jak to, moja żona skazana na donaszanie resztek.

— Och! Jeżeli jedynie to może ich zadziwić, to nie jest to znów takie groźne.

— A co poza tym może budzić zastrzeżenia? Roześmiałam się z naiwności jego pytania.

— Mnie osobiście nic nie razi. Obojętność, a nawet lekceważenie, okazywane mi przez pana, uważam za objaw naturalny. Ale czy pan się łudzi, że służba nie zauważyła w ciągu tych dwóch miesięcy wszystkich anomalii naszego współżycia?

Lord Anderson zmarszczył brwi.

— O jakich anomaliach pani mówi? Doprawdy zaintrygowała mnie pani.

— A pan mnie po prostu bawi tym, że wierzy, iż prowadzimy normalne życie jak inne małżeństwa.

— Jeżeli chodzi o istotę małżeńskiego pożycia, to oczywiście tego ogniwa między nami brak, ale pozornie...

— Otóż właśnie od strony pozorów nasze pożycie jest właściwie jednym wielkim skandalem.

Widząc, że chce zaprotestować, przerwałam mu:

— Pan wychodzi, wyjeżdża i wraca, kiedy się panu podoba, nie odczuwając potrzeby zawiadamiania mnie o tym. Niejednokrotnie jestem w domu jedyną osobą, która nie ma pojęcia, że opuścił pan Londyn na parę dni. Początkowo, w takich sytuacjach, naiwnie usiłowałam opóźnić podawanie posiłków, sądząc, że pan nadejdzie lada chwila. Dopiero kiedy jeden z pana osobistych służących, domyślając się widocznie mojej niewiedzy, poinformował o pana wyjeździe do tego czy innego miasta, gdzie wystawiano którąś z pana sztuk teatralnych, zrozumiałam, jak bardzo jestem śmieszna. Ta komedia powtórzyła się parę razy, aż wreszcie wzięłam sobie za punkt honoru siadać do stołu punktualnie o wyznaczonej godzinie, nic oglądając się na to, czy pan jest, czy też pana nie ma w domu. W rezultacie przychodząc do stołu parokrotnie zastawał mnie pan już przy deserze.

— Od dziś będę panią informował o moich wyjazdach — zgodził się uprzejmie.

— Po co? Tyle jeszcze spraw wymagałoby obopólnego wysiłku, żeby współzycie nasze miało normalne pozory.

— Proszę, niech pani mówi dalej.

— Nie warto! To są drobiazgi, które zdarzają się co chwila i każdorazowo mają inne zabarwienie.

— A jednak proszę je sprecyzować.

— To bardzo trudne. Na przykład, czy nie możemy czasem wychodzić razem? Czy widział nas ktoś jednocześnie na jakimś przedstawieniu teatralnym, czy w którymś z prywatnych domów? Czy interesujemy się jedną i tą samą książką? Czy moja korespondencja może pana zaintrygować i czy odczuwa pan potrzebę dzielenia się wrażeniami z otrzymanych listów? Czy pan kiedykolwiek zadał sobie trud zastanowienia się, że ja mogę mieć jakieś upodobanie, myśli lub szczególne pragnienia? Czyja również uświadomiłam sobie kiedykolwiek, co może panu sprawić przyjemność? A chociażby ten drobny szczegół. Czy znamy nasze rodziny, naszą przeszłość? Całe życie rodzinne jest utkane z drobiazgów, nie istniejących dla nas dwojga, niemniej postrzeganych i z pewnością omawianych przez ludzi stojących z boku.

— Ależ ja nie mam nic przeciwko temu... Raz jeszcze pozwoliłam sobie mu przerwać:

— Nie! Tych rzeczy nie można sobie narzucić przemocą. Możemy, mam wrażenie, przeżyć razem sto lat i nic się nie zmieni. Pozostaniemy dla siebie zawsze parą ludzi obcych.

— Możemy jednakże uczynić co najmniej wysiłek, żeby innym stworzyć iluzje.

Mój gest pełen oburzenia przerwał mu raz jeszcze.

— Bogu dzięki, jesteśmy oboje zbyt prostolinijni, żeby odgrywać na stałe tę parodię małżeństwa. Pozostańmy już lepiej tacy, jacy jesteśmy, nie łudząc się nadzieją oszukania naszego otoczenia co do

prawdziwości naszych uczuć. Miejmy odwagę utrzymać wzajemną obcość, ponieważ takie rozwiązanie sytuacji nie wymaga ani wysiłku z naszej strony, ani odpowiedniej inscenizacji. Ponieważ dogadza nam ona i potrafiłmy już dostosować się do niej.

— Będzie tak, jak pani sobie tego życzy — potwierdził, ale bez przekonania w głosie.

Zapadło między nami milczenie, które on pierwszy przerwał:

— To zabawne! Do dziś dnia żyłem tuż obok pani nie spostrzegając tego wszystkiego, o czym pani mówi. Zdawało mi się, że wszystko jest w porządku.

— Teraz winno pozostać tak, jak wczoraj, onegdaj...

Pokiwał głową z niedowierzaniem.

— Nie sądzę — rzekł zamyślony.

— Dlaczego?

— Dotychczas tego wszystkiego nie widziałem, bo nie chciałem widzieć, ale teraz...

— Doprawdy będę zrozpaczona, jeżeli uzna pan za konieczne zmienić cokolwiek w dotychczasowym sposobie bycia w stosunku do mnie.

— Zrozpaczona? Czemu?

— Ponieważ każdy pana wysiłek musiałabym odpłacić identycznym wysiłkiem, a to mi się wcale nie uśmiecha. Gdyby to wszystko wypłynęło z nas samych, od początku współżycia. Ale obecnie, proszę mi wierzyć, jestem niezdolna zmienić cokolwiek w moim stosunku do pana.

Poczułam jego wzrok przeszywający mnie.

— A więc zgoda. Pozostańmy w poprzednim *status quo*.

— Nie chcę nic panu narzucać. Pragnę nawet stwierdzić, że jeśli próba, przeforsowana przez pana Curnetta, może już być uważana za skończoną, gotowa jestem bezzwłocznie powrócić do Francji.

Podniósł gwałtownie głowę, zaskoczony tymi słowami.

— Odjazd pani byłby stanowczo przedwczesny

— stwierdził sucho. — Nie uważam, żeby pani pobyt w naszym wspólnym domu był już wystarczająco długi, zwłaszcza że dopiero dziś uświadomiłem sobie dokładnie, że pani jest w tym domu.

— Doprawdy, czuję się zbudowana — zauważyłam ze śmiechem.

— Nie miałem zamiaru prawić pani komplementów — odpowiedział tym samym tonem.

— Co do tego, nie mam cienia wątpliwości. Stanie się więc tak, jak pan sobie tego życzy

— podjęłam już poważniej. — Pozostanę, jeśli to panu jeszcze dogadza.

— Jedyne dlatego?... Wyjechałaby pani, bez cienia żalu opuszczając ten dom?

— Mój Boże... Przyznaję, że tak. Te dwa miesiące, albo nic — to na jedno wyjdzie. Ale przecież pan sam...

— Ja? O nie. Jeśli o mnie chodzi, to jest znacznie więcej, niż... nic.

— Oooo!

— Ależ tak. Jest coś, co nie jest bynajmniej rzeczą do pogardzenia.

— Na przykład?

— Więcej, niż pani przypuszcza. Przyzna mi pani chyba rację, że owe dwa miesiące nie zrobiły z nas przynajmniej wrogów.

— Co do tego, zgoda!

— To już jest bardzo wiele. Biorąc pod uwagę fakt, jak rozpoczęliśmy nasze współzycie, uważam, że osiągnięty rezultat jest wspaniały. Zdołaliśmy przeżyć sześćdziesiąt dni razem i nie znienawidziliśmy się śmiertelnie.

— Istotnie, z tego punktu widzenia nasze współzycie jest prawdziwym sukcesem.

— *Allright*. Uważam, że oboje jesteście nadzwyczajni.

— Nawet wyjątkowi — potwierdziłam ze śmiechem.

Jego szeroko rozwarta dłoń zbliżyła się do mojej i ujęła ją w energiczny uścisk.

— Dobrze jest — zauważył radośnie — lepiej, niż przypuszczałem.

— Oczywiście, pod warunkiem, że nie będziemy się nawzajem sobą interesowali.

— Otóż to.

— Broniąc naszej niezależności i ugruntowując jeszcze naszą obcość.

— Nie zmuszając mnie do tego, żebym widział w pani swoją prawowitą małżonkę.

— A ja w panu swego prawowitego męża.

— *All right.* Właściwie to nasze życie było bardzo zabawne. Będziemy usiłovali czynić tak nadal.

— To będzie rozkoszne.

— Czarujące...

— A pan nie będzie się już złościł z powodu głupiej bluzki.

Raptem jego dobry humor zgasł.

— Przepraszam — zastrzegł się z całą powagą. — Ta sprawa nie wchodzi w grę. Proszę natychmiast zdjąć tę bluzkę.

— Ależ...

— Żadne ale, droga pani. Od dwóch godzin proszę panią o to i moja cierpliwość się wyczerpuje.

Najpoważniej w świecie, pomimo śmiechu, który mnie dusił, Walter popychał mnie w stronę drzwi i po prostu wyrzucił z salonu.

ROZDZIAŁ XIV

Nie wiem, czy mogę twierdzić, że zachowanie męża uległo zmianie na skutek tej burzliwej rozmowy, zakończonej tak zabawnie?

Chyba jednak nie ulega wątpliwości, że Walter Anderson od czasu tej rozmowy stał się dla mnie niezwykle uprzejmy. Fakt ten trudno mi było poprzeć jakimiś konkretnymi dowodami, niemniej nawet dziś, patrząc z perspektywy czasu na ten okres naszego współżycia, mam przekonanie, że się nie mylę.

Nie mogłam już skarżyć się na jego lekceważące spojrzenia i ironiczne uśmiechy. Wydaje mi się raczej, że Walter jak gdyby unikał patrzenia na mnie, a nawet robił specjalne wysiłki, żeby mnie nie widzieć. Z drugiej zaś strony nie oddalał się na czas dłuższy z domu, nie uprzedzając mnie o tym zawczasu. Jeśli nawet musiał spędzić wieczór gdzieś na mieście, pozostawiając mnie samą, zawiadamiał o tym już w południe. Wspominał o tym jakby od niechcienia, ale sam fakt, że poczuwał się do obowiązku informowania o swoim trybie życia, był

z jego strony odruchem niezwykłym, za który byłam mu wdzięczna.

Sprawę moich ubrań rozwiązał również z dużą dyskrecją. Pewnego ranka stary John przyniósłszy mi śniadanie, podał zaklejoną kopertę.

— Jaśnie pan polecił rai wręczyć do rąk własnych milady ten oto list.

W kopercie znalazłam czek na dziesięć tysięcy franków i skreślony ręką męża bilecik tej treści:

Dla lady Anderson na koszty jej ubrania w bieżącym kwartale.

Kiedy przy następnym posiłku usiłowałam podziękować za hojność, przerwał mi z lekkim odcieniem zniecierpliwienia:

— Nie powracajmy już do tej sprawy, bardzo panią o to proszę. Pieniądze te należą się pani i jest mi niewymownie przykro, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

Oczywiście nie poruszyłam więcej tego tematu.

Mogłam teraz częściej wychodzić na miasto i brać żywszy udział w życiu towarzyskim i kulturalnym Londynu.

Pewnego dnia padał deszcz. Wyszłam na spacer bez określonego celu, jedynie dlatego, że popołudniowa cisza olbrzymiego mieszkania zaciążyła mi bardziej niż zwykle. Niepogoda skłoniła do wstąpienia do kawiarni, w której, wiedziałam, zbiera się na podwieczorek cały londyński *high life*. Usiadłam samotnie przy małym stoliczku, dyskretnie ukrytym za wielką palmą.

Lubiłam ten kącik, który wybrałam sobie, odwiedzając od czasu do czasu ową kawiarnię w porze popołudniowej herbaty. Niewidoczna za ścianą zieleni mogłam swobodnie obserwować wchodzącą i wychodzącą publiczność. Znajdowałam w tym pewną przyjemność.

Nagle za kryształową taflą drzwi wejściowych, obracających się cichutko dookoła osi, mignęła sylwetka mego męża, który wszedł w ślad za wysoką, rudą dziewczyną, nawet dość ładną. Instynktownie odchyliłam się w tył, chcąc się ukryć przed wzrokiem wchodzących. Rzeczywiście, nie spostrzegli mnie.

W kawiarni, szumiącej gwarem rozmów, uciszyło się na chwilę, tak jakby świeżo przybyła para była znana wszystkim tu zebranim i każdy z obecnych swym milczeniem chciał podkreślić, że zna ich co najmniej z widzenia.

Bynajmniej nie zmieszany tym przyjęciem i widokiem pięćdziesięciu par oczu w nim utkwionych, mój mąż ulokował swą towarzyszkę przy jednym z eksponowanych stolików, gdzie jej uroda i bogactwo stroju mogły być przez wszystkich należycie podziwiane. Potem spokojnie rozejrzał się po kawiarni, szukając widać wzrokiem znajomych twarzy, i zajął miejsce naprzeciwko rudej ósóbki.

Następnie nie zwracając już najmniejszej uwagi na otoczenie, zamówił herbatę i ciasteczka, które obsługa, znająca go widać dobrze, przyniosła prędzej niż innym, otaczając ich stolik specjalnie pieczołowitą uwagą.

Wsparłszy łokieć na stoliku, z głową podtrzymywaną wąską, białą, rasową ręką, pochylony w stronę pięknej towarzyszki półgłosem rozpoczął z nią rozmowę.

Po raz pierwszy spotkałam Waltera Andersona poza naszym wspólnym mieszkaniem i w towarzystwie kobiety. Nie wyobrażałam sobie, że potrafi być tak swobodny, uśmiechnięty, nawet nadskakujący. Nie znałam go takim.

Wydawało mi się, że odkryłam nowego Waltera Andersona. Śmiał się, tryskał wesołością. Pierwszy raz spostrzegłam, jak jest młody, pełen życia i tężyzny, i że posiada dużo uroku.

Zafascynowana niespodziewanym odkryciem, śledziłam ciekawie jego ruchy, uśmiechy, żywość gestów i jakąś bez troskę.

Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w człowieka, teraz tak odmienionego obecnością trochę wyzywającej, podmalowanej kobiety, która słuchała jego słów z widoczną przyjemnością. Bałam się tylko, żeby mnie nie zauważył. Skinęłam na pikola-ka, który usługiwał przy sąsiednim stoliku, i wskazując nieznacznie na mego męża, zapytałam niemal szeptem:

— Kto to jest? — Równocześnie wsunęłam chłopcu do ręki srebrną monetę.

— To Walter Anderson, znany powieściopisarz i autor dramatyczny — powiedział pośpiesznie.

— A ta pani, to zapewne lady Anderson?

— Nie. To Maud Assy, słynna aktorka dramatyczna.

— Jego przyjaciółka?

— Tak. Przypuszczalnie... Gra w jego sztukach. Tak przynajmniej twierdzą.

— To trwa już od dawna?

— Od kilku lat. Przynajmniej ja widuję ich już razem ze sześć lat.

W tej chwili chłopca odwołano do innego stolika. Dowiedziałam się już zresztą wszystkiego. Spoglądając za oddalającym się kelnerem, pomyślałam tylko: Sześć lat. A więc żył z tą kobietą przed swoim małżeństwem i... zachował ją po dziś dzień.

Ogarnęło mnie coś w rodzaju melancholii. Przyzwyczajona do sztywnego sposobu bycia mego męża, nie wyobrażałam sobie, że potrafi się zachowywać tak krańcowo różnie w towarzystwie innych osób.

Nagle poczułam żal do siebie, że nie potrafiłam tak jak tamta kobieta przywołać tego pieszczotliwego wyrazu w jego spojrzeniu. Z pewnym niesmakiem stwierdziłam, że dla mnie, uczciwej żony, ma on jedynie pogardę i obojętność.

Usiłowałam odpędzić owe myśli od siebie.

Czyżbym sobie pozwoliła na zazdrość? Skąd to rozgoryczenie? Usiłowałam zajrzeć w najtajniejszy głąb duszy. Bez cienia fałszywego wstydu starałam się odtworzyć w wyobraźni niepokojący obraz ich fizycznego zbliżenia. Czy chciałabym być na miejscu tej kobiety?

Nagle się wzdrygnęłam.

Pocałunek jego ust? O nie, nie... Żadna pieśczoła nie stłumiłaby we mnie wspomnienia suchej ostrości jego tonu. Żaden uśmiech nie wygładziłby w moich oczach ironicznej i lekceważącej bruzdy, opuszczającej kąćki jego warg ilekroć zwracał się do mnie. Nie, wyśniony obraz z czarowanego królewicza nie miał nic wspólnego z owym obcym człowiekiem. A jednak poczułam, jak ogarnia mnie smutek. Oparłam głowę na rękę i wpatrywałam się w ożywioną parę, zajęłą sobą, nie zwracającą uwagi na otoczenie.

Szmer odsuwanych krzesel i szelest jedwabiu wyrwał mnie z zamyślenia. Walter Anderson wraz ze swą towarzyszką opuszczali kawiarnię przytuleni do siebie.

Serce mi się ścisnęło na ten widok.

ROZDZIAŁ XV

Spotkanie z moim mężem na mieście nie wpłynęło w żadnej mierze na nasz wzajemny stosunek. Walter Anderson nadal ignorował mnie jak dawniej, ja zaś starałam się w miarę możliwości nie przypominać mu o swym istnieniu.

A jednak nie potrafiłam wykreślić tej sceny z pamięci i w myślach często do niej powracałam.

Każde nieco chłodniejsze niż zazwyczaj słowo, czy gest, przywodziły mi natychmiast przed oczy porównanie z czarującym towarzyszem uwodzicielskiej aktorki. Pociągało to za sobą mniej lub bardziej przykre refleksje na temat charakteru człowieka, którego w istocie nie znałam, żyjąc z nim pod jednym dachem.

Pewne niespodziewane wydarzenie, mające dla mnie wielką wagę, odsunęło jednak te myśli na czas dłuższy.

Tego popołudnia Walter Anderson nie wyszedł z domu spędziliśmy wieczór w jego apartamentach. Nasze sam na sam w małej biblioteczce, przylegającej do jego sypialni, zazwyczaj nie wyróżniało się niczym szczególnym. Przeważnie Walter wypalał

kilka papierosów, przerzucając gazety i zwracając mi od czasu do czasu uwagę na jakiś ciekawszy artykuł, podczas gdy ja w świetle lampy zajęta byłam jakąś robótką ręczną. Tego wieczoru musiałam złożyć robótkę wcześniej, gdyż zabrakło mi jedwabiu. Ponieważ mąż był pogrążony w lekturze, sięgnęłam po wielki album z fotografiami i zaczęłam przerzucać jego kartki.

Przeważnie były to stare zdjęcia. Na kilku z nich rozpoznałam jego rodziców, ale większość osób na fotografiach była mi zupełnie obca.

Nagle, odwracając jedną z kart, trafiłam na zdjęcie, które przykuło moją uwagę. Była to amatorska fotografia dziesięcioletniego chłopca bawiącego się w pięknym parku. Z całą pewnością znałam owego chłopczyka, a przede wszystkim znałam dobrze tę fotografię. Obrazek ten z jakiegoś powodu wyrzył mi się głęboko w pamięci.

Mimo woli wyrwał mi się cichy okrzyk:

— Oooo!

Przestraszyłam się swego głosu i podniosłam wzrok na mego towarzysza, który patrzył na mnie z niemym pytaniem w oczach.

— Kto to jest? — zapytałam — znałam tego chłopczyka.

Rzucił okiem na fotografię, którą mu wskazałam. Zdawał się zdziwiony.

— Znała go pani?

— Tak, na pewno.

— Gdzie go pani poznała?

— Chyba we Francji... z całą pewnością... kiedy byłam jeszcze bardzo mała.

Zrobił jakiś ruch głową, wyrażający wątpliwość.

— Ależ tak — nalegałam — znałam go, jestem tego zupełnie pewna.

— W takim razie musi pani wiedzieć, kogo ta fotografia przedstawia.

— Właśnie, że nie mogę sobie przypomnieć. Widać byłam jeszcze bardzo mała... chyba bawiliśmy się razem w dzieciństwie... nawet pamiętam ten park.

— Wątpię — zaprzeczył miękko.

Nigdy nie znosiłam, jeżeli zaprzeczano mi wtedy, kiedy byłam czegoś pewna.

— Zaraz panu dowiodę, że mam rację.

Wyciągnęłam zza kołnierzyka łańcuszek, na którym miałam zawieszony złoty medalion. Otworzyłam go i podałam lordowi Andersonowi.

— Może się pan przekonać.

Rzucił przelotnie spojrzenie na mały obrazek otoczony złotą obwódką, który mu podałam, i nagle zaczął się we mnie wpatrywać takim wzrokiem, jakby ujrzał kogoś zupełnie innego.

— Od ilu dni nosi pani tę fotografię w swoim medalionie?

— zapytał nieoczekiwanie ze swym nieznośnie ironicznym śmieszkiem.

— Od ilu dni? — powtórzyłam osłupiała. — Jak to dni? Noszę ją od lat, wraz z fotografią mojej matki wprawioną na odwrocie. Przypuszczam, że

to właśnie ona włożyła mi zdjęcie tego chłopca do medalionu, bo nie pamiętam, żebym zrobiła to sama.

ironiczny uśmiech nie znikął z jego twarzy.

— Ma pani istotnie bujną wyobraźnię — zauważył krótko.

Krew uderzyła mi do głowy.

— Wyobraźnię? — szepnęłam oburzona jego nieufnością.
— Pan chce powiedzieć, że zmyśliłam tę historię.

— To, co pani mówi, jest tak nieprawdopodobne — rzucił tym samym nieprzyjemnym tonem.

— Możliwe, jednak jest to szczerą prawdą. Czy nie poznaje pan, że jest to fragment tej samej fotografii?

— To niemożliwe, żeby pani знаła kiedykolwiek tego młodego Anglika.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie przypuszczam, żeby on był kiedyś we Francji i mógł się z panią bawić.

— A jednak jedynie we Francji mogłam go poznać.

— Nie. Nigdy w to nie uwierzę.

— Ależ nie myślę się, jestem tego pewna. Zaraz, już sobie przypominam, jak to było. Byłam bardzo mała... nie pamiętam imion ludzi i nazw miejscowości, tego chłopca pamiętam, bawiłam się z nim...

— Dziecinne bajeczki...

— Powiedziałam już, że byłam wówczas małym dzieckiem. Miałam cztery, a może pięć lat... nie pamiętam już dobrze. Pamiętam duży biały dom, może nawet pałac... z dużym tarasem, dość szerokim i schody na wielki trawnik... który wydawał mi się wtedy bez granic. Na lewo od trawnika stało olbrzymie stare drzewo. Tam zawsze siedziało dużo osób. Była też długa aleja... za nią znów drzewa, drzewa, drzewa i woda... Nie wiem, czy to była rzeka, czy staw. Tego już nie pamiętam, ale pamiętam łódkę, wydawała mi się wielka jak okręt. Siadywałam w tej łódce na ławeczce, naprzeciwko siadał chłopiec. On wiosłował...

— Aż tu raptem coś się stało?

— Chyba się przechyliłam do wody...? Pamiętam nagły chłód, który mnie zmroził i przeraził. I... brak oddechu... potem nieznośny ciężar na piersi. Czyjaś rękę... w głowie mi huczy... Potem leżałam na brzegu, w trawie i chłopczyk pochylał się nade mną...

Krzyczał na mnie po imieniu. A potem śmialiśmy się i płakaliśmy... i pędziliśmy razem w stronę pałacu... A on ciągnął mnie za rękę i biegł tak szybko, że nie mogłam za nim nadążyć. Wpadłam do wody... Z całą pewnością zawdzięczam życie temu chłopczykowi, który skoczył za mną i mnie wyratował.

Pochłonięta opowiadaniem, mówiłam cicho, zapominając o obecności słuchającego mężczyzny. Dopiero lekkie chrząknięcie uprzytomniło mi jego obecność. Z głową opartą na jednej dłoni i łokciem

wspartym o grzbiet fotela przyglądał mi się uważnie i badawczo.

— Pan mi nie wierzy? — podjęłam po chwili. — Czy pan go zna? Nigdy nie opowiadał panu o tym?

— Nie przypominam sobie — odpowiedział chłodno mój mąż.

— Wie pan, przypominam sobie jeszcze podróże na grzbiecie osła dookoła trawnika i jeszcze jedną przykrą historię...

— Domagam się jej opowiedzenia — odezwał się Walter, chcąc zapewne zaznaczyć, że mnie z uwagą słucha.

— Widocznie wolny krok osiołka nam się w końcu znudził, bo pewnego dnia wsadził mnie na grzbiet swego kucyka. On sam chyba umiał już jeździć konno, ale ja bałam się strasznie i broniłam, wtedy on mnie przywiązał po prostu do grzbietu kuca.

Nie pamiętam, jak tego dokonał, ale do dziś pozostało mi wspomnienie grubego powroza, wrzynającego się w nogi, którego końce obijały się o boki zwierzęcia. Mówił, że będzie to zabawa w czerwono-skórych, a ja miałam być zakładniczką, którą on porwał z obozu wrogiego szczepu.

On też wskoczył na kucyka, i trzymał mnie przed sobą, leżącą w poprzek na siodle. Pamiętam, że ryczałam ze strachu, co podniecało jeszcze naszego wierzchowca, który pędził na złamanie karku. Pamiętam też, że wszyscy biegli za nami, przywołując

nas przerażonymi głosami. Chyba na zakręcie jakiejś alejki on zrolował na trawę i jedynie solidności sznurów zawdzięczam, że żyję, bo mnie konik poniósł. Na wpół żywą ze strachu zdjęto mnie z konia, który wreszcie sam wpadł do stajni.

Widocznie musiałam odchorować tę przygodę, bo pamiętam, że leżałam w łóżku, bardzo obolała, i ciągle wołałam tego chłopca.

On przychodził i mówił, że mogę zostać kaleką i że, w takim razie, ożeni się ze mną.

— I od tego czasu nigdy pani nie spotkała tego nieznośnego chłopaka? — zapytał mój mąż.

— Nie, nigdy. Widocznie starsi doszli do przekonania, że jego zabawy i gry są nieco zbyt gwałtowne dla mnie. Widocznie wyjechałam, czy też jego wywieźli. Po raz pierwszy od tamtych czasów przypomniałam sobie te zdarzenia... To dziwne, że pan go zna... Co się z nim dzieje teraz?

Walter Anderson nie odpowiedział od razu na moje pytanie, więc nalegałam energiczniej:

— Niech mi pan powie przynajmniej, jak on się nazywał?

Wydało mi się, że Walter zawahał się, nim powiedział:

— To był mój towarzysz zabaw na plaży... Miałem wówczas mniej więcej dwanaście lat, kiedy poznałem się z nim w Barrow, podczas pewnych wakacji letnich. Nazywaliśmy go w naszym kółku zdrobniałym imieniem Nol. Od dawna już zapom-

niałem, jakie było jego właściwe imię i nazwisko... możliwe, że go nawet nigdy nie znałem.

— I nie wie pan, co się z nim potem stało?

— Ktoś mi powiedział kiedyś, że Nol zginął w wypadku samochodowym, wkrótce po naszym rozstaniu.

— Zginął? — Niezrozumiałe uczucie gorzkiego zawodu boleśnie ścisnęło mi serce.

— Niestety — powtórzył mój mąż z całą obojętnością. - Po tylu latach wiadomość ta nie jest chyba dla pani aż tak bolesna?

Walter Anderson przyglądał mi się, nie tając sceptycyzmu co do szczerości mego żalu.

— Chodzi przecież jedynie o bardzo odległe wspomnienia.

— Wszyscy, których kochałam albo którzy mnie kochali, spoczywają już w grobach... — Ogarnęło mnie uczucie żalu nad sobą. Zdaje się, że byłam bliska płaczu.

— Przypuszczalnie on nie poznałby pani.

— O, na pewno. Chociaż kto wie, może i on zachowałby to wspomnienie? Dla mnie łączy się on z okresem bardzo szczęśliwym w moim życiu...

Melancholia, która mnie ogarnęła, a której nie umiałam ukryć, podrażniła widocznie Waltera Andersona. Wstał nagle, podszedł do mnie i dość brutalnie zamknął album, który trzymałam jeszcze na kolanach.

— Niechże pani odrzuci precz te smutne wspom-

nienia — powiedział dość szorstko. — Żyje się teraźniejszością, a nie przeszłością. Jest pani wystarczająco przystojna i zamożna, żeby móc nawiązać nowe stosunki towarzyskie i więzy przyjaźni.

Nic mu na to nie odpowiedziałam. Czy mógł mnie zrozumieć? He ironii zawierały jego słowa! Mąż mógł co dzień mieć świeżych przyjaciół, dobieranych spośród tłumu wielbicieli jego talentu. Ja zaś od wielu tygodni, miesięcy, a nawet lat wlokłam swój nędzny żywot, obca wszystkim i obojętna, osamotniona...

Wstałam z fotela, chcąc go pożegnać i udać się na spoczynek, kiedy jego dłoń spoczęła nagle na moim ramieniu i zmusiła mnie do wykonania półobrotu, tak że znalazłam się z nim twarzą w twarz.

Jego oczy szukały moich, jakby chcąc przeniknąć moje myśli.

- Proszę się nie smucić — powiedział jakoś dziwnie miękko i przyjaźnie, jak nigdy dotąd. — Czasami warto jest żyć... proszę mi wierzyć, Simono, że jest pani mniej samotna, niż się to pani zdaje...

Po raz pierwszy nazwał mnie po imieniu i dźwięk mego imienia w jego ustach roztkliwił mnie i poruszył do żywego.

Nie dając mi czasu na to, bym ochłonęła z wrażenia, Walter Anderson otworzył drzwi biblioteki i podał mi rękę na dobranoc,

— Proszę dobrze spać tej nocy i odpędzić wszystkie czarne myśli, zupełnie niepotrzebnie mącące spokój ducha.

Wolniutko szłam do pokoju, usiłując zebrać myśli, wciąż jeszcze poruszona niespodziewanym zbiegiem okoliczności, który przywołał dzisiejsze wspomnienia.

ROZDZIAŁ XVI

Przyzwyczałam się chodzić codziennie na mszę św. do małej kapliczki, znajdującej się w pobliżu naszego domu. Rankiem już o ósmej udawałam się tam sama piechotą, co podwajało jeszcze przyjemność owych wypraw.

Mąż nigdy mnie nie pytał o cel tych wycieczek. Ja zaś nie miałam okazji powiedzieć mu o nich.

Toteż bynajmniej nie zdziwiłam się, zauważywszy pewnego dnia w kapliczce starego Johna, którego obecność przypisałam przypadkowi. Ponieważ jednak w ciągu następnych dni zaczęłam go tam również spotykać, domyśliłam się, że otrzymał wyraźne polecenie od pana, by mi towarzyszył stale.

Aczkolwiek dyskretna, jednak tego rodzaju forma kontroli była mi przykra. Uważałam, że Walter Anderson, afiszujący się w publicznych lokalach ze znaną aktorką, miał jak najmniej powodów do szpiegowania mnie.

Tego rodzaju myśli budziły we mnie wojowniczego ducha, a mając wrodzone skłonności do buntu, zaczęłam niemal tęsknić za jakąś niezwykłą przygodą, w którą bym mogła być zamieszana.

Chciałam dowieść mężowi, że mam takie samo prawo do rozporządzania moją swobodą według własnego widzimisie, jak i on.

Piekło — bo to nie mogło być dziełem niebios sprawiło, że to życzenie spełniło się szybciej, niż mogłam przypuszczać. Jeszcze tego samego dnia wzrok mój, najzupełniej przypadkowo, padł na mego sąsiada w ławce kościelnej. Był to trzydziestoletni mężczyzna, nieprzeciętnie elegancki, który od paru tygodni już przychodził, nie mniej regularnie niż ja, na ranną mszę. Dotychczas nie zwracałam na niego uwagi. Jednak właśnie w tym dniu ledwo skierowałam wzrok w jego stronę, spotkałam parę ciemnych oczu wpatrzonych we mnie dość natarczywie.

Moja reakcja była tak nowa i silna, że zarumieniłam się mimo woli. Zażenowana jego spojrzeniem, zagłębiłam się w książkę do nabożeństwa, nie mogąc jednak odpędzić natarczywej myśli o wpatrzonych we mnie, niepokojących oczach nieznajomego.

Przy wyjściu z kaplicy spotkałam znów tego człowieka koło kropielnicy. Umoczywszy końce palców w święconej wodzie, podał mi je uprzejmym gestem. Zawahałam się. Po czym jednak podziękowawszy skinieniem głowy, przyjął wode święconą i szybko mijając go, skierowałam się do wyjścia.

Odtąd uprzejmość tę zaczął powtarzać codziennie.

Podczas ofiary czułam, że nieznajomy stoi tuż za mną, nieraz tak blisko, że jego gorący oddech muskał mi kark, rozpraszając pobożne skupienie.

Codziennie również jego kurtuazyjny gest przy kropielnicy niezmiennie powtarza! się, podczas gdy oczy o melancholijnym i słodkim spojrzeniu uparcie szukały mego wzroku.

Pewnego dnia nieznajomy odważył się odezwać do mnie, a ja oszołomiona jego śmiałością zatrzymałam się na dźwięk jego głosu.

— Bardzo pięknie śpiewano dziś w czasie nabożeństwa...

Mówił najczystszą francuszczyzną. Brzmienie ojczystego języka tak mnie ucieszyło, że niezdolna opanować odruchu, uśmiechnęłam się i zapytałam:

— To pan jest Francuzem?

— Tak, proszę pani, i jeśli się nie mylę, pani jest moją rodaczką.

Odpowiedział mi z takim szacunkiem, że nie miałam powodu oburzyć się, i ta wymiana słów z człowiekiem obcym, który nie był mi przedstawiony, wydała mi się rzeczą zupełnie naturalną.

— Od razu zauważyłem, że pani modlitewnik pisany jest w tym języku. Nie mogłem tego nie spostrzec, zwłaszcza że to tak miło odnaleźć rodaczkę na obczyźnie.

— Tak, to istotnie miło — powtórzyłam machinalnie.

Nie mając odwagi wyjść ze świątyni w jego towarzystwie, zatrzymałam się przy drzwiach kościoła. Dostrzegł mój manewr i zaraz się pożegnał.

— Proszę mi wybaczyć, że ośmieliłem się przemówić do pani. Ale tak tak mi brakuje rodzinnej mowy,

że nie mogłem się oprzeć pokusie... Raz jeszcze proszę o przebaczenie i mam zaszczyt pożegnać panią.

Złożył mi ukłon i oddalił się, a ja poczułam wzruszenie. Tego poranka niebo wydało mi się błękitniejsze. Nawet ulica nie była już tak szara jak zwykle.

Zaledwie parę metrów przed domem pomyślałam o starym Johnie. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Nie ulega wątpliwości, że staruszek musiał zauważyć całą scenę i myśl o tym sprawiła mi przyjemność.

Co za szczęście! A więc mam upragnioną przygodę. Wkrótce mój mąż się dowie, że ja również potrafię wykorzystać swoją niezależność.

Radość moja nie trwała długo.

Dzień ten minął szybko i nietrudno odgadnąć, iż nazajutrz z pewną tremą udałam się na poranne nabożeństwo do kapliczki.

Nie opracowałam żadnego planu postępowania w stosunku do nieznajomego. Wiedziałam, że jeżeli odezwie się do mnie znowu, nie będę miała powodu mu nie odpowiadać tak długo, jak długo jego zachowanie będzie cechował najgłębszy szacunek.

Kto wie, może nawet skorzystam z nadarzającej się okazji, żeby się dowiedzieć, jak się nazywa i co robi. Sprawiał na mnie wrażenie człowieka wyjątkowo dobrze wychowanego, jednakże mógł być gentlemanem, nie należąc do tak zwanego towarzystwa...

Był już oczywiście w kaplicy, kiedy weszłam. Z niesłychaną dyskrecją pochylił z lekka głowę na mój widok. Byłam zachwycona jego umiarem, świadczącym o dobrym smaku i wychowaniu.

Kiedy msza święta się skończyła, nieznajomy nie poruszył się, dopóki nie skierowałam się ku wyjściu. Równocześnie dotarliśmy do progu kapliczki. Palce jego zanurzyły się w święconej wodzie i już zaczęłam się uśmiechać, chcąc mu podziękować, kiedy nagle jakieś ramię wsunęło się między nas oboje i energicznym ruchem odtrąciło wyciągającą się ku mnie dłoń nieznajomego.

Nieznajomy cofnął się zdumiony, podczas gdy ja z przerażeniem wpatrywałam się w postać męża, który dotychczas nie zauważony, wyrósł nagle obok mnie.

Był blady, ale bardzo spokojny i patrzył uporczywie z dumą i chłodem na nieznajomego, który cofnął się parę kroków.

Spojrzenia obu mężczyzn wyrażały zdecydowaną wrogość. Po chwili Walter Anderson pchnął lekkie, obite skórą drzwiczki wejściowe kapliczki i usuwając się z drogi tak, że stanął między mną a tym człowiekiem, uprzejmie wskazał mi wyjście ze słowami:

— Pani raczy przejść, lady Anderson.

Ton jego głosu, choć pełen kurtuazji, był tak stanowczy, że zabrzmiał jak rozkaz.

Skinęłam głową nieznajomemu i wyszłam z kaplicy zupełnie swobodnie i naturalnie, chociaż czułam

w sercu niepokój na widok owej zdecydowanej postawy mego męża.

Czyżby przepuścił mnie tak ostentacyjnie jedynie po to, żeby zaczepić nieznajomego? W przedsionku ośmieliłam się odwrócić z lekka głowę w ich stronę. Walter Anderson z zaciśniętymi ustami szedł tuż za mną, w odległości najwyżej jednego kroku. Tamten zaś opuszczał kościół innymi drzwiami z miną tak obojętną i naturalną, że przez chwilę wydało mi się, że śniłam niedawną scenkę.

Chociaż spojrzenie moje rzucone wstecz było więcej niż przelotne i trwało zaledwie ułamek sekundy, nie uszło jednak uwagi mego męża. Poczułam na ramieniu jego rękę, której palce wbiły mi się boleśnie w ciało.

— Uważaj, Simono — szepnął. — Moje poczucie godności nie zniesie najlżejszego odstępstwa od przyjętych form.

Nie odpowiadając mu, wzruszyłam tylko ramionami. Czułam, że tłoczą mi się do ust słowa złe i obraźliwe. Opanowałam się jednak, nie chcąc ich wymawiać i nie chcąc wszczynać tej rozmowy na ulicy.

Odległość dzielącą nas od domu przebyliśmy w milczeniu, krocząc sztywno obok siebie i przeżuważając oboje niewesołe myśli, w przeczuciu nieuniknionej burzy.

Wszedłszy do domu, miałam zamiar natychmiast rozstać się z moim towarzyszem i podążyć do apartamentów, lecz on zatrzymał mnie słowami:

— Mam z panią do pomówienia, Simono. Proszę wejść na chwilę do mego gabinetu.

Po raz wtóry na przestrzeni krótkiego czasu nazwał mnie Simoną. Ta zażyła forma zwracania się do mnie, którą praktykował już od kilku dni, w tym momencie nie miała w sobie nic przyjaznego ani nawet cienia serdeczności. Był to ton despotycznego władcy, który nie zniesie, żeby jego rozkazy ktokolwiek odważył się dyskutować.

Tymczasem ja nie byłam wcale nastrojona do biernego posłuszeństwa, toteż nie omieszkałam zaprotestować:

— Do czego doprowadzi taka rozmowa? Powiemy sobie najwyżej wiele przykrych słów.

— Wysłuchanie owych przykrych słów jest dla pani rzeczą nieuniknioną, skoro jestem zdecydowany je powiedzieć, więc lepiej zaraz, niż później.

— Proszę bardzo, skoro panu zależy na kłótni. — Z oczyma rozgorzałymi wyzwaniem wkroczyłam do jego gabinetu. Dławiło mnie oburzenie. Po scenie w kaplicy, ta rozmowa, a zwłaszcza ton, z jakim się do mnie zwracał, wydała mi się szczytem bezczelności.

Zamknawszy drzwi, mąż podszedł do mnie ze skrzyżowanymi rękoma i stanął na wprost mówiąc:

— Proszę pani, pragnę wierzyć, że po raz ostatni pozwoliła pani sobie na podobny nietakt.

— Jaki nietakt? — zapytałam zaczepnie.

— Droga pani, nie bawmy się pustą grą słów i nie powracajmy do okoliczności, które spowodowały moją dzisiejszą bytność w kościele.

— Pana niewczesna interwencja była po prostu śmieszna. Uśmiechnął się dość zagadkowo.

— Przede wszystkim była dla pani niewygodna, ponieważ przerwała pani jej codzienny flirt.

- Flirt?... Posługuje się pan niewłaściwym słowem, panie Anderson.

— A jakież inne określenie byłoby właściwe w danym wypadku?

— Po raz pierwszy przemówił do mnie wczoraj.

— Ale widywała go pani codziennie już od dłuższego czasu.

— Chyba nie zaprzecza mu pan prawa słuchania mszy św. w tej kaplicy, gdzie oprócz niego przychodzi przecież wielu innych ludzi.

— Od wielu tygodni już krąży dookoła pani, a pani to przyjmuje chętnie i bez żadnych zastrzeżeń.

— - I co dalej? Czy nie wolno mi przyjąć niewinnego hołdu człowieka zachowującego się bez zarzutu?

— Nie wolno pani zapominać, bodaj na chwilę, że jest pani lady Anderson — powiedział twardo, z ukrytą pasją.

— Och, to już jest lekka przesada. Nie jestem wcale pańską żoną.

Słowa te wyrzuciłam z siebie z najwyższym oburzeniem, wyciągając naprzód obie ręce, jakby na

poparcie słów i uplastycznienie ich odrzuceniem tytułu, który chciał mi przemocą narzucić.

Gwałtowność mego protestu zaskoczyła go. Ton jego zmiekkł.

— Z jakiegoż innego tytułu jest pani u mnie, w moim domu, lady Anderson?

— Nie mnie, lecz panu dogadzało nadać mi tytuł wobec pańskiej służby... Żądał pan, żebym się nim posługiwała w stosunku do dostawców, a nawet znajomych. Ale pan wie najlepiej, że nic nie usprawiedliwia tej maskarady... nic mnie z panem nie wiąże, oprócz dobrowolnej co prawda ugody, ale tylko... na próbę.

— Zapomina pani o prawomocnych węzłach małżeńskich.

— Opartych na fałszerstwie i oszustwie, i podstawieniu innej osoby. Prosta formalność wystarczy, żeby anulować takie zobowiązanie.

— Nie bez mojej zgody, droga lady, a ja tej zgody nie dam w żadnym wypadku, jest pani moją żoną i pozostanie nią nadal.

— Przepraszam, wcale nie jestem pana żoną i nigdy nie uznaję w panu męża.

Żachnął się niecierpliwie.

— Pozostawiam pani zupełną swobodę osądzania tych spraw według pani zapatrywań. Ja osobiście liczę się wyłącznie tylko z faktami. Wobec prawa jest pani moją żoną. Czteromiesięczne pożycie nasze pod wspólnym dachem utrwaliło w oczach *ludzi* stanowisko pani jako żony... Zgodziła się pani

dobrowolnie na nasze współżycie. Jeżeli stwarza ono dla mnie pewne obowiązki w stosunku do pani, to nie zwalnia od nich pani w stosunku do mnie.

Leciutki uśmieszek musnął moje wargi. Walter Anderson, upominający się raptem o swoje mężowskie prawa wydał mi się kimś nowym.

Gdzież się podziały jego gwałtowne protesty, wygłaszane ze swadą w gabinecie mistrza Curnetta? Z chwilą gdy wchodziły w grę jego uprawnienia czy przywileje, które ośmielałam się kwestionować, z jakąż stanowczością twierdził, że jestem jego własnością. Ale jakże szybko zmieniłby zdanie, gdybym zaczęła mówić o jego obowiązkach w stosunku do mnie.

Świadomość, że właściwie trzymam go w szachu, skłoniła mnie do prowadzenia dalej owej przykrej rozmowy.

— A więc wymaga pan ode mnie absolutnej wierności?

— No oczywiście!

— I mam nie zapominać, że noszę pana nazwisko?

— Uczciwe i szanowane nazwisko — podkreślił — które pani również winna cenić.

— To się samo przez się rozumie. Są to podstawowe obowiązki kobiety, która szanuje samą siebie.

— A więc wreszcie przyznaje pani? Uśmiech mój przeszedł już niemal w śmiech.

— Nie mam zamiaru dyskutować tak elementarnej rzeczy, jak to, o czym pan raczy mówić — potwierdziłam wolno i dobitnie. — Nie mogę również zaprzeczyć, aczkolwiek nie uznaję pana pretensji do jakichkolwiek praw małżeńskich. Mam dość dumy i poczucia własnej godności, żeby nie zapominać bodaj nawet o pozorach. Natomiast twierdzę, że w moich przypadkowych spotkaniach z tym panem w kaplicy, które, zdaniem pana, rzucają cień na jego honor, ani na chwilę nie zapomniałam o tym, że jestem kobietą, którą nigdy nie dotknął pozór zarzutu i że tę opinię chcę zachować nadal.

Moja dobra wola po burzliwym wstępie naszej rozmowy, zdawał się zadowalać mego towarzysza, chociaż lekka nuta drwiny w moim głosie obudziła w nim pewien niepokój.

— Ustaliliśmy więc pomiędzy sobą dwie sprawy: pana prawa odnośnie mnie i moje obowiązki w stosunku do pana. Czyż nie tak — lordzie Anderson?

— Nie przypuszczałem, żebyśmy byli zmuszeni kiedykolwiek specjalnie je precyzować. Wynikały one z naszego układu.

— Podzielam całkowicie pana zdanie. Podążając za panem do tego domu, przypuszczałam, że wzajemnie podporządkujemy się ustalonym w tej mierze prawom. A jednak...

— Cóż oznacza to „jednak“?...

— Mówi pan wyłącznie o swoich prawach i o moich obowiązkach, ale jakoś

nie wspomina pan nic o tym, jak się przedstawia ta sprawa, jeśli zamienimy nasze role.

— Co pani chce przez to powiedzieć? Patrzył na mnie okrągłymi ze zdumienia oczyma

i zdumienie to było istotnie szczere.

Zaczęłam się śmiać. Śmiech mój mógł go boleśnie dotknąć, tyle w nim było drwiny.

— Jak mam to rozumieć? — nalegał.

— Och, bardzo prosto. Pan nie uznaje, żeby pańska małżonka miała prawo przyjąć wodę święconą w kościele z rąk nie znanego panu mężczyzny, więcej jeszcze, gotów pan ochrzcić mianem skandalu fakt, że mężczyzna ów ośmiela się złożyć mi ukłon pełen szacunku, wreszcie uważa pan, że szczytem bezczelności jest rzucona pod moim adresem głośna uwaga, że msza św. była tego dnia wyjątkowo pięknie odśpiewana. Mój Boże, cóż za poważne zarzuty, jak dalece usprawiedliwione?... Ale za to pan...

Cóż ja?

— Pan uważa, że jest rzeczą najzupełniej naturalną, że spędza większą część dnia poza domem u boku swej kochanki.

— Och! — zachnął się, cofając się bezwiednie o krok, tak dalece zarzut ten z moich ust był dlań nieoczekiwany.

— Ależ tak! Może się pan nie oburzać! Wiem wszystko... Przeto uważa pan za rzecz naturalną, że pan bywa wszędzie z tą osóbką, afiszuje się z nią w publicznych lokalach i dopuszcza do takich

drastycznych sytuacji, że w tej samej sali kawiarnianej spotyka się równocześnie lady Anderson, siedząca samotnie przy stoliku, i jej męża z Maud Assy, siedzących nie opodal i afiszujących publicznie swój długotrwały stosunek.

Urwałam, zmieszana nagle widokiem zmienionej twarzy mego męża. Nie przypuszczałam, żeby mój strzał był aż tak celny. Nazwisko Maud Assy spadło nań jak uderzenie maczugi po głowie. Poblady z wrażenia patrzył na mnie niemal z rozpaczą, utraciwszy w jednej chwili całą pewność siebie.

— Maud Assy — szepnął — Kto pani o tym powiedział?...

— Nikt, a właściwie wszyscy. Jednego dnia ujrzałam pana z nią w cukierni Groowatha. Od kelnera dowiedziałam się znacznie więcej, niżbym się ośmieliła przypuszczać. Widziałam potem pana z nią na dancingu, sama wmieszana tłum ciekawych, obserwujących zabawę innych. Potem u mego krawca, gdzie omawiał pan sprawę jakiegoś kostiumu dla niej, i gdzie spierano się z panem w związku z jakąś jej nową toaletą. Wszędzie, gdziekolwiek bym się ruszyła, spotykałam pana osobę lub nazwisko kojarzone z jej nazwiskiem.

Stał nieruchomo, milcząc. Tymczasem we mnie wzbierał żal i gorycz, której natężenia nawet nie uświadamiałam sobie dotąd, toteż ciągnęłam dalej twardo i bezlitośnie:

— Widzi więc pan, panie Anderson, że mam najistotniejsze prawo nie uważać się za pańską żonę

i nie poczuwać się do żadnych małżeńskich obowiązków w stosunku do pana.

Przetarł ręką czoło, jak gdyby usiłując zebrać myśli. Podszedł do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, powiedział głucho:

— Uznaję swoją winę, lady Anderson. Nie powinienem był narażać panią na podobne spotkania. Jest to z mojej strony karygodna lekkomyślność, że nie przewidziałem tego w porę.

Mój nerwowy uśmiech przeciął tę litanię samo-oskarżeń.

— Och, proszę się uspokoić. Nie mam do pana cienia pretensji. Cóż mnie to może obchodzić, że pan ma kochankę. Może pan sobie pozwolić na dwie, nawet na dziesięć i to mnie nie dotknie w żadnej mierze. Nie uważam pana za swego męża i nie roszczę sobie pretensji do żadnych praw.

— Simono, proszę tak nie mówić. Pani nosi moje nazwisko. Nie wolno mi było narażać panią publicznie na taki afront.

— A więc to pana jednak wzrusza! Myśl o publicznej zniewadze, jakiej doznała lady Anderson, i to dzięki komu? Dzięki temu, który jest najbardziej powołany do tego, żeby od wszystkich domagać się dla niej szacunku?

— Proszę mnie nie dobijać tymi zarzutami. Wiem, że nie mam nic na własną obronę.

— Ani mi się śni dręczyć pana zarzutami, wykorzystując przewagę, którą mi zapewniło pana lekkomyślne postępowanie. Wręcz przeciwnie, pragnę

podkreślić, że pana godność, którą pan tak beztrosko deptał publicznie, miała widać znacznie większą cenę dla mnie, niż dla pana. Nikt nie ośmielił się twierdzić, że widział lady Anderson w tym samym lokalu co pan i pańska przyjaciółka... Za każdym razem, kiedy przypadek sprowadzał nas na ten sam teren, usiłowałam stać się niewidzialna, ukrywałam się przed oczyma ciekawych, robiąc wszystko, co było w mej mocy, żeby nikt nie zauważył dwuznaczności tej sytuacji.

— Dziękuję pani za to, Simono...

Ogarnął mnie niemal pieszczotliwym spojrzeniem.

— Proszę mi wierzyć, że nie tylko to mnie boli... chodzi mi nade wszystko o przykrość, jaką pani sprawiłam, i...

Znowu zmuszona byłam mu przerwać:

— Przecież powiedziałam już panu przed chwilą, że jest mi to najzupełniej obojętne, czy pan ma przyjaciółkę, czy też nie.

— Tak pani twierdzi, ale jest mi trudno w to uwierzyć... już chociażby ze względu na pani miłość własną, którą musiało to zadrasnąć. Toteż zapewniam panią, że spotkania pani z... tą osobą w mojej obecności nigdy się już więcej nie powtórzą.

— - Proszę postępować tak, jak to panu dogadza. Uprzedzam, że nie ma pan powodu krępować się mną.

Udał, że nie zauważył tego, co mówię.

— Pragnę dodać jeszcze, że nawet gdyby nie doszło do dzisiejszej rozmowy, nie byłaby już pani więcej narażona na te spotkania.

— Doprawdy? Czyżby się pan pokłócił ze swą przyjaciółką?

— Mogłem z nią zerwać, bez żadnych obustronnych wybuchów gniewu...

— Właściwie cała ta sprawa nie interesuje mnie wcale — zauważyłam, akcentując zupełną obojętność i lekceważenie.

— A jednak osoba pani jest pośrednią przyczyną mego postanowienia.

Roześmiałam się.

— Mam wrażenie, że pan przecenia moją łatwowierność.

— Proszę nie drwić ze mnie, lady Anderson. Jestem w tej chwili bardziej szczery, niż pani przypuszcza.

W nic opanowanym porywie gniewu zaczął szybko przemierzać pokój tam i z powrotem, założywszy ręce na plecach, z oczyma pociemniałymi.

Usiadłam na jednym z ciężkich, skórzanych foteli, stojących po obu stronach kominka, i bawiąc się obojętnie chwastem jakiejś poduszki, obserwowałam kącikiem oka nerwowe ruchy mego towarzysza, który raptem zatrzymał się przede mną.

— Jestem zrozpaczony, że ta cała historia dotarła do uszu pani. Miałem nadzieję, że pani nie dowie się o niej nigdy.

— W okolicznościach, w których dane mi było oglądać pana, nie robił pan wrażenia człowieka, który czyni sobie bodaj najłżejsze skrupuły z mego powodu — zawołałam z nutką ironii.

— Tak, przed paru jeszcze tygodniami było mi istotnie obojętne, że pani może mnie spotkać w jakimś nieodpowiednim towarzystwie. Nie pragnąłem wówczas, tak jak to pani czyni po dziś dzień, widzieć w pani coś więcej niż legalną małżonkę, narzuconą mi wbrew mojej woli przez niezależne ode mnie okoliczności.

— A teraz? zapytałam niemal wbrew woli, nie mogąc opanować czysto kobiecej ciekawości.

— Teraz zdałem sobie sprawę, że... pani obecność w moim domu... nasze współzycie...

Urwał, widząc moje zdumione spojrzenie.

— Czyżby pan zmienił zdanie? — zapytałam wobec jego dłuższego milczenia.

— Tak. Z pani powodu zerwałem z tą osobą przed trzema tygodniami.

Wyprostowałam się sztywno z lodowatym wyrazem twarzy.

— Popęłnił pan błąd, czyniąc to dla mnie, gdyż z tego tytułu nie odczuwam dla pana żadnej wdzięczności. Proszę mi wierzyć, że było mi to najzupełniej obojętne.

— Nie liczyłem też na podziękowania ze strony pani — zauważył oschle.

— Mój Boże — ciągnęłam dalej ze specjalnym

naciskiem — byłabym w rozpacz, gdyby pan uważał za swój obowiązek krepować się mną. Ma pan przecież kompletną swobodę organizowania swego życia zgodnie z pana wolą i gustem. Pozostanie pan dla mnie zawsze człowiekiem obcym w pełnym znaczeniu tego wyrazu.

— Pani jest okrutna.

— Zupełna szczerłość jest dla nas obojga znacznie lepsza.

Widać było, że używa całej siły woli, żeby zachować spokój.

— Dobrze więc. Nic nie znaczę w pani oczach i cokolwiek bym powiedział, i zrobił, jest pani absolutnie obojętne... Czy właśnie to chce mi pani dać do zrozumienia?

— Tak. Właśnie to.

— Proszę bardzo. Jednakże ja ze swej strony nie mogę dojść do takiego zobojętnienia. Na nieszczęście nie mogę zapomnieć o fakcie istnienia pani i o tym również, że czy chcę, czy nie chcę, pani jest już moją żoną i nosi pani moje nazwisko.

Trzepnęłam dłonią ze zniecierpliwienia.

— Nie powracajmy wciąż do tego tematu, zwłaszcza że zdania nasze tak diametralnie się różnią.

— Zanim jednak pani opuści mój gabinet, żeby się udać do swoich apartamentów, chciałbym wyczerpać sprawę, która dała początek naszej dzisiejszej rozmowie.

Od godziny już zupełnie zapomniałam o jego wstrętnych podejrzeniach, związanych z niezna-

mym, toteż kiedy znów do nich powrócił, poczułam wściekłość.

— Jestem na pana rozkazy — odpowiedziałam. Proszę mi obiecać, że przygoda ta nie będzie

miała jutra i że nigdy już więcej nie zobaczy pani tego człowieka.

Głos jego miał ton gorącej prośby. Nie zwróciłam chwilowo najmniejszej uwagi na ton. Słyszałam tylko słowa.

— Pan wie, że nie przyznaję się do popełnienia czegoś zdołnego w całej tej sprawie.

— Przed chwilą uznała pani jednak swój błąd tak dalece, że postawiła mi pani słuszne zarzuty, mające go uprawiedliwić.

— Protestuję z całą stanowczością. Ani przez mgnienie oka nie przyznałam się do winy w stosunku do pana.

— Przestańmy się już dręczyć kolejnym ustalaniem przewinień, dobrze? — poprosił zmęczonym głosem — to do niczego nie doprowadzi. Przekreślmy przeszłość i nie mówmy już o niej. Prośba, wyrażona przeze mnie przed chwilą, ograniczała się do tego, żeby zechciała mi pani obiecać, że już więcej nie zobaczy tego pana.

— Nie mogę go ani szukać, ani unikać. Danie panu obietnicy, że nie powrócę do kaplicy, do której, zdążyłam się przywiązać, byłoby przyznaniem się do nie popełnionej winy.

— Więc pani pójdzie tam znów jutro rano?

— Oczywiście, że pójdę.

— Na przekór mojej prośbie?

— Nigdy nie przyznam panu prawa udzielania mi zakazów w tym względzie.

Stalowy płomień rozjaśnił błękit tęczy mojego rozmówcy.

— Dobrze. Teraz przynajmniej wiem, co mi zostaje do zrobienia.

Poczułam nagle lęk. Czyżby myślał o pojedynku? Przebiegł mnie dreszcz na myśl o tym.

— Co pan zamierza robić?

— To już panią teraz nie obchodzi.

— Zaręczam panu, że podejrzenia pana są bezpodstawne.

— Jak dotąd jestem tego pewien.

— Więc?

— Z normalną żoną mógłbym mówić o przysięgach i wierności, ale z panią, która nie uznaje żadnych zobowiązań, muszę stosować inne metody.

— I uważa pan, że to, co pan zamierza uczynić, ukróci moją niezależność?

— Niestety, nie mam nadziei, że uda mi się poskromić panią. Pragnę jedynie usunąć tego człowieka z mojej drogi.

— Zabijając go? — zapytałem naiwnie. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, po czym

zrozumiawszy, parsknął śmiechem.

— Nie, Simono. Nie zabija się człowieka, który zadowolił się podaniem święconej wody kobiecie, której się nie kocha i która mną gardzi.

Położył specjalny nacisk na słowa „której się nie kocha”. Ale nie przejęłam się tym zanadto, od dawna zdając sobie sprawę z jego uczuć dla mnie.

— Więc co pan zrobi?

— Po prostu odszukam tego pana i rozmawiając o rzeczach banalnych znajdę sposób ujawnienia mu swego nazwiska, jeśli mu ono nie jest znane, dodając również nazwisko naszego premiera, który należy do grona moich osobistych przyjaciół. Pani adorator zrozumie, że musi się nadal zachować grzecznie, jeżeli nie chce sobie zwichnąć kariery.

— Nie rozumiem. Kimże jest ten pan, którego nazwisko i stanowisko społeczne jest, jak widzę, dobrze panu znane.

— Doprawdy pani nie wie? — zauważył od niechcienia.

— Dotychczas nie interesowało mnie to wcale.

— A więc mogę panią poinformować. Pani wielbiciel jest jednym z młodych attache francuskiej ambasady. Nazywa się baron de Mauries. Widzi pani, że jego służbowe stanowisko wyklucza możliwość flirtu z panią bez mojej zgody.

Zrozumiałam w tej chwili, że Walter Anderson był gotów postąpić tak, jak mówi. Złamałby całą karierę tego człowieka bez cienia skrupułów, wskutek kaprysu i bezpodstawnego podejrzenia.

— Przecież on może nie zrozumieć albo po prostu nie poddać się pana woli? Po cóż by to zresztą robił, kiedy nie może sobie nic zarzucić.

— A więc mniejsza z tym. Jeżeli nie zrozumie, to wyleci z ambasady. Niech pani wraca do swego pokoju, Simono. Ja idę natychmiast do ambasady.

Wziął mnie delikatnie pod rękę i podprowadził do drzwi, które szarmanckim gestem otworzył.

Teraz coś się we mnie załamało. Jednym skokiem wróciłam do mego męża i łapiąc go kurczowo za klapy marynarki, zawołałam:

— Walterze, nie idź tam. Ręczę słowem, przysięgam, że nie kocham tego człowieka i że go już nigdy nie zobaczę.

Jego dłonie objęły moje ręce i pochylając się ku mnie, z twarzą zbliżoną tuż, tuż do mojej, wpatrzył się w moje załzawione źrenice, jakby w nich szukał czegoś.

— Nigdy? — zapytał stłumionym głosem.

— Nigdy — potwierdziłam.

Przygarnął mnie do siebie i musnął ustami moje czoło. Po czym odsunął dość gwałtownie i odszedł do swego biurka, a ja szybko pobiegłam po schodach na górę i rozszlochana padłam na kanapkę w swoim pokoju.

Czy były to łzy złamanej pychy, czy też gniewu, zrodzone z nerwów, czy też z ulgi? Właściwie do dziś nie wiem, dlaczego wtedy tak bardzo płakałam.

ROZDZIAŁ XVII

Długo łkałam, gryząc koronki poduszek, żeby stłumić odgłosy płaczu. Przypuszczam, że źródłem tych łez była jednak wściekłość na Waltera Andersona za to, że musiałam mu ustąpić i że złamał mój opór i lodowaty chłód, którym odgradzałam się od niego murem.

Oczami wyobraźni widziałam, z jaką triumfującą miną musiał się teraz rozkoszować moją klęską. Na myśl o tym, aż drętwiałam z tłumionej pasji.

Biedny, stary John stał się mimowolną ofiarą mego rozgoryczenia.

Około jedenastej, nie słysząc najlżejszego szmeru w moim pokoju i przypuszczając, że mnie nie ma, wszedł, żeby sprzątnąć pokój.

Na widok mojej twarzy, obrzękłej od łez, w porywie wiernego oddania, rzucił się ku mnie.

— O, milady! Milady ma zmartwienie. Czy mogę być w czymś pomocny?

Jego pomarszczona, lecz piękna w wyrazie twarz pochyliła się nade mną z głęboką troską.

— To wasza wyłączna wina, Johnie, że płaczę — powiedziałam twardo.

— Milady, to niemożliwe. Stary John chętnie oddałby życie za milady.

Przerwałam mu gniewnie:

— O nie! John w pierwszym rzędzie słucha nakazów swego pana, któremu jest istotnie oddany bez zastrzeżeń. Przywiązanie swoje posuwa John tak daleko, że gotów jest szpiegować swą panią donosić rzeczy, które rzucają na nią cień, wyolbrzymiając je i wykoślawiając.

Stary sługa pokornie spuścił głowę.

— Tłumaczyłem milordowi, że to nie jest dla mnie odpowiednie zajęcie, towarzyszyć milady... ale mój pan nie pozwala kwestionować rozkazów.

Z widocznym wysiłkiem staruszek zgiął kolana i ukląkł przede mną. Stawy jego były zeszywniałe wskutek wieku do tego stopnia, że usłyszałam jakby chrzęst łamiących się kości, kiedy się pochylał. Nie zrobiłam jednak najłżejszego gestu, żeby go powstrzymać.

— Milady winna poznać całą prawdę. Nie powinna osądzać na ślepo swego starego Johna i wątpić, że nie jest on milady szczerze oddany.

— Jakże mogę wierzyć w przywiązanie szpiega? Staruszek drgnął pod ciosem tej obelgi.

— Ciężko słyszeć podobny zarzut, zwłaszcza w moim wieku — odpowiedział z godnością. — Lady Anderson postąpiłaby słuszniej, zadając mi pytania i wysłuchując wyjaśnień, zanim mnie osądzi.

— Po co? W jakim celu? John szedł za mną krok w krok, od wielu tygodni szpiegując każdy mój gest,

nadając tym gestom specjalne znaczenie według własnego uznania i powtarzając własne wrażenia swojemu panu, który przyjmował to bezkrytycznie.

— Nie, milady. To nie było tak. Proszę wysłuchać, co John opowie swej pani.

— Więc dobrze, proszę, niech John opowiada.

- Pewnego dnia jaśnie pan rzekł mi: „Johnie, pójdziesz co dzień z rana w ślad za lady Anderson. Ona jest niedoświadczona i nie zna naszych angielskich obyczajów. Jej prawość i wrodzona francuska swoboda bycia nie pozwolą dojrzeć zła, które czyha na nią po drodze, kiedy tak chodzi samotnie. Może ją spotkać jakaś przykrość, której nie przewidzi i której nie potrafi się ustrzec. Będziesz chodził za nią, tylko bardzo dyskretnie, żeby tego nie spostrzegła, gdyż zależy mi, żeby się czuła swobodnie i nieskrępowana w moim domu i żeby jej ta opieka nie zaciążyła. Jeżeli przypadkiem spostrzeżesz, że jej coś grozi, ostrzeżesz mnie, a ja potrafię ją ochronić.

Widzi pani, milady, że nie było mowy o szpiegowaniu. Milord jest zbyt prostolijny, żeby się posługiwał podstępem.

— Czy dawno już pan obarczył Johna tą misją? Staruszek pomyślał chwilkę, po czym rzekł:

— Mniej więcej przed trzema tygodniami.

— I cóż dalej, Johnie?

— Postąpiłem więc tak, jak lord Anderson mi nakazał. Towarzyszyłem mojej młodej pani z oddali. Doszedłem nawet do wniosku, że to było najzupełniej zbędne, ponieważ lady Anderson co dzień robiła

to samo. Co jednak miałem począć, nie chciałem stwarzać pozorów, że mi brak zapału do roli opiekuna, toteż niezmiennie widziała mnie milady na posterunku.

— W ten sposób szpiegostwo nabiera cech boskiej misji — zauważyłam z gorzkim uśmiechem.

— Niech milady raczy mnie wysłuchać do końca. Błagam o to jak o łaskę.

Któregoś dnia zauważyłem w kościele mężczyznę, który nieustannie wpatrywał się w milady i usiłował się zbliżyć do niej. Moje oczy są już zbyt stare i za wiele w życiu widziały, żeby je można było oszukać. Nie mogłem go wziąć za zbrodniarza. To było istotnie owo niebezpieczeństwo zagrażające milady, ale nie z tych, przed którymi ja bym mógł ustrzec milady, ani z tych, o których obowiązany byłem donieść memu panu.

Mijały dni. Mężczyzna ten stopniowo, powoli, lecz stale zbliżał się do milady. Powiedziałem sobie, że to wcale nie jest moja rola, tak stać za plecami mojej pani i liczyć uśmiechy, jakimi nieznajomy obdarzał hojnie milady... To już należało do obowiązków Waltera Andersona, chronić młodą żonę i odgradzać ją od pożądań innych mężczyzn. On winien czuwać nad swoim dobrem. Taki biedny bezbronny starzec jak ja nie mógł się przeciwstawić zakusom świętego uwodziciela. A jednak wahałem się długo, czy mam o tym wspomnieć memu panu. Nie wiedziałem, w jakiej formie mam mu dać do

zrozumienia, że ma obowiązki, których nie wolno przerzucać na inne barki.

— Cóż dalej? — zachęciłam staruszką.

— Cóż mogę dodać więcej? Przez ten czas, kiedy ja się wahałem, piękny nieznajomy nie przekazał innemu roboty, którą wykonał sam. Ośmielił się przemówić do milady. Spostrzegłem onieśmielenie i rumieniec zażenowania lady Anderson. Milady nie była przyzwyczajona do takiej śmiałości, a skromność robiła z milady istotę bezbronną. Wówczas...

— Co wówczas?

— Powróciwszy do domu, udałem się do mego pana... Oświadczyłem mu, że mam już dość tego przykrego zajęcia, nieodpowiedniego do mego podeszłego wieku... że od dzisiejszego dnia nie będę już towarzyszył milady. A poza tym, dodałem, że kiedy się ma młodziutką żonę, a nie jest się starym brodaczem, to się samemu strzeże swego skarbu.

Staruszek przerwał opowiadanie. Zamknął oczy składając ręce, jak gdyby przeżywał w myślach jakąś niecodzienną scenę.

Po chwili rozpoczął prawie szeptem:

— Kiedy zacząłem mówić, pan mój uśmiechał się przyjaźnie, ale kiedy dokończyłem swoje krótkie przemówienie, był nie do poznania. Złe oczy, twarz wykrzywiona grymasem... Przeląkłem się, takimi się wydał przejęty... „Jaśnie panie, zareczam panu, że nic się nie stało. To tylko ja nie chcę tego robić nadal... tylko ja... Lady Anderson jest zbyt młoda

i za piękna... Za moich młodych czasów mężowie nie wyrzekali się tak swoich żon".

Wzruszyłam ramionami, zagniewana uporem starego, który powracał wciąż do swoich niezręcznych powiedzeń.

— Wierzę, że tego rodzaju argumenty mogły przyprawić milorda o zły humor.

— Tak. Stary John spostrzegł wówczas, że mu brak talentów dyplomatycznych — potwierdził pokornie staruszek.

— A jednak słuszność była po mojej stronie — dodał z mocą.

— To był nie mój obowiązek, chodzić w ślad za milady.

— Ale powróćmy do opowiadania.

— Co mam jeszcze dodać, milady? Nie chciałem mówić nic więcej. Nie chciałem się zapuszczać w szczegóły. Z całym uporem twierdziłem, że moja młoda pani nie uczyniła nic karygodnego, że cała wina jest po stronie męża, który zaniedbuje swoje obowiązki... Wtedy...

Znowu zamknął oczy. Na jego pomarszczonej twarzy zarysował się wyraz cierpienia.

— Młody pan mój stracił panowanie nad sobą — podjął cichym głosem. — Nie mógł się widać powstrzymać... i... żeby wyciągnąć ze mnie całą prawdę... żeby mnie zmusić do mówienia...

— Co? Co się stało — zapytałam z niepokojem, widząc, że starzec kryje twarz w dłoniach nie kończąc zdania.

— On... on... uderzył mnie — wyjąkał z trudem, wstrząsany dreszczem upokorzenia.

— Uderzył! Cóż za brutal!

— Nie, milady, och nie. Pan nie jest zły — protestował wspaniałomyślnie stary, wierny sługa. — On nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. On kocha panią, a podejrzenie rodzi się łatwo w umyśle zakochanego małżonka...

Kiedy bezwiednie zrobiłam gest przeczący, pokiwał tylko głową.

— Tak, tak, milady. Młody pan był zazdrosny... dopiero wtedy zrozumiałem, jaką niezręczność popełniłem, nie mówiąc wszystkiego wyraźnie... przypuszczalnie wydało mu się, że jego honor był narażony na szwank... że stało się już coś, co jest nieodwołalne... już sam nawet nie wiem. Pod wpływem czarnych myśli przestał już być panem swych odruchów. Dziecko arbitralne i despotyczne, które niegdyś rozdawało kopniaki, jeśli ośmieliłem się nie spełnić jakiegoś kaprysu, odżyło w nim wówczas... Nie mógł się pogodzić z tym, że się zaciąłem w milczeniu.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie mogę w umyśle mego pana zostawić cienia podejrzeń, które zrodziły niezręczne słowa. Wolałem więc, w interesie mojej młodej pani, opowiedzieć wszystko tak, jak było...

— Otóż to — stwierdziłam złośliwie. — Najpierw budzi John najgorsze podejrzenia, a potem, żeby je zniszczyć, zdradza mnie John najprościej w świecie.

— Tego rodzaju historie nie wchodzą w zakres moich doświadczeń i kompetencji — odparł tylko

staruszek z ciężkim westchnieniem — nigdy się już nie podejmę takich obowiązków... Powiedziałem to memu panu. Kiedy postawiono mnie między dwoma zobowiązaniami, nie mogłem postępować czysto i poprawnie... chociaż, gdyby się to kiedyś miało powtórzyć, przypuszczalnie postąpiłbym tak samo...

Jego lojalne spojrzenie skrzyżowało się z moim. Złożył ręce jak do modlitwy.

— Milady. Moja droga milady, którą szanuję i kocham całą siłą mego starego, oddanego serca — powiedział gorąco.
— Błagam panią, niech milady nie chowa w sercu żalu do mego pana. Nie ma miłości bez zazdrości...

Instynktownie ręka moja zakryła usta staremu, chcąc go powstrzymać od wypowiedzenia niepotrzebnych słów, których się spodziewałam, ale nie chciałam usłyszeć.

— Nie, Johnie, proszę milczeć... Ten temat jest raz na zawsze zakazany.

— A jednak, milady, stary sługa musi ulżyć swemu sumieniu... Musi powiedzieć milady, uprzedzić ją.

— Uprzedzić? O czym?

— Odnośnie młodego pana...

— Cóż takiego?

— Och, milady, proszę mi wybaczyć, że ośmieliłem się zauważyć, że mój pan nie jest bez zarzutu...

— Johnie, zabraniam wam dokończyć zdania.

— Wszystkie lady Anderson były wyrozumiałe... wybaczały... i żadna nie sprzeniewierzyła się obowiązkom małżeńskim...

- Johnie!

Wyprostowana, z wyciągniętą ręką w kierunku drzwi, rozkazałam mu:

— Proszę natychmiast wyjść stąd.

Ale on wstał powolutku, strzepnął niewidzialny kurz z kolan i wygładził spodnie trochę zmięte niewygodną, a długotrwałą pozą u moich stóp, i jakby nie słyszał mego zagniewanego tonu, bo ciągnął dalej:

— Wszystkie lady Anderson pragnęły zostać matkami dumnymi z dzieci, którymi ich obdarzało niebo, wynagradzając je w ten sposób za doznane zawody i niepowodzenia w małżeństwie, bo potrafiły przebaczać lub w razie potrzeby przymykać oczy w odpowiedniej chwili.

Ręka, którą mu wskazałam drzwi, opadła nagle. Słuchałam go, jak gdyby obezwładniona głębokim przekonaniem bijącym z jego głosu i zaskoczona treścią słów, które stały się dla mnie rewelacją.

Staruszek wolniutko ciągnął dalej monolog:

— Moja młoda lady jest tej samej rasy, co jej poprzedniczki. Nie wątpię ani na chwilę, że jest równie dzielna i wielkoduszna jak one. Że potrafi nie widzieć... przebaczać... zapomnieć.

Wyprostowałam się dumnie.

— John się myli — powiedziałam, z pośpiechem wymawiając słowa. — Nie mam nic do wybaczenia

panu Andersonowi, który zachowuje się w stosunku do mnie najzupełniej poprawnie.

Stary sługa patrzył na mnie długo i uważnie, jak gdyby chciał należycie zrozumieć całą treść słów, potem uśmiechnął się pokornie.

— - Jestem stary osioł, milady. Młode oczy mojej pani patrzą jaśniej, niż moje.

— Doprawdy — zapytałam z lekkim szyderstwem w głosie. — A cóż one dojrzały, te moje młode oczy?

— O! — odpowiedział, potrząsając głową. — Mam wrażenie, że moja pani sama odkryła pod pozorami poprawnych słów i sztywności obejścia ukrywającą się dumnie miłość, która nie chce się zdradzić, a którą ujawniło dopiero cierpienie, zrodzone z zazdrości, która nie umie milczeć...

Serdeczny wybuch śmiechu przerwał mu jego tyradę.

— Jesteście nieporównani, mój Johnie. Mieszacie miłość, dumę, zazdrość i cierpienie. Robicie z tego sałatkę, efektowną na wygląd, ale ciężko strawną. Niech John się lepiej nie bawi w psychologa, bo się na tym nie zna.

— Milady zawsze ma rację — odpowiedział, bynajmniej nie wytrącony z równowagi. — Nie orientuję się dobrze w uczuciach innych ludzi, wyjątek jednak stanowi mój młody pan, którego wychowałem od maleństwa i dzięki czemu rozumiem go i wyczuwam. Otóż wczoraj... Ach, jaka

szkoda, że milady nie mogła słyszeć, nie będąc widzianą.

— Usłyszałamby zagniewany głos pysznego człowieka, którego dławi złość...

— O, nie — zaprzeczył. — To za czasów tamtej lady głos jego był głosem zranionej dumy. Tak, wówczas jedynie brutalna pycha przemawiała przezeń. Ale teraz...

Po raz wtóry moja dłoń zakryła usta staruszka, nie dopuszczając na zewnątrz słów, które już wisiały na jego wargach.

— Jesteście świetnym adwokatem, mój drogi Johnie, i lord Anderson ma w was oddanego sługę. Ale proszę, nie nalegajcie na to, co wam się przyśniło. Wasz pan, gdyby wiedział o tym, uważałby może, że przekraczacie wasze uprawnienia i jego pragnienia w tym zakresie. Jeśli zaś chodzi o mnie, mogę wam zaręczyć, że wasza obrona jest zbyteczna i że mam dla mego męża całą przyjaźń i wyrozumiałość, jakiej sobie tylko życzy.

Staruszek milcząc już popatrzył na mnie, pokiwał swoim zwyczajem głową, westchnął i wreszcie oddalił się zamyślony, wolno stawiając kroki, jak gdyby żałował, że nie zdołał mnie przekonać.

Zacne, prawe serce, któremu sprawiłam wielką przykrość w tej chwili... Opuścił mój pokój.

Jego interwencja zmieniła bieg moich myśli i powstrzymała łzy. W zamian jakaś wewnętrzna radość,

której nie śmiałam nawet sobie uświadomić, tak mi się wydała niezdrowa i zła, zalała mi duszę.

A więc Walter Anderson doprawdy był zagniewany i to z mego powodu. Naprawdę cierpiał w zranionej dumie męskiej, dowiadując się, że ja, która noszę jego nazwisko, mogłabym go ośmieszyć w oczach świata.

Po raz pierwszy odczułam radość z powodu, że się nazywam lady Anderson.

ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy nieco później znalazłam się przy stole naprzeciwko Waltera Andersona, moje ciekawe oczy badały go przelotnie. Wydawało mi się, że sama gwałtowność porannej sceny winna była pozostawić na jego twarzy jakieś ślady. Czy promieniał dumą, zmusiwszy mnie do ustępstw, czy też miał nadal ten zażenowany wyraz twarzy, który zauważyłam natychmiast po mojej wzmiance o Maud Assy?

Ani jedno, ani drugie. Siedział przy stole ze zwykłą obojętną miną, może trochę bardziej roztargniony i zagubiony w myślach. Zaledwie rzucił na mnie okiem, w chwili kiedy przekroczyłam próg jadalni. Przez cały zaś czas posiłku nawet nie otworzył ust.

Pomyślałam sobie: Oho, pan się boczy! Myśl ta stanowczo dobrze wpłynęła na mój apetyt. Zajadałam ze smakiem, nie troszcząc się więcej o niego, tak jakby go wcale nie było w pokoju.

Walter Anderson jadł w milczeniu. Kiedy zwracałam się bezpośrednio do niego, odpowiadał mi łagodnie, lecz lakonicznie. A kiedy usiłowałam wyprowadzić go z tego zamyślenia i zmusić do

rozmowy, patrzył na mnie pociemniałymi oczyma, powracającymi jakby z innego świata. Wówczas milkłam, zmieszana jego dziwnym zachowaniem.

To, co za pierwszym razem wydało mi się pozą, w której doszukiwałam się zabawnej strony, przeszło w zjawisko chroniczne, które mi zaczęło bardzo ciążyć. Zauważyłam po kilku dniach, że to nie jest z jego strony jakieś bocznie się czy uraza, jak to sobie początkowo tłumaczyłam, a coś zupełnie innego, czego nie umiałam określić.

Ten dziwny sposób bycia miał zresztą w stosunku do wszystkich. Nawet kiedy wychodził na miasto, zachowywał w twarzy wyraz zmęczenia i zniechęcenia.

Cóż za zawód czy troska duchowa mogła dokonać takiego spustoszenia?

A ponieważ zmiana ta nastąpiła w dniu owej pamiętnej sceny, przeto zaczęłam sobie przypominać wszystkie wypowiedziane przez nas słowa i akcenty, zastanawiając się, w którym miejscu naszego pojedynku słownego należało szukać źródła jego stanu? Możliwe, że po tak długiej przerwie wyolbrzymiałam niektóre własne powiedzenia. Uprzytomniłam sobie jednak, że tego dnia byłam dla niego wyjątkowo przykra.

Przykra? Zapewne. Ale właściwie mogłoby to dotknąć go, gdyby był prawdziwym mężem...

Gdyby nim był? O, wiem dobrze, że nie mówiłabym tak, jak mówiłam tego dnia. W obecnych warunkach byliśmy oboje tylko partnerami w kome-

dii małżeńskiej, w której każde z nas wysilało się, żeby myśleć, mówić i działać inaczej niż jego towarzysz. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, dążyłam zawsze do tego celu i znajdowałam przyjemność w tym dążeniu.

Powtarzałam sobie tę diagnozę naszych stosunków, udając sama przed sobą, że jest to przekonywające i zupełnie słuszne.

Wbrew mej woli, gdyż wmawiałam w siebie przekonanie, że i on nie może inaczej rozumować, przypominały mi się pewne jego zdania...

„Przed paru tygodniami wmawiałem w siebie, tak jak to pani robi dzisiaj, że widzę w pani jedynie legalną małżonkę”.

Na wspomnienie tych słów czułam dreszcz, będący mieszaniną wyrzutów sumienia i zawstydzienia.

Czyżby Walter był szczery, przyznając się do jakiejś zmiany, która zaszła w nim samym w stosunku do mnie?

Mój Boże! Czyżby istotnie Walter wziął tak dalece do serca moją pozorną wzgardę i udane lekceważenie?

Zaczęłam intensywnie obserwować go w drobnych szczegółach codziennego życia. Był jakiś zatroskany i to w obecności każdego z domowników, ale przy mnie jego sposób bycia miał jeszcze jakiś odcień smutku. Jego oczy wyraźnie unikały spotkania z moimi. Cały jego sposób zachowania wyrażał jedno tylko pragnienie, żeby mnie nie widzieć, żeby żyć obok mnie tak, jakbym nie istniała.

W tym jego ciężkim milczeniu tkwił, jak mi się zdawało, jakiś gorzki wyrzut. A kiedy usiłowałam wciągnąć go do rozmowy, pragnąc go rozruszać, odnosiłam wrażenie, że ma do mnie o to żal.

Wtedy to w moim sercu zakiełkowało współczucie dla męża. Z kolei współczucie to zrodziło we mnie pragnienie zadośćuczynienia, potrzebę wynagrodzenia wyrządzonej krzywdy, zdobycia się na dobroć i poświęcenie... po prostu zapragnęłam być kobietą, a nie półdiabłem, jak dotąd.

Miałam wielką pokusę wybadania starego Johna, czyjego pan podlegał dawniej często takim okresom *spleenu* jak obecnie.

Ale stary służący zachowaniem się swym wiernie naśladował pana. Będąc nadal uważnym, a nawet troskliwym sługą, spełniającym z szacunkiem wszystkie moje polecenia, miał lodowatą maskę na twarzy. Był to niemy wyrzut pod moim adresem, który czytałam wyraźnie w jego oczach, które obwinały mnie za przygnębienie, w którym tkwił jego pan.

Wtedy postanowiłam przerwać to błędne koło. Zaczynałam się już dusić w tej atmosferze. Postanowiłam wydostać się z niej za wszelką cenę.

Uciec... W dniu, w który doszłam do tego wniosku, nie zdołałam zapanować nad sobą, żeby nie pójść w ślad za mężem do jego gabinetu. Cichutko wsunęłam się za nim.

Nie zdradził najmniejszym gestem swego zdziwienia czy zadowolenia. Tylko jego oczy spoczęły na moich z wyrazem milczącego pytania.

— Panie Anderson... przyszłam... chciałam panu powiedzieć... —jąkałam z trudem — że... jeżeli pan chce, to mogłabym już wyjechać.

Czułam, jak niezgrabnie wychodzą te słowa z moich drżących ust. Przecież właściwie nie po to przyszłam, żeby mu tak z punktu proponować odjazd, a jednak jakoś instynktownie słowa te nasunęło mi moje wzruszenie.

Twarz jego nie drgnęła nawet, tylko stalowe oczy zasnuła lekka mgła.

— Miejsce lady Anderson jest tu, w moim domu, a nie gdzie indziej — odpowiedział stanowczym tonem.

— A więc jest to nadal pana wola? — wybuchnęłam dojrzała już do buntu.

Ale on poruszył tylko głową i zamiast dostroić się do mego tonu, powiedział łagodnie:

— Nie, nie ma mowy o narzuceniu pani przemocą mojej woli w tym wypadku. W moim przekonaniu pani winna pozostać zawsze tu, przy mnie, i tylko pragnąłbym, żeby pani to zrozumiała.

Niespodziewana miękkość tonu i forma zdań od razu zgasiły moje podrażnienie.

— Więc pan chce, żebym pozostała przy panu.

— Tak.

— Na zawsze?

— Tak.

— Dlatego że uważa mnie pan za prawdziwą lady Anderson?

— Jest nią pani.

— Nie... Pan wie dobrze, że nie jestem pańską żoną. Po co ta gra słów, kiedy jesteśmy sami?

— To nie jest gra słów z mojej strony. Dla mnie pani istotnie jest jedyną lady Anderson — dodał, kładąc nacisk na słowo „jedyną”. — To tylko od pani woli zależy, żeby pani się stała całkowicie moją żoną.

Purpurowy rumieniec oblał mi twarz.

— Przenigdy!

Słowo to wypsnęło się szybciej, niż chciałam. Ale on uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami.

— Pani powiada „nigdy”. Nie należy prowokować Anglika, bo gotów odpowiedzieć pani innym słowem — „wkrótce”.

— No wie pan!... Na to trzeba zgody dwóch osób. Pan zapomina, że mam również wolę.

— Nie mówmy o naszych wolach, Simono. Moja wola przełamałaby pani wolę, gdybyśmy zdecydowali walczyć na tym terenie.

— A dlaczegoż to pana wola miałyby się już tak koniecznie okazać silniejsza, panie Anderson?—zawołałam podrażniona jego pewnością siebie.

— Bo to jest kwestia rasy — wyjaśnił z zobojęt-niałą miną.

— Ach, rasa... Chociaż jest pan Anglikiem, gotowani przyjąć pana wyzwanie i dowieść panu, że nic mnie nie skłoni do zostania pańską żoną, jeśli sama się na to dobrowolnie nie zgodzę.

W niebieskich oczach dojrzałam stalowy błysk.

— Wyzywa mnie pani. Cóż to za dziecinada z pani strony. Ale ja, nie licząc się z tym, gdzie mogą zaprowadzić moje słowa, krzyknęłam prowokująco:

— Tak, wyzywam pana, wyzywam raz jeszcze.

— Zgoda. Przekonamy się — powiedział z trochę smutnym i pobłażliwym uśmiechem.

Zamyślił się i przez parę sekund trwało milczenie, po czym dodał:

— Zasadniczo nie pragnąłem toczyć z panią walki o taką stawkę, ale nic oprę się pokusie podniesienia rękawicy, którą mi pani rzuciła. A więc zobaczymy.

Dopiero wówczas zrozumiałam całą niestowność swego uniesienia.

Jakiż to złośliwy demon podszeptał mi tę niemądrą myśl prowokowania go dzisiaj i... w dodatku na taki temat?

Bo doprawdy przyszłam tu z najbardziej pokojowymi zamiarami. Pragnęłam tylko rozwiązać nieporozumienie, które przeciągało się już zbyt długo. I zamiast osiągnąć swój cel, już zaraz po pierwszych słowach mój nieznośny charakter musiał się zderzyć z jego. Czyż istotnie nigdy już nie potrafię rozmawiać z Walterem Andersonem spokojnie i pogodnie, tylko zawsze nasza rozmowa będzie musiała przerodzić się w kłótnię?

A jednak?

Jakaś ołowiana obręcz ścisnęła mi skronie. Poczułam ostry ból, przeszywający czoło, łzy załaskotały

powieki. Były to łzy żalu, zawodu, a może nawet gniewu na siebie. W pobliżu stał fotel. Rzuciłam się na miękkie siedzenie i utonęłam w nim, ukrywając twarz w dłoniach. Opadły mnie jakieś rozpaczliwe myśli, przed którymi nie umiałam się obronić.

Wsparty łokciem o stół mój mąż zdawał się nie dostrzegać tej całej sceny. Tak jak gdyby nagle przestał się interesować moją obecnością. Widocznie jednak usłyszał cichy szloch, który darmo usiłowałam stłumić. Odwrócił głowę w moją stronę i przez chwilę przyglądał mi się z ponurą miną.

Przypuszczałam, że nie zdobędzie się nawet na odruch współczucia, tak bardzo twarde było jego spojrzenie. Jakby z wysiłkiem wstał jednak i podszedł do mnie, pochylając się nad fotelem.

— Co się stało, Simono? Co pani dolega? Wziął moje dłonie w swoje ręce i usiłował odsłonić twarz.

— Pani płacze... Czemu?

Zawstydziłam się łez, których nie potrafiłam przed nim ukryć, toteż pochylałam głowę jeszcze niżej, chowając starannie zaczerwienione oczy.

— Co jest przyczyną tych łez? — zapytał po raz wtóry.

— Jestem głupia. Nic mi nie jest.

— Nie płacze się jednak bez powodu.

— Nudzę się.

— Pani się nudzi?

— Szalenie.

Zrobił ruch ręką, wyrażający bezradność w tej sprawie i powiedział:

— Musi się pani trochę rozerwać. Dlaczego pani nie wychodzi na spacer?

— Po co mam budzić nowe podejrzenia.

— Przecież nie śledzę pani. Ma pani zupełną swobodę.

- Oczywiście - odpowiedziałam naburmuszonym głosem, bo jego nieskazitelnie kurtuazyjny ton zaczynał mnie już znowu drażnić. Cóż to pana zresztą może obchodzić, co ja robię?

— A więc nie rozumiem, czemu się pani skarży.

— Skarżę się na pana. Pana sposób bycia jest nie do zniesienia.

— Doprawdy. Proszę mi to wytłumaczyć.

W słowach jego dźwięczała znów nutka ironii. Musiałam całą siłą panować nad sobą, żeby go nie naśladować. Odpowiedziałam jednakże łagodnie:

— Od piętnastu dni nie zamienił pan ze mną nawet dziesięciu słów... To lekceważące milczenie, którym mnie pan otacza, jest po stokroć gorsze niż wymówki... Nawet służba zaczyna już pana naśladować.

Ze zdziwienia aż się wyprostował.

— Służba nie ma prawa wtrącać się w nasze prywatne sprawy. Wypędzę każdego, kto się ośmieli uchybić w czymkolwiek pani. Proszę mi wskazać nazwiska, bezzwłocznie opuszczą mój dom.

— Nie wymienię nikogo. Ci biedni ludzie nie będą ponosić konsekwencji pana złych humorów. Oskarżam jedynie pana.

— Może zechciałaby pani pomyśleć, czy też nie ma w tym pani winy?

— O, pan ośmiela się tak mówić? W czasie ostatniej naszej sprzeczki ustąpiłam panu.

— To znaczy, że skarcona przeze mnie, zrezygnowała pani z pewnych porannych spacerów.

— Otóż to... zrezygnowałam. A pan wyobraża może sobie, że mnie to nic a nic nie kosztowało?

Cień uśmiechu musnął mu twarz.

— Wręcz przeciwnie, jestem przekonany, że sprawiło to pani nawet poważną przykrość, ale poświęciła się pani ze względu na tamtego.

— Poświęciłam się?

Tę nieprawdopodobną interpretację mego postępowania przyjął jak cios prosto w serce. Moje zdumione oczy zawisły z lękiem na jego twarzy, ale Walter Anderson udawał, że patrzy gdzie indziej.

— Mój Boże, pan przypuścił, że postąpiłam tak ze względu na tego pana... Przysięgam, że ustępując panu ani przez chwilę nie pomyślałam o nim... chciałam panu zaoszczędzić nowej niesprawiedliwości. A zwłaszcza nie chciałam dopuścić, żeby pan postąpił jak nieszczęśliwy, zdradzany mąż, który zmuszony jest sam bronić swego honoru.

Głos mój był aż ochrypliwy z przejęcia, kiedy wymawiałam te ostatnie słowa. Mój mąż nie spuszczał ze mnie spojrzenia.

— Pogodziła się więc pani wówczas z myślą, że pani jest moją żoną i że mam jakieś mężowskie prawa?

Spodziewał się widocznie twierdzącej odpowiedzi, ale wydało mi się, że w tonie jego głosu drga już nuta zwycięska i po raz nie wiem już który duma wzięła we mnie górę nad rozsądkiem.

— Nie sędzę, żebym kiedykolwiek uznała pana uprawnienia w stosunku do mnie — usiłowałam wyjaśnić mu — jednakże pan przywłaszczył sobie te prawa, nie chciałam więc dopuścić, żeby pan zagrał nieudolnie rolę męża, zwłaszcza że nie mogłam zapobiec temu.

Usiłowałam mówić jak najdelikatniej, tak mi się przynajmniej zdawało, żeby się nie poczuł dotknięty. Pomimo to moja odpowiedź go nie zadowoliła.

Puścił moje ręce i z nie ukrywaną złością zaczął chodzić po pokoju szybkim, nerwowym krokiem. Wkrótce jednak stanął naprzeciwko mnie i zaczął mówić, ale w jego głosie nie było nawet cienia wcześniejszej życzliwości.

— Więc jedynie po to, aby mi powiedzieć te wszystkie przykre słowa, przyszła dziś pani zakłócić mój spokój?

— Sądziłam, że jest między nami jakieś nieporozumienie chciałam je rozproszyć. Nie umiem żyć w otoczeniu ludzi, którzy się na mnie gniewają, zwłaszcza jeżeli nie wiem, czym zasłużyłam sobie na ten gniew.

— I oczywiście uważa pani, że jest niewinna jak baranek?

— Przecież po to przyszłam, żeby poznać zarzuty, które mi pan stawia, jeżeli zarzuty takie istnieją.

Zaśmiał się bardzo nieprzyjemnie.

— Proszę bardzo, mogę panią raz jeszcze uspokoić, że cała słuszność jest po pani stronie, że nie mam żadnego, ale to najmniejszego zarzutu pod pani adresem. Ale nie zmienię na jotę swego postanowienia i całego stosunku do pani, gdyż mój sposób bycia, na który się pani teraz uskarża, jest wynikiem pani starań i wysiłków.

— Z powodu tego pana?

— Nie, droga pani. Myśl o pani niewczesnym wielbicielu nie zaprzęta mego umysłu. Może mi pani wierzyć. Zazdrość nie może się obyć bez cienia bodaj miłości, a przecież chyba pani sama rozumie, że trudno by mi było żywić bodaj odrobinę uczucia do kobiety takiej, jaką pani jest... jaką pani usiłuje być w moim życiu.

Wstałam oszołomiona tym wybuchem wściekłości. Tak bardzo się nie spodziewałam tych bezlitośnie twardych słów. Nie przyszło mi nawet do głowy odpowiadać mu, w tej chwili miałam tylko jedno pragnienie... uciec.

Ale on stał przy mnie tak blisko, ręce krzyżował na piersi i ciągnął dalej:

— Doprawdy, to panią dziwi... Któż inny, jeśli nie pani, rzucił mi w twarz z okrutną zaciekłością najgorsze słowa, jakie kiedykolwiek mężczyzna usłyszał od kobiety: „Jest mi pan obojętny! Życie pana mnie nie interesuje! Pan jest dla mnie człowiekiem obcym. Jestem tylko pozornie pana żoną...” i wiele innych, równie złośliwych i raniących powie-

dzeń. Twierdziła pani, że słowa te odzwierciedlają pani uczucia. Wszak prawda?

— Zapewne — szepnęłam, przerażona gwałtownością jego tonu.

— A więc — ciągnął dalej z jeszcze większą pasją — po cóż mam się kłopotować w stosunku do obcej kobiety. Po cóż mam się wysilać dla kogoś, kogo wcale nie interesuję, komu jestem więcej niż obojętny. Jest pani tylko z tytułu moją żoną. Oto jest cały sekret mego postępowania w stosunku do pani. Czy teraz jest już pani zadowolona?

Nie znalazłam słów odpowiedzi na to ostatnie pytanie. Uniesienie, bijące z jego słów, obezwładniło mnie. Cisza zawisła w pokoju, tylko w mojej obolałej głowie tysiące dzwoneczków brzęczało uparcie.

Nie myliłam się więc. Moje własne słowa były przyczyną jego upartego milczenia.

Doprawdy ta cała historia nie pozbawiona była groteskowej strony. Próbowałam nawet uśmiechnąć się, ale mi się to nie udało. Wstałam. Wszystko dookoła mnie wirowało. Ta gwałtowna scena mnie złamała. Stanowczo zabrakło mi dziś zapалу do odpowiedzi i polemiki słownej.

Musiałam być bardzo błada, bo Walter zrobił krok, jakby chcąc mnie podtrzymać, ale we wzroku wyczytał tyle niechęci i żalu, że nie dokończył gestu. Wolno, sztywnym krokiem opuściłam gabinet, nie zamieniwszy z nim ani słowa. Nie ośmielił się również mnie zatrzymać.

Kiedy drzwi zamknęły się za mną, wydało mi się, że lżej oddycham. Ale wstrząs moralny, który przeżyłam przed chwilą, spowodował reakcję fizyczną i musiałam kurczowo uchwycić się portiery, żeby nie upaść na tafle posadzki przedpokoju.

Po paru sekundach powróciły mi siły i mogłam dowlec się do pokoju na pierwszym piętrze.

Bez namysłu, bez wyraźnego celu, jedynie po to, żeby nie myśleć i nie wybuchnąć płaczem, włożyłam kapelusz, narzuciłam na ramiona pierwszy z brzegu płaszcz i wyszłam z domu.

Na ulicy machinalnie zawróciłam na lewo, przeszłam jedną ulicę, potem drugą... wciąż bez żadnego celu... żeby tylko iść... iść wciąż przed siebie... uciekać...

Och tak uciec, uciec, uciec... ale dokąd? Sama nie umiałabym wtedy powiedzieć. Jakiś wewnętrzny nie przemyślany impuls kazał mi podążać przed siebie. Instykt pchał mnie jak najdalej od domu. Byłam jak dziecko, uciekające po dokonaniu psoty, przerażone jej następstwami... jak pies, który umyka przed zagniewanym głosem pana, bo się boi kary.

ROZDZIAŁ XIX

Była już ciemna noc, kiedy przemęczone marszem nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Świeżość wieczoru ostudziła moją gorączkę i nieznośne brzęczenie dzwoneczków w głowie wreszcie ustawało.

Dopiero kiedy moje nogi potknęły się o nierówności bruku, zaczęłam się rozglądać wokół siebie i zastanowiłam się nad tym, gdzie jestem.

Gazowe latarnie słabo rozświetlały mrok nocy. Nieliczni przechodnie sunęli bezszelestnie ku ciepłym mieszkaniom, gdzie ich zapewne oczekiwano o tej późnej porze.

Znalazłam się w jakiejś szerokiej alei wysadzonej drzewami, obramowanej sztachetami ogródków. Pałacyki i wille kryły się prawdopodobnie gdzieś w głębi, gdyż gdzieś tam jasny punkcik zapalonej nad rodzinnym stołem lampy rozświetlał mrok ogrodów.

Nie spostrzegłam widać, jak wyszłam poza granicę śródmieścia Londynu i zawędrowałam na dalekie peryferia miasta. Nie zdziwiło mnie to wcale, że się znalazłam tak daleko od domu. Zdawałam sobie

sprawę po stopniu mego zmęczenia, że musiałam długo iść.

Nie przyszło mi do głowy, że mogę pozostać na noc poza domem, jak również nie zastanawiałam się nad tym, że przedłużająca się nieobecność może zaniepokoić domowników i że należy już wracać.

Moja zdolność rozumowania była przytępiona. Machinalnie namacałam kieszeń płaszcza i z przykrością stwierdziłam, że jest pusta. Zazwyczaj moja ręka przywykła odnajdywać tam portmonetkę, mniej lub bardziej pełną. Byłam tak wyczerpana, że z poczuciem ulgi spostrzegłam o parę kroków od siebie uliczną ławkę.

Ostatnim wysiłkiem dowlokłam się do niej i opadłam ciężko na twarde deski. Od razu poczułam ulgę i z rozkoszą rozprostowałam znużone nogi. Długość pustej ławki nęciła mnie. Jakże chętnie wyciągnęłabym się na niej...

Mimo wszystko jeszcze pamiętałam, że nie należy do obyczajów pań z towarzystwa rozkładać się na ławkach bulwarów. Wsparłam tylko ramię na oparciu ławki i położyłam głowę na zgiętym łokciu. Siedziałam tak z na wpół przymkniętymi oczyma, rozkoszując się bezruchem.

Od czasu do czasu przesuwał się koło mnie jakiś cień, który mijał mnie śpiesznie. Jeden z tych cieni obszedł mnie dookoła. Wydłużył się przez chwilę nieruchomo tuż koło mnie, po czym przybliżył się. Poczułam rękę, wsuwającą się ostrożnie pod moje ramię.

Otworzyłam szeroko oczy, gotowa już krzyknąć z przerażenia na widok wysokiej męskiej sylwetki, pochylonej nade mną.

Ale stanowczy, cichy głos odezwał się tuż nad moim uchem:

— Chodź, Simono. Nie trzeba tu siedzieć.

W pochylonej nade mną postaci poznałam Waltera Andersona...

Jego pojawienie się nie zdziwiło mnie wówczas ani trochę. Równie dobrze mógł być tu, jak i gdzie indziej.

Obecność Waltera u mego boku wydała się zupełnie naturalnym zjawiskiem. Powtórzył raz jeszcze:

— Chodźmy, Simono.

Ręka ujęła mnie mocno pod ramię i zmusiła do powstania. Widząc, że się chwieję na nogach, drugą objął mnie w pasie, żeby silniej podtrzymać. W tej pozycji, prawie że niesiona zrobiłam kilka pierwszych kroków.

Po paru sekundach nogi moje utraciły sztywność i poczułam, że mogę dalej iść sama, toteż delikatnie uwolniłam się z jego objęć.

Zadowolił się jedynie kierowaniem moimi krokami i jego dłoń muskała tylko w przelocie ramię drżące na skutek zmęczenia, chłodu i wilgoci, i otulającej nas mgły.

Szliśmy tak, milcząc, pozornie nie kończąc się aleją.

Nie zapytałam go nawet, jakim zbiegiem okoliczności zdołał mnie odszukać na tej osamotnionej

ławce. On również nie otworzył nawet ust, żeby zapytać, jakim cudem znalazłam się na tym opustoszałym krańcu miasta.

Gdy tylko weszliśmy w bardziej ruchliwą ulicę, Walter Anderson znalazł małą kawiarenkę, zamówił jakiś rozgrzewający napój, po czym posłał chłopca po taksówkę.

W kilka chwil potem samochód stał już u wejścia do kawiarni.

Samochód pędził szybko po pustej o tej porze jezdni, a mój towarzysz ruchami pełnymi troskliwości otulał mnie płaszczem, nieco zbyt lekkim na chłodne wieczory londyńskie.

Po ciemku odszukał moje dłonie, a że były zgrabiałe z zimna, zatrzymał je w swoich ciepłych rękach, żeby je rozgrzać.

Tak dojechaliśmy do domu. Nie wymówiłam ani jednego słowa od chwili, kiedy Walter Anderson mnie odszukał. On również ograniczył się jedynie do rozkazów, wydanych chłopcu w kawiarni i szoferowi taksówki.

Ale zaledwie przekroczyłam próg domu, tak dobrze mi znane otoczenie oprzytomniło mnie.

Pod wpływem ciepłej domowej atmosfery i wspomnień, napływających falą do mózgu, nastąpiło gwałtowne odprężenie napiętych nerwów i powróciłam do normalnego stanu.

Scena w gabinecie, uniesienie męża, jego twarde, okrutne słowa, moja oszalała ucieczka i poczucie

opuszczenia i osamotnienia wśród mroków nocy — wszystko to powracało, porządkując się w chronologicznej kolejności w mej rozbudzonej na nowo pamięci.

Ujrzałam się taką, jaką byłam przed paru godzinami: kurczowo wczepiona w fałdy portiery oddzielającej przedpokój od gabinetu, złamana rozpaczą zupełnie dla mnie niezrozumiałą, o takiej sile napięcia, jakiej nawet nie podejrzewałam w sobie.

Po co ten człowiek przywiózł mnie z powrotem w te niegościnne progi? Do tego domu, w którym przeżyłam chwile najcięższych upokorzeń i zawodów? Czy nie wypędzono mnie stąd, kiedy przyszłam tu po raz pierwszy, pełna najlepszych chęci i pokojowych zamiarów?

Stojąc nieruchomo koło drzwi wejściowych, odwróciłam się w kierunku mego towarzysza, który z wyrazem zadowolenia zdejmował okrycie i wieszał je. Widocznie wyczuł niezyczliwość mego spojrzenia, bo dostrzegłam znów w błękitach jego oczu stalowy błysk. Nie pragnąc jednak prowokować nowego starcia, zachował cały spokój i głosem nawet żartobliwym zagadnął mnie:

— Na co pani czeka, Simono? Już się robi późno. Musimy się pośpieszyć i niezwłocznie zasiąść do stołu, jeżeli obiad ma być jeszcze jadalny.

To chyba niemożliwe, żebyśmy mogli żyć nadal jedno obok drugiego, kiedy tak ważkie i brzemiennie treścią słowa padły z naszych ust? Przecież powiedziałam mu wprost, że jest mi obcy i że nikim innym

nie stanie się nigdy w moim życiu. A on ze swej strony zaznaczył chyba dość wyraźnie, że nigdy nie będzie miał nawet cienia czułości dla tego typu kobiety, jak ja. A więc cóż mogło dalej nastąpić? Nie pozostało nam przecież nic innego, jak ostateczne rozstanie.

— Prędeż, Simono. Jestem dziś głodny jak wilk.

— Po co tracił pan czas na szukanie mnie po mieście? — odpowiedziałam. — Trzeba było o zwykłej porze zasiąść do stołu.

— Pani miejsce jest tu, w tym domu, jakże więc mogłem panią tam pozostawić?

— Nie rozumiem, czemu interesował się pan moim losem, kiedy jestem dla pana nikim... po prostu nikim...

— Mam wrażenie, że nie myślała pani o tym, kiedy odszukałem panią - zauważył z lekką nutką ironii. — Poszła pani ze mną nawet dość skwapliwie i wydało mi się, że bez zbytej przykrości.

- Och! Proszę nie chwalić się tak pochopnie zwycięstwem — zawołałam już zjeżona na widok jego zadowolonej miny. — Przywiózł mnie pan do tego domu nie na długo. Zależy mi na tym, żeby zaznaczyć od samego progu, że nie pozostanę tu dłużej, niż jest to na razie nieodzowne. Tym razem postanowienie moje jest nieodwołalne. Jutro wyjeżdżam.

— Jutro? — zapytał. Tajemniczy uśmiezek zaigrał na jego ustach. — Jutro!... zobaczymy, co będzie jutro — dokończył zdanie. — Na razie jestem

piekielnie głodny i jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, to siądźmy już może do stołu.

Jego niewzruszona pewność siebie irytowała mnie ponad wszystko. Toteż kiedy mój mąż z przesadną kurtuazją pomagał mi zdjąć palto, nie przestawałam powtarzać z uporem:

— Jutro odjeżdżam, może pan być tego pewny. Nie zatrzyma mnie pan dłużej, gwarantuję.

— Jutro jest niczyje — mruknął przez zaciśnięte zęby, nie wyzbywając się tajemniczego uśmiechu.

— No więc zobaczymy... zobaczymy...

Nerwowo, szybkimi ruchami poprawiałam przed lustrem moje nieco nadwyreżone przechadzką uczesanie.

Podszedł do mnie i objął mnie od tyłu, przytulając na chwilę do piersi.

— Nie staraj się być gorszą, Simono, niż jesteś poprosił pieszczotliwie. — Zobaczymy trochę

później, jaką przyszłość gotuje nam los. Ale ponieważ dziś jeszcze jesteśmy razem, przeto odpędźmy wszystkie chmury gradowe ciężące nad nami i nie psujmy sobie ostatnich chwil wspólnego życia.

Nie byłam w stanie osądzić, czy on kpi, czy też mówi zupełnie serio, tak dalece oszołomił mnie jego nieprawdopodobny tupet. Toteż nie zdobyłam się na żadną odpowiedź.

Usiłowałam oswobodzić się z jego ramion, ale zamiast puścić, wzmocnił tylko uścisk i pociągnął mnie w stronę jadalni, do której weszliśmy spleceni jak dwoje zakochanych.

ROZDZIAŁ XX

Jednakże obiad minął nam w niewyraźnym nastroju. Pomimo usiłowań, żeby udawać dobry humor, mój mąż był jakiś zamyślony. Starał się ożywić naszą rozmowę, ale chwilami słowa zamierały mu na ustach i nastawało ciężkie milczenie.

W pewnej chwili oczy męża spoczęły na mnie dłużej. Jego głębokie, poważne spojrzenie wyczułam nie patrząc nawet na niego. Obudziło też ono we mnie niezrozumiały niepokój. Wydawało mi się, że w twarzy Waltera Andersona dostrzegłam grymas cierpienia. Wyznaję ze skruchą, że z tego powodu odczuwałam nawet pewne zadowolenie. Przy końcu obiadu wydał służącemu polecenie, żeby kawę i likiery podano w jego prywatnym apartamencie.

— O, chyba nie dziś wieczorem — zaprotestowałam gorąco. — Czuję się bardzo zmęczona.

— Nie będę pani zatrzymywał długo — odpowiedział. — Ale właśnie dzisiaj... bardzo o to proszę... bo przecież jutro!...

Nie dokończył zdania, ale zrozumiałam, co chciał powiedzieć.

Oczy nasze się skrzyżowały. Spuściłam powieki pod ciężarem jego spojrzenia.

Mój Boże! — pomyślałam, czując się jakoś niewyraźnie. Kazał podać kawę do siebie... Przypuszczalnie znów będzie usiłował mnie przekonywać, żebym odwołała moje postanowienie, a może czeka mnie taka sama propozycja, jak pierwszego wieczoru?

Podejrzanie to mnie zmieszało, lecz zarazem przepoiło nie znaną dotąd radością.

Usiłowałam wyobrazić sobie, z jakim uśmiechem pogardy odtrącę wszystkie umizgi Waltera, jeżeli przypadkiem przyjdzie mu do głowy pomysł uwodzenia mnie. Wydało mi się, że dotychczas nigdy nie miałam tak pięknej okazji, żeby się zemścić. Czułam, że dziś pokieruję nim tak, jak mi się to będzie podobało.

Wystarczyło, żebym podniosła oczy na mego towarzysza i spotkała jego błękitne źrenice, rozpalone wewnętrznym ogniem, żebym traciła całą pewność siebie. Za każdym razem czułam dreszcz, spływający wzdłuż krzyża.

Zrozumiałam, że owa scena pierwszego dnia nie mogłaby się powtórzyć w tej samej postaci, że dziś zarówno słowa, jak i uczucia byłyby zupełnie inne. Istniało między nami coś nowego, nieuchwytnego, co nie mogło być tak bezwzględnie posłuszne naszej woli. Mąż nie mógłby już teraz zapytać mnie tak żartobliwie, jak wówczas, czy zgadzam się, żeby spędził ze mną noc. Nie! To już nie było możliwe.

A jeżeli nawet, dzięki jego wyjątkowemu opanowaniu, zdoła narzucić swemu głosowi tę samą intonację i użyje tych samych słów — to oczy jego nie potrafią kłamać, a pod wpływem jego spojrzeń ja nie będę mogła odegrać spokojnie roli istoty obojętnej, która ze śmiechem odtrąca niewczesne zapały śmiałka.

Snując myśli, jadłam zupełnie machinalnie. Dopiero kiedy stojąc za mną Walter dotknął mego ramienia, uświadomiłam sobie, że siedzę przed pustym talerzem i że obiad się skończył.

— Podaj mi ramię, Simono.

Zerwałam się, jakby ktoś mnie zbudził z głębokiego snu, zaskoczona nagłym przeskokiem do rzeczywistości.

Zauważywszy to mój towarzysz uśmiechnął się:

— Zbudziłem panią ze słodkich marzeń. Była pani myślami daleko stąd.

Nie mogłam się powstrzymać od zapytania:

— Jak panu się zdaje, o czym mogłam myśleć przed chwilą?

— O dniu jutrzejszym... O pani projekcie odjazdu.

— Właśnie, że się pan myli. Myślałam zupełnie o czym innym.

— Doprawdy? — spytał z niedowierzaniem. — A więc cóż było treścią pani głębokich rozmyślań?

— Przypomniałam sobie pierwszy wieczór, spędzony u pana. Przeszłam myślą cały okres mego

pobytu, aż po dzień dzisiejszy... no i uświadomiłam sobie, że to już ostatni wieczór.

— Ostatni wieczór — powtórzył z powagą. Doszliśmy do palarni, sąsiadującej z jego sypialnią.

— To jest ostatni... — nie dokończył zdania, po czym ująwszy mnie delikatnie za rękę zmusił do tego, żebym stanęła z nim twarzą w twarz.

— Simono, czy określenie „ostatni wieczór” jest zupełnie szczerze i rozmyślnie?

— Najzupełniej.

— Pani postanowienie opuszczenia mnie jest nieodwołalne?

— Tak.

— Proszę mi to powtórzyć patrząc w oczy. Pragnę to wyczytać w pani oczach.

— Jestem zdecydowana i jutro odjeżdżam — potwierdziłam raz jeszcze, patrząc, bez zmrużenia powiek, w jego oczy.

— Nawet moja prośba nie zdoła przełamać pani uporu? — zapytał głuchym, ochrypłym głosem.

— Nawet najgorętsze błagania — rzuciłam twardo i bezlitośnie.

Przybliżył swoją twarz do mojej tak blisko, że oddech jego pieścił moje włosy i szepnął cichutko:

— A gdybym ci powiedział Simono, że... że cię kocham?

To było coś tak nieoczekiwanego, że parsknęłam śmiechem.

— Och, to byłby chyba powód, który by mnie najbardziej skłonił do umocnienia decyzji — zawołałam.

— Istotnie był to okrzyk serca — stwierdził z goryczą.

— Panie Anderson... proszę niech pan spróbuje zrozumieć mnie... — usiłowałam mu wyjaśnić. Ale jego ręka wykonała ruch, jak gdyby z góry już odtrącał jałmużnę współczucia.

— Pani mnie nienawidzi.

— Nie sędzę.

— Robiłem wszystko, żeby mnie pani pokochała.

— Jak to, a ranił mnie pan każdym słowem.

— Chyba bezwiednie — zaprotestował gorąco.

— Możliwe! Kto wie, czy to nasze rasowe cechy charakteru nie powodowały owych ustawicznych starć.

— To absurd. Miłość nie uznaje granic.

— Prawdą jest to, że wszystko nas dzieli i że ten rozdział rósł z każdym dniem, spędzonym pod wspólnym dachem.

— Dlatego że pani nigdy nie chciała dopuścić myśli, że między nami może się zrodzić miłość.

— Pan również nigdy o tym nie myślał.

— Co pani może wiedzieć o tym?

— Zdobądźmy się raz na wzajemną szczerłość. Tak niedawno przecież cisnął mi pan w twarz słowa pełne nienawiści.

— Kto wie, czy wówczas nie byłem tak samo szczerzy, jak i w tej chwili — szepnął, schylając głowę, jak człowiek głęboko dotknięty.

— O tak! Szczerości pana jestem zupełnie pewna. Zwłaszcza tamtej szczerości - - potwierdziłam z całą siłą, na jaką mnie było stać. — Wiem dobrze, że użyje pan wszystkich sposobów, byle postawić na swoim i nie dopuścić do mego wyjazdu. Moje wyzwanie spowodowało tylko zmianę pana taktyki.

Wzruszył ramionami.

— Proszę mi wybaczyć, ale wyzwanie pani było dziecinne i bezsensowne. Pani pozostanie tu, jeżeli ja zechcę. Jeżeli taka będzie moja wola. Ale pragnę, żeby pani zgodziła się na to dobrowolnie, a nie pod groźbą przemocy.

— Wszelkie perswazje nie zdadzą się na nic.

— Pani odmawia, bo nie chce pani żadną miarą uwierzyć w to, że mówię szczerze. A gdybym dowiódł pani, że to nie jest poza ani blaga?

— Zbędny wysiłek, który poszedłby na marne.

— Czemu?

— Bo ja... ja pana nie kocham. Podkreśliłam to „ja”, żeby oświadczeniu memu nadać więcej mocy.

Z radością stwierdziłam przebłysk gniewu w jego twarzy. Zacisnął kurczowo dłoń na poręczu fotela, na którym siedział.

— Cóż ze mnie za głupiec, żeby tracić czas na bezcelowe prośby. Pani ma rację, madame. Nie kocham pani i chwyciłem się tego wybiegu szukając najłagodniejszego sposobu nagięcia pani do mojej woli.

— Byłoby znacznie prościej zrezygnować raz z tego despotyzmu.

— Nie. Pani chce wojny — będzie ją pani miała.

— Zgoda — przyjął z uśmiechem jego bojowe oświadczenie.

— Całą duszą pragnąłem dojść z panią do porozumienia drogą pokojową... Pani odtrąciła dłoń, podaną na znak przymierza. Zobaczymy, czy pani nie pożałuje tego z czasem.

— Pan mi grozi? Cieszę się, że wreszcie widzę pana bez maski, przynajmniej nie będę sobie wyrzucała, że uległam panu pod wpływem czułość-kowości i sentymentalizmu.

Nic nie odpowiedział na to. Ścisnął dłońmi czoło, jak gdyby usiłował powstrzymać natłok myśli, rozsadzających mu czaszkę. Usłyszałam jego szept:

— Szalony, szalony!... Co mnie jeszcze powstrzymuje?

Zerwał się nagle, jakby go ogarnął atak szału. Porwał pierwszy z brzegu wazon, stojący pod ręką i z całych sił cisnął nim o podłogę. Cenny kryształ rozprysnął się na tysiące drobnych okruchów. Jakby to uspokoiło jego nerwy, napięte widać do ostatecznych granic. Zwrócił się do mnie, a widząc, że się skuliłam ze strachu, będąc po raz pierwszy świadkiem jego nieopanowania, posuniętego aż tak daleko, powiedział:

— Proszę się nie bać, Simono. Już po wszystkim. Teraz będę spokojny... spokojny, jak pani... zimny, opanowany i lekceważący. Będę się wzorował na pani.

I jakby cała ta scena była snem, przysunął mi fotel do kominka i pomógł usiąść.

Podszedł do stolika, gdzie stały nakrycia do kawy. Nappełnił obie filiżanki, osłodził i dolał po parę kropel likieru.

Wszystko to robił bardzo spokojnie. Jednak w chwili, kiedy podawał mi filiżankę, spostrzegłam, że ręka mu drży, a twarz jest blada jak u trupa. Powód jego cierpienia był mi właściwie obojętny. Ale przykro odczuwałam świadomość, że jestem tego przyczyną.

Gdyby wówczas powiedział mi jedno dobre słówko, cały mój upór załamałby się natychmiast. Oczy moje szukały nawet jego oczów. Chciałam, żeby wyczytał w nich milczące pragnienie zgody i pojednania. Ale on unikał mego wzroku. Jak zafascynowany obserwował małą filiżaneczkę z różowej porcelany, którą mi podał przed chwilą.

Emocje ostatnich godzin obudziły moje pragnienie. Czułam, że mam gorączkę, że zaschło mi w gardle i bardzo chce mi się pić. Jednym rykiem opróżniłam więc małą filiżaneczkę z ciepłym napojem, który mi się wydał trochę za słodki.

Mąż, stojąc naprzeciwko, przyglądał mi się w milczeniu, a kiedy wypłam już, wziął pustą filiżankę i odniósł ją z powrotem na tacę.

Usłyszałam brzęk porcelany, stykającej się dość gwałtownie ze srebrem tacy i mimo woli spojrzałam w tamtą stronę. Jakby go siły opuściły, oparł się ciężko o stół. Robił wrażenie człowieka, któremu nagle zrobiło się słabo. Krople potu załśniły mu na czole. Otarł je zupełnie machinalnie. Dojrzałam

białą chustkę, którą przykładał kolejno do skroni. Dopiero teraz zauważyłam, że nie jest już blady, a po prostu szary, a oczy jego nienaturalnie rozszerzone wpatrują się we mnie z przerażeniem.

Nagle... cały świat zawirował mi w oczach!

Co się ze mną dzieje? O Boże! Jakiś bezwład rozlewa się po wszystkich członkach, które ciążyą, jakby były z ołowiu. Przeważające zmęczenie przytłacza jakąś przemożną siłą. Nie mogę tego opanować.

Otoczające mnie meble zaczęły dookoła mnie tańczyć. Nieopisany lęk ścisnął mi serce. W ostatnim odruchu wyciągnęłam przed siebie ociężałe ręce, usiłując wołać o ratunek. Lecz okrzyk nie dotarł już do sparaliżowanych warg.

Ale mój mąż był już przy mnie. Porwał mnie na ręce i jeszcze zanim straciłam świadomość, wyczułam, że przytulił mnie do piersi. Dłoń ostrożnie uniosła moją opadającą głowę i ułożyła ją na ramieniu, tak że dotykałam jego ciepłego policzka.

Wydało mi się, że szepnął mi do ucha:

— Nie bój się, Simono! Jestem przy tobie!

Straciłam przytomność i nie wiem, co się ze mną działo. Czułam, że lecę w przepaść, że zapadam w sen tak ciężki jak... śmierć.

ROZDZIAŁ XXI

Obudziłam się w biały dzień. Pierwszą rzeczą, którą ujrzałam, był złoty promień słońca, igrający swawolnie wśród barwnych arabesek jakiegoś pięknie malowanego plafonu. Oczy jeszcze oślepe ze snu usiłowały podążać w ślad za promieniem.

W tym półśnie otaczające przedmioty wydały mi się tak fantastyczne i nie znane, że nie mogłam sobie zdać sprawy, gdzie właściwie jestem. W pierwszej chwili wydało mi się, że oglądam to wszystko po raz pierwszy.

Niepokój zmusił mnie do oderwania głowy od poduszki.

Nie byłam u siebie, w swoim pokoju.

Leżałam w jakimś nie znanym mi łóżku... wielkim mahoniowym łożu, bogato ozdobionym brązowymi okuciami, pod miękką atlasową kołdrą o purpurowym odcieniu.

— To sypialnia mego męża...

Nie mogłam się mylić. Raz byłam w tym pokoju i zdążyłam zauważyć i zapamiętać jego surowe, lecz gustowne umeblowanie.

Leżałam w pokoju Waltera Andersona.

Niewymowne oburzenie pozbawiło mnie niemal tchu. Opadłam na poduszki bezsilna z przerażenia.

Jakim sposobem tu trafiłam? Dlaczego leżę w łóżku mego męża?

Tysiące pytań tłoczyło się w moim mózgu. Miałam wrażenie, że oszaleję, jeśli natychmiast nie uzyskam na nie odpowiedzi. Czułam się tak zgnębiona i sponiewierana psychicznie, że bezwiednie jęczałam półgłosem.

Nagle przypomniały mi się groźby Waltera. „Dobrowolnie czy przemocą będziesz moją, jeśli tylko zechcę.”

W przeddzień, wieczorem błagał mnie, żebym została jego żoną z... własnej woli.

W obliczu kategorycznej odmowy, wpadł w szal. Słyszę jeszcze jego dziki okrzyk buntu:

- Tym gorzej dla pani!... Pożałujesz, Simono!...

Nie rozumiałam znaczenia tych słów... Nie przyszło mi do głowy, że groźba ta ma jakiś ukryty sens... Ale przecież to przekraczało wyobrażnię normalnej istoty, a przede wszystkim uczciwej i moralnej dziewczyny...

A on, ten łajdak, wykorzystał moją naiwność i zdobył mnie siłą.

Co za marne, wstrętne, podłe indywiduum!... To, co się stało, już się nie odstanie. Należę do niego... Jestem już teraz faktycznie jego... żoną. Skręcałam

się wewnętrznie w poczuciu doznanej krzywdy i jej nieodwołalności. Wiłam się na tym łożu obcym i wrogim, wstrząsana dreszczem wstrętu i rozpaczy.

Ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że Anderson mógł postąpić inaczej, niż to sobie wyobraziłam. Wspomnienia jego słów i gestów odżyły i nabrały wyrazu. Wszystkie przemawiały przeciwko niemu.

Nie tylko słowa... całe jego zachowanie tego fatalnego dnia wieczorem. Przecież drżał, podając mi filiżankę z kawą... To ta kawa musiała zawierać porcję narkotyku, ona była przyczyną mego zemdlenia.

Zrozumiałam teraz, dlaczego siły go opuściły, kiedy zdobył się na ten smutny odruch odwagi, żeby własnoręcznie napoić mnie usypiającym środkiem. Cóż dziwnego... tak od razu nie można się stać doświadczonym zbodniarzem. Widziałam, jak był roztrzęsiony, nieprzytomny ze strachu, przerażony tym, co uczynił. Przecież nawet pot mu wystąpił na czoło. Pamiętam, jak go wycierał chusteczką.

Ach podły... podły... niski człowiek. Jakież słowa zdołają dostatecznie potępić jego postępek?

A kiedy skutki fatalnej trucizny zaczęły działać, kiedy przerażona i oszołomiona wyciągnęłam dłonie wzywając ratunku, on mógł z całym cynizmem podejść do mnie i uspokajać mnie słowami:

— Nic się nie bój, Simono. Jestem przy tobie.

Cóż za ohyda! zdobyć się jeszcze na taką hipokryzję...

Oszło mi moje potęgowało jeszcze poczucie wewnętrznego obrzydzenia i wstrętu.

Cóż za potwór mieści się w tym kulturalnym ciele.

Ja, jego ofiara, czułam się teraz tak odległa od niego, o tyle od niego wyższa i doskonalsza, że świadomość tego stanowiła pewną nawet ulgę.

Należałam do niego? O nie! Jego wola nie jest jeszcze wystarczającym czynnikiem, żeby mnie upodlić i ściągnąć do jego poziomu. Cóż znaczą więzy zadzierżgnięte w takich okolicznościach? Walter Anderson nadużył swoich praw w chwili, kiedy byłam bezbronna, ale to nie ja, lecz on winien się czuć splamiony. Siedząc w łóżku, już spokojniejsza, usiłowałam spojrzeć w twarz nowej sytuacji i zdać sobie sprawę ze wszystkich możliwych konsekwencji tej ohydnej sceny.

Jeżeli sądzi, że zatrzyma mnie przy sobie takimi metodami, to się myli. Wczoraj mogłam mieć jeszcze cień skrupułów w stosunku do niego, dzisiaj czułam się wyzwolona ze wszelkich zobowiązań.

Zaraz, w tej chwili, przekona się ten brutal czy jego bestialski czyn powstrzyma mój odlot. Rozmyślając tak mimo woli spojrzałam na poduszkę, sąsiadującą z tą, na której przed chwilą leżałam.

Na poduszce tej odznaczał się wyraźnie odcisk głowy. Kołdra i prześcieradło zachowały również odcisk ciała, które na nich spoczywało.

Ten namacalny dowód obecności Andersona u mego boku w czasie ubiegłej nocy, wzbudził nowy, jeszcze potężniejszy odruch buntu, jakby jakaś jadowita bestia pozostawiła tu budzące lęk i odrazę ślady swej obecności.

Jednym skokiem znalazłam się na środku pokoju i porwawszy z krzesła szal, uciekłam jak wariatka boso, z rozwianymi włosami. Pędziłam tak przez korytarze, aż do mego pokoju, gdzie zamknęłam się na klucz, jakbym była tropioną zwierzyną.

ROZDZIAŁ XXII

Trzykrotnie musiałam dowiadywać się o Waltera Andersona tego ranka. Gdy tylko się ubrałam, kazałam służącemu zapowiedzieć, że muszę się rozmówić z mężem. Postanowiłam, że będzie to nasza ostatnia i decydująca rozmowa.

— Jaśnie pan wyszedł — odpowiedział mi służący, kiedy zapytałam go po raz pierwszy.

Nie nalegałam na razie, ale kiedy koło jedenastej dowiedziałam się, że jeszcze go nie ma, zaczęłam indagować służącego:

— Kiedy pan wyszedł?

— Zaraz po pierwszym śniadaniu... koło godziny dziewiątej.

— A więc zaraz po wyjściu z sypialni?

— O nie, milady. Jaśnie pan musiał dziś bardzo wczesnie wstać. Jeszcze cały dom spał. Kiedy o świcie wszedłem do gabinetu, żeby posprzątać, siedział już przy biurku zatopiony w robocie. Pisał coś.

Widząc moje zdumienie na wieść o niezwyklej pracowitości męża, służący dodał:

— Jaśnie pan musiał mieć jakąś troskę... Niech milady raczy mi wybaczyć, ale zauważyłem na czole pana głęboką bruzdę, której dawniej nie było... Milord jadł i pisał równocześnie, co mu się nigdy nie zdarza, a zaraz po śniadaniu zatelefonował do pana Curnetta...

— Do swego pełnomocnika?

— Tak. Milord umówił z nim spotkanie. Słyszałam, jak powiedział przez telefon: „A więc za chwilę”. Jeżeli milady chce mieć jakieś bardziej wyczerpujące informacje, mogę zaraz połączyć milady telefonicznie z kancelarią pana Curnetta.

— To jest myśl... — szepnęłam bezwiednie.

Nie ruszyłam się jednak z miejsca. Aparat telefoniczny stał o parę kroków ode mnie. Wystarczyło, żebym wyciągnęła dłoń i mogłam ująć słuchawkę. Wahałam się jednak. Jakiś niezrozumiały lęk wstrzymywał ten odruch.

Cóż za sens miało to nagłe zaciekawienie? Czyż istotnie tak bardzo mi było pilno do rozmowy z mężem, do wyjaśnień, które musiały mieć burzliwy przebieg? Poza tym taka indagacja pełnomocnika mogła się wydać nieco dziwna i nietaktowna.

Jednakże kiedy zegar wydzwonił wpół do dwunastej, nagle się zdecydowałam.

— Mam prawo dowiedzieć się, czy przypadkiem nie ma Waltera w kancelarii? Jeżeli jest, to go zapytam osobiście, czy ma zamiar przyjść na drugie śniadanie do domu.

Zaledwie jednak wymieniłam swoje nazwisko, usłyszałam nosowy głos pana Curnetta witający mnie z entuzjazmem!

— Ach, to pani, lady Anderson. Jestem zachwycony, że słyszę pani głos.

- Doprawdy? Czemu mam przypisać pana radość, drogi panie radco?... halo... halo.

— Halo... Właśnie miałem zamiar telefonować do pani.

— Walter Anderson?

— Przed chwilą stąd wyszedł.

— Jak dawno?

— Przed paru minutami. Czy pani jest sama, milady?

— Tak. Dlaczego pyta pan, czy jestem sama?

— Milady... Chciałbym wiedzieć, czy jest pani sama w pokoju, z którego telefonuje?

— Tak... zupełnie sama.

— A więc... Halo...

— Słucham pana.

— Milady, proszę mi powtórzyć, że pani nie zapomniała o swej obietnicy.

— O obietnicy?

— Tak. Trzeba ją lojalnie dotrzymać do końca.

— Ale...

— Halo...

— Słyszę, mistrzu, ale...

— Błagam panią o to, milady.

— Proszę, niech pan posłucha. Pewne okoliczności nie pozwalają mi spełnić tej obietnicy do końca.

— Przepraszam panią, ale trzeba... Milady, proszę mi wierzyć, że proszę o to w imię pani dobra. Proszę pokochać lojalnie i uczciwie, tak jak pani to obiecała.

— Ale czemu mówi mi pan to właśnie dzisiaj?

— Ponieważ...

— Halo... Pan się widział z panem Andersonem?

— Tak.

— I to on pana skłonił?

— Nie, nie, wcale nie on.

— Och, to jest jasne.

— Ależ nie! Przepraszam panią, ale on doprawdy nie powiedział mi nic, ani słowa o państwa wzajemnych stosunkach, lecz...

— Pan mówił, że o niczym nie wspominał?

— Nie, nie mówił nic, ale ja czuję, że muszę koniecznie mieć od pani potwierdzenie tamtej obietnicy, więcej nawet — danego słowa. Zaklinani panią, milady, proszę nigdy, ani na jedną chwilę nie zapominać, że pani tę obietnicę mi dała. To jest niezbędne dla...

Raptem zaległa cisza. Nie wiem, czy notariusz oczekiwał jakiejś odpowiedzi, czy przerwano połączenie. Nie wiedziałam, jak mu mam wyjaśnić wszystko, co zaszło tej nocy, jak go przekonać, że czasem nie można dotrzymać danych przyrzeczeń.

— Halo... — rozległ się znowu jego głos w słuchawce. — Proszę się spokojnie zastanowić nad moimi słowami i zejść do mnie, to porozmawiamy.

— Doskonale. Odwiedzę pana, żegnam, panie radco.

— Najgłębsze uszanowanie, milady. Do prędkiego...

Zamyślona bezwiednie zawiesiłam słuchawkę.

Dlaczego instynkt podyktował mi ten telefon do Curnetta, dlaczego dzisiaj właśnie? I po co staruszek przypomina moją obietnicę i nalega tak usilnie, żebym o niej pamiętała?

Zatopiona w rozmyślaniach stałam koło aparatu telefonicznego, kiedy nagle drzwi się uchyliły bezszelestnie i ukazał się w nich mój mąż.

Zatrzymał się zdumiony, że zastał mnie w swoim własnym pokoju. Był tak strasznie blady i zmieniony, że nie mogłam opanować odruchu niepokoju. Jak dwaj przeciwnicy mierzyliśmy się wzrokiem.

— Czy pani już od dawna czeka na mnie? — zapytał zupełnie spokojnie.

Jego głos wyrwał mnie z oszołomienia, w które wpadłam po jego wejściu.

— Trzy razy schodziłam do gabinetu, żeby pomówić z panem — wyjaśniłam spokojnie.

— Dopiero przed chwilą wróciłem do domu.

— Ze zwykłą mu kurtuazją wskazał mi fotel.

— Słucham panią.

— Przyszłam zapytać pana, jak to się stało, że obudziłam się dzisiaj w pana sypialni.

— Prawdopodobnie tam się pani ułożyła do snu. Zdawało mi się, że już słyszę ten nieznośny ton ironii.

— O, proszę nie żartować, panie Anderson. Wykorzystał pan w niedopuszczalny sposób moje wczorajsze omdlenie.

— Widzę, że pani nie ma żadnych iluzji, jeśli chodzi o mój charakter — zauważył z goryczą.

— Nie pragnę niczego bardziej, jak zaprzeczenia z pana ust. Ale wczoraj groził mi pan, że wobec mej odmowy zastosuje pan przemoc...

— A okazja była dziś w nocy zbyt piękna, żebym jej nie wykorzystał, nieprawdaż...

— Nędzniku. Nawet pan nie zaprzecza.

— Czy uwierzyłaby mi pani, gdyby mnie wzięła ochota zaprzeczyć pani podejrzeniom?

— Istotnie, nie uwierzyłabym, już teraz wiem bowiem, że pan jest zdolny do najgorszych podłości.

Nagły skurcz zniekształcił jego rysy.

— Operuje pani mocnymi określeniami.

— A czy postępek pana nie zasługuje na nie? Skoro pomyślę, że tej nocy... mógł pan... och, to jest oburzające.

Łkanie dławiło mnie. Opadłam na krawędź biurka kryjąc twarz w dłoniach. Walter stał tuż obok mnie. Nie zrobił żadnego ruchu. Nie powiedział ani słowa. — Jak zdrajca dołał pan jakiejś trucizny do kawy!

— Błagam, proszę zamilknąć... niech pani milczy

— wyjąkał.

Po jego zmienionej twarzy przepełnęła fala niehumanicznego cierpienia.

— Czemu pan to zrobił — pytałam już z błaganiem w głosie. — Czemu?

— Doprowadziła mnie pani do ostateczności — zaczął chrapliwym głosem — pani lekceważenie przeciągnęło strunę. Skorzystałem z moich praw, ponieważ pani nie chciała ich uznać.

— O jakich prawach pan mówi?

— O prawach męża do własnej żony.

Jego drętwota mijiała. W głosie jego wyczułam powracającą falę rozzalenia. Byliśmy znowu parą przeciwników gotowych szarpać się nawzajem.

— Męża? - podchwyciłam skwapliwie. — Cóż za potworne kłamstwo? Przywłaszczają pan sobie tytuł, który nadała panu wbrew mojej woli jakaś awanturnica.

— Z jakiego tytułu więc pani mieszka ze mną?

— Jeżeli jest to jedyny argument, który może mi pan przeciwstawić, to nie będzie pan już nadal miał okazji, żeby go ponawiać, dziś jeszcze opuścę ten dom, żeby już nigdy tu nie wrócić.

— Nie po raz pierwszy grozi mi pani tym odjazdem.

— Ale zaręczam panu, że po raz ostatni. Oczy jego zmrużyły się jak u tygrysa i stały się twarde i lodowate w wyrazie.

— Pani odjedzie, jeżeli ja się na to zgodzę — powiedział spokojnie.

— Czy się to panu podoba, czy też nie, moje postanowienie wyjazdu jest nieodwołalne — odpowiedziałam z mocą.

— Pani zapomina, że ja mam żelazną wolę. Dałem temu dowód dzisiejszej nocy.

Przypomnienie dzisiejszej nocy wydarło mi z gardła jęk.

— Zamierza więc pan zatrzymać mnie siłą?

— Jeżeli wyczerpię wszystkie inne sposoby, to oczywiście.

Z wściekłością zacisnęłam pięści.

— W takim razie musi mnie pan trzymać pod kluczem. Uprzedzam, że skorzystam z każdej okazji, z każdej chwili rozluźnienia dozoru i ucieknę.

Ale Walter zupełnie spokojny i opanowany wzruszył tylko ramionami.

— Nie. W żadnym wypadku w stosunku do pani nie będę się posługiwał przemocą. Nie będę pani nawet śledził ani pilnował. Pani zostanie przy mnie z własnej i nie przymuszonej woli.

— Ależ pan bredzi, panie Anderson.

— Dorzucę nawet — dodał tym samym tonem, pełnym przekonania — że pani zostanie dla mnie, dla mnie samego.

Zaczęłam się śmiać nerwowo i jakoś nieszczerze.

— Przesadza pan, drogi panie. Może ośmieli się pan jeszcze twierdzić, że zatrzyma mnie tu miłość do pana.

Popatrzył na mnie ze smutkiem i uśmiechnął się kącikami ust.

— Moje złudzenia nie sięgają tak daleko. Wiem dobrze, że nie wolno mi liczyć ani na współczucie ze strony pani, ani na najlżejszy objaw serdeczności.

— Pozwalam sobie potwierdzić pana opinie

o moich uczuciach, ale wobec tego —jakich ma pan zamiar użyć argumentów, żeby mnie zatrzymać?

Popatrzył na mnie przeciągle i tajemniczo. Po chwili zaczął czegoś szukać w szufladzie biurka.

— Pytała pani, jak się do tego zabiorę? — powiedział głucho. — O, bardzo prosto... Przy pierwszej próbie ucieczki... sięgnę po ten oto mały przed-miocik.

Z przerażeniem ujrzałam w jego ręku mały lśniący rewolwer.

— Aaaa... — westchnęłam mimo woli — więc to takie są pana argumenty. Po truciznie i gwałcie nadejdzie kolej na morderstwo. Muszę przyznać, że jest pan konsekwentny.

— Byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł dopiąć swego innymi metodami. Niestety, pani upór nie pozostawia mi swobody wyboru.

— I przypuszcza pan, że tego rodzaju groźby zdołają zmienić moje postanowienie. Może mnie pan zabić, jeżeli się panu podoba, ale powiedziałam już raz i teraz powtarzam, że wyjeżdżam dzisiaj

i niezwłocznie udaję się do swego pokoju, żeby spakować rzeczy. Niech pan się nie obawia, że opuszczę ten dom ukradkiem. W chwili wyjazdu przyjdę osobiście pożegnać pana. W ten sposób ułatwię panu zadanie. Będzie mnie pan mógł zamordować, jeśli uważa pan, że powinnam zapłacić własnym życiem. — Z podniesioną głową patrząc mu wyzywająco w oczy, cofałam się ku drzwiom.

— Własnym życiem? Czyżby pani sobie wyobrażała, że zamierzam skierować broń na panią?

Ton jego głosu przygwoździł mnie na miejscu. Nie wierząc własnym uszom, zapytałam:

— A więc dla kogo przeznacza pan tę kulę rewolwerową?

Ujrzałam, jak Walter wolno podnosi rewolwer do własnej skroni. Ręka jego nawet nie drgnęła, dostrzegłam tylko błysk światła na lśniącej lufie.

— Dla siebie samego — odparł po prostu. Rzuciłam się z krzykiem ku niemu. Zrobił ten gest

tak naturalnie, że wydało mi się, iż dostrzegam ruch palców, naciskających kurek.

— Nie chcę... nie, nie, nie chcę.

Musiał mnie podtrzymać, słaniałam się z wrażenia, czułam, że nogi uginają się pode mną.

— Bardzo mi przykro, że tak nastraszyłem panią — powiedział łagodnie. — Nie chciałem wywołać takiego wrażenia, chodziło mi jedynie o pokazanie pani, jaki skutek wywoła pani odjazd, jeżeli istotnie doprowadzi pani do skutku swój projekt opuszczenia mnie.

— Ależ to jest szaleństwo. Proszę się mścić na mnie, ale nie na sobie... przecież to nie ma sensu...

— Zgadzam się z panią, że to jest szaleństwo, nie usiłuję nawet przeczyć — potwierdził, podtrzymując mnie nadal.

— Proszę, niech pan mnie uspokoi, że to wszystko tylko żart, że nie ma w tym cienia prawdy, że pan

nie myśli przykuć mnie do siebie tego rodzaju groźbą?
Raz jeszcze popatrzył na mnie długo i uważnie.

— Dałem sobie słowo, że zdobędę panią i że nie rozstaniemy się nigdy.

Twarz jego była tak blisko mojej, że jego palący oddech parzył mi powieki.

— Posłuchaj mnie, Simono, i zrozum, że nie jest to bynajmniej czczą groźbą. Zapamiętaj sobie moje słowa. Nie zgodzę się na to, żeby nazwisko moje łączono ze skandalem, a pani odjazd byłby skandalem. Nie chcę rozwodu ani separacji. Nie chcę wiedzieć, że jest pani gdzieś na świecie lepiej niż u mnie. Na to nie zgodzę się nigdy... nigdy w życiu. Od długich tygodni żyję w nieustannym lęku, że pani odjedzie. Ilekroć pani wychodzi, boję się, że pani może nie wrócić... Wczoraj poszedłem za panią, śledząc każdy krok. Idąc z tyłu, zadawałem sobie pytanie, do jakiego celu pani dążyła i dokąd mnie ta wędrówka doprowadzi. Cierpiałem na myśl, że dąży pani na jakieś umówione *rendez-vous*. Czułem, że gotów jestem popełnić morderstwo, gdyby moje przypuszczenie się sprawdziło. Nie mogę już dłużej znieść takiego życia. Nie jestem już sobą. Chcę znów pracować, nie dręczony myślami, że panią utracę. Chcę żyć jak inni ludzie, w spokoju i równowadze przy towarzyszcze życia, którą sobie wybrałem.

— Pan mnie wcale nie wybrał — wtrąciłam.

— Wcale nie pragnę zmieniać wyroków prze-

znaczenia. Pani jest moją żoną i chcę , żeby pani została ze mną.

— Na siłę nie przykuwa się ludzi do siebie.

— Właśnie dlatego postanowiłem nie zatrzymywać już pani... Poczynając od dziś jest pani wolna. Jeżeli nie chce pani zostać ze mną, proszę odejść nie odwracając głowy i nie oglądając się za siebie. Z chwilą kiedy dowiem się, że pani się usamodzielniała, uwolnię panią zupełnie od ciężaru mojej osoby. Nie będzie żadnego skandalu ani rozwodu i żeru dla gawiedzi. Stanie się rzecz prosta, popełnię samobójstwo... Chce pani wolności, będzie ją pani miała. Czyn mój wynagrodzi pani wszystkie moje przewinienia, te, które mam już na sumieniu, i te, które mógłbym jeszcze popełnić, gdybym żył. Uwolni on panią od tego prawowitego małżonka, którym pani gardzi. Uczyni z pani młodą, uroczą wdowę, otoczoną szacunkiem i życzliwością współczujących bliźnich, a miłość, którą pani jeszcze spotka na drodze swego życia, pocieszy panią szybko i zagłuszy wyrzuty sumienia.

— Pan zwariował, to jest niepoczytalne, co pan mówi —jęczałam, nie mogąc znaleźć żadnych słów, dostrojonych do tragizmu.

— Nie, to wcale nie jest takie niepoczytalne — zaprotestował — to tylko pani cena za wolność, wolność, którą gotowa pani była przed chwilą opłacić swoim życiem. Chcę panią uwolnić od siebie na zawsze... Proszę, niech pani jedzie... chociażby zaraz, jeżeli pani tak spieszo... A jeżeli pani woli to

jutro... pojutrze, za tydzień... po wiedziałem już pani, że nie będę zatrzymywał... Jest pani zupełnie wolna, może pani pokierować swym losem, jak pani chce... Może pani jechać, gdzie chce.

— To jest okropne, co pan mówi — protestowałam przerażona. — Jakże pan może twierdzić, że jestem panią swych ruchów, jeżeli jeden mój krok może pociągnąć za sobą takie następstwa? Błagam pana, Walterze, proszę mnie przekonać, że nie mówi pan tego poważnie, że pan chciał mnie tylko nastraszyć, i że jest to próba zatrzymania mnie w tym domu, ale że pan jest zbyt rozsądny, żeby istotnie zdecydował się na taki szalony krok.

— Nie będę pani przekonywał co do szczerości moich postanowień. Nie widzę powodu, żeby pani nie uspokajała siebie, tłumacząc sobie moje słowa pozą. Pragnę jedynie uprzedzić panią na wypadek, gdyby pani się niepokoiła o stronę materialną swej przyszłości, że byłem dziś u pana Curnetta...

- U pana Curnetta? — zapytałam z rosnącym niepokojem, uprzytamniając sobie słowa notariusza i gorącą intonację jego prośby.

— Tak. Uregulowałem wszystkie sprawy spadkowe... Po śmierci dziedziczy pani po mnie wszystko, co posiadam. Moja śmierć nie pozbawi pani dobrobytu, do którego zdążyła się już pani przyzwyczać. Zależało mi specjalnie na tym, żeby pani nie potrzebowała żałować niczego...

Poczułam w gardle skurcz, który po chwili przerodził się w łkanie. Czemu ten człowiek znęca się tak

nade mną? Czyżby istotnie wierzył w to, że kiedykolwiek zgodzę się w tych warunkach korzystać z jego hojności? Przecież marzę jedynie o tym, żeby żyć skromnie w zaciszu małego francuskiego miasteczka, nie zauważona przez nikogo, uboga, lecz wolna. Czemu chce mnie przykuć do siebie więzami sięgającymi aż poza grób, którym mi grozi?

Wszystko to powiedziałam mu w urywanych, krótkich zdaniach, przeplatanych łkaniem i fontanną łez, których nie potrafiłam zatrzymać.

— Dlaczego odtrąca pani majątek, który zapewni pani bogactwo i niezależność? — pytał boleśnie dotknięty moją odmową. — Pani nie chce nic przyjąć ode mnie, kiedy gotów jestem dać życie własne za to, żeby pani zapewnić wolność, będącą dla pani tak nieodzownym warunkiem szczęścia.

Nagle uprzytomniłam sobie śmieszność tej całej rozmowy. Zdałam sobie sprawę, że jestem po prostu ofiarą szantażu.

— Panie Anderson — zaczęłam wciąż jeszcze bardzo podniecona — teraz pan musi mnie wysłuchać. Od paru chwil usiłuje pan odwieść mnie od postanowienia, posługując się w tym celu paskudną groźbą. Gdybym pana usłuchała w tej chwili, całe moje życie stałoby się nieustanną męką oczekiwania, kiedy wykona pan ten zapowiedziany tragiczny gest. Ale ja panu nie wierzę. Nie chcę wierzyć i nie wierzę.

— Wolna wola, droga pani. Nie ośmielam się narzucać pani czegokolwiek. Powiedziałem już to, co miałem powiedzieć, i nigdy więcej nie wrócę do tego tematu.

— Ale każe mi pan domniemywać, że spełni tę groźbę.

— Nigdy nie cofam swych postanowień. Ale co to panią w gruncie rzeczy może obchodzić?

— Tak, ma pan rację. Nie należy się liczyć z wybrykami wariatów. A gdyby jakiś pierwszy lepszy nienormalny człowiek zagroził mi czymś podobnym, czy wskutek tego zmieniałabym cały tok mego życia, jedynie dlatego, że ktoś ma zachwiane władze umysłowe? Nie. Każdy z nas odpowiada za swoje czyny. Zrobi pan, co pan zechce — a jestem zbyt pewna pana rozsądku, żebym mogła przypuścić bodaj na mgnienie oka, że pan istotnie popełni takie szaleństwo — ja zaś pójdę swoją drogą, taką, jaką sobie zakreśliłam i żaden szantaż mnie nie zatrzyma.

— Mogę pani tylko raz jeszcze powtórzyć, Simono, że jest pani zupełnie wolna.

— Czy to pana ostatnie słowo, lordzie Anderson?

— Nie mógłbym pani nic innego powiedzieć.

Stałam przez parę sekund tuż koło drzwi nieruchomo. Uczucie niepewności walczyło z rozsądkiem. Walter podszedł do mnie i łagodnie położył mi obie dłonie na ramionach. Przez cienką tkaninę bluzki wyczułam gorąco jego rozpalonych dłoni.

— Idź, Simono, idź za głosem przeznaczenia i nie oglądaj się na nic. Przeżyliśmy już wspólnie dość

bolesnych chwil, nie trzeba ich przedłużać w nieskończoność. Idź już, droga dziewczynko...

— Błagam pana, Walterze, ... — szepnęłam.

— Idź już, idź... Zdecydowanym ruchem odsunął moją moją wyciągniętą dłoń. Wybiegłam z pokoju czując, że mózg mi płonie.

ROZDZIAŁ XXIII

Kazałam uprzedzić Waltera Andersona, że nie zejść na śniadanie. Nie miałam odwagi stawić czoła nowemu sam na sam z mężem. Z chwilą kiedy postanowiłam wyjechać, najlepiej było unikać zbędnych kontaktów i scen. On nie chciał cierpieć, że ja zaś już nie miałam sił na przeżywanie koszmarnych godzin, którymi przypieczętowałam ostatnie chwilę mego tu pobytu. A już nade wszystko nie chciałam, żeby mnie znów zaczął szantażować swoim samobójstwem.

Wierzę, że może nawet był zdolny się zabić w pierwszym odruchu. Ale byłam pewna, że po namyśle i chwili zastanowienia zrezygnuje z tego i że zdrowy rozsądek nie pozwoli mu wykonać owego szaleńczego zamiaru. Od słów do czynów jest jeszcze daleko, zresztą nawet gdyby to zrobił, czy powinnam to brać tak dalece do serca? Czy wiązało mnie coś z tym człowiekiem? Po jego karygodnym zachowaniu z ubiegłej nocy, czy wolno mi było litować się nad nim? Czy dawałam mu jakieś obietnice, czy łudziłam nadzieją, albo brałam na siebie jakieś zobowiązania?

Nie, żadnych. Nic nie usprawiedliwiało jego pretensji i gróźb.

Zgromadzenie w walizce najniezbędniejszych drobiazgów, które postanowiłam zabrać ze sobą, nie zajęło mi zbyt wiele czasu. Nie chciałam zatrzymać nic z otaczającego zbytku.

Przeгляд kasetki i portmonetki ujawnił kwotę mojej obecnej fortuny. Z prawdziwą przyjemnością stwierdziłam, że w chwili odjazdu nie jestem bogatsza, niż w chwili przybycia do tego domu.

Czy pan będzie myślał o mnie później, panie Anderson, wspominając mój chwilowy pobytu u pana¹? Nie wiem, przyszłość pokaże. Jedno jest pewne — że żadna sprawa materialna nie zaważyła nigdy na moim stosunku do pana. Próbowałam współżyć z panem pod jednym dachem bez wyrachowania i ukrytych czy jawnych kalkulacji.

Z całego pana bogactwa nic nie przyłgnęło do mnie. Odchodzę tak biedna, jak przyszłam.

Ostatnim spojrzeniem objęłam cały pokój.

Czy nic nie zapomniałam?

Nie, ponieważ nie ma tu nic mojego, nic, co by nie pochodziło od tego człowieka, od którego uciekam. Poczucie jakiejś elementarnej uczciwości zabrania mi przyjmować coś od człowieka, któremu zadaję cios.

Na myśl o tym serce zabiło mi mocniej. Czemu Walter postawił między nami zaporę tej groźby? On tej groźby nie wykona...

A jeżeli?... Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż krzyża. Oszalałam chyba. Kto grozi słowami, nie jest skory do czynu.

Wróćmy do drobiazgów, które mam jeszcze zabrać. O czym to jeszcze myślałam. Ach, prawda... Ten portrecik mojej matki, co wisi koło łóżka, czy muszę się z nim rozstać? Żal ścisnął mi gardło.

Tak, nawet to powinnam pozostawić. Ta miniatura, nosząca podpis słynnego malarza, przedstawia dużą wartość. Nawet tego nie wolno mi przyjąć od niego.

Po co się tak roztkliwiam? Czy istotnie to tak bardzo trudno odejść nie oglądając się wstecz?

Schwyciłam walizkę i zaczęłam odważnie schodzić ze schodów.

W całym domu panuje martwa cisza. Służba zgromadzona jest widocznie w kredensie i spożywa południowy posiłek. Puszysty dywan tłumi moje kroki. Mogę wyjść niepostrzeżenie. Nikt mnie nie usłyszy.

Ale odejść w ten sposób to tak, jakbym się czuła winna... jakbym była złodziejką.

Zatrzymałam się na środku przedpokoju z walizką w ręku i dobrą chwilę stałam niezdecydowana. Czułam się winna, jakbym popełniła jakieś przestępstwo.

Wzrok mój pobiegł bezwiednie do drzwi gabinetu, gdzie Walter przebywa zawsze o tej porze.

Gotów pomyśleć, że opuściła mnie odwaga i dlatego uciekłam po kryjomu.

Byłoby mi znacznie lżej, gdybym mogła uniknąć owego pożegnania. Ale to byłoby niegodne mojej odwagi. Moje poczucie godności buntuje się przeciwko takiej ucieczce.

Mam pełne prawo odejść i zrobię to jawnie. Myśl ta podyktowała mi ruchy. Ręka, która spoczywała bezwładnie na klamce, nacisnęła ją i uchyliła drzwi.

Walter Anderson siedział przy biurku i pisał.

Spojrzał i źrenice nasze się spotkały.

Pobladł tylko i oczy rozszerzyły się, a dookoła nich zarysowały się ciemne cienie. Zmieniony wyraz twarzy wyrażał bolesne przerażenie. Poza tym nawet nie drgnął, nie usiłował wstać ani podejść do mnie, tylko jego pobladła twarz szarzała mi w oczach. Ja, która uważałam się dotąd za ofiarę prześladowaną przez tego człowieka, nagle poczułam się jego katem.

Trudno mi określić jpk długo trwało nasze milczenie. Wówczas wydawało mi się, że całą wieczność. Opanowałam się wreszcie. Trzeba z tym skończyć.

— Wychodzę — szepnęłam.

Widząc mękę tej twarzy, milcząco instynktownie, dodałam:

— Wychodzę, lecz wkrótce wrócę...

Te słowa wyrwały mi się same z ust. Powiedziałam je szybko, bezładnie,

Dosłyszał je widać, bo przez udręczoną twarz przeszedł jakiś cień ulgi.

— Tak, tak, wrócę dzisiaj wieczorem — potwierdziłam już mocniejszym głosem.

O dziwo! poczułam, jak słowa te przywracają mnie do życia, w moich żyłach krew popłynęła swobodniej.

Podbiegłam do niego, pragnąc mocniej podkreślić chęć sprawienia mu radości.

— Powrócę, proszę mi wierzyć... chciałam odejść nie żegnając się z panem i widzi pan... nie mogłam! A teraz, kiedy już pana zobaczyłam, nie mogę w ogóle odejść.

Opadłam na fotel przy biurku i ukryłam twarz w zgięciu łokcia. Usiłowałam za wszelką cenę ukryć ogarniające mnie wzruszenie.

Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, żeby ująć moją dłoń.

— Powróci pani dziś wieczór, a... co będzie jutro? — zapytał zgaszonym głosem.

— Jutro, nie odejdę — odpowiedziałam tym samym tonem. — Czy mogę się zdobyć na to, by odejść, widząc, że...że pan...że pan chce to zrobić?

— A bez tego odeszłaby pani bez żalu?—nalegał, ściskając coraz mocniej moją dłoń.

— Mam wrażenie, że tak — szepnęłam, ale oczy moje spotkały się w tej chwili z jego oczyma i poczułam zamęt w głowie, i już naprawdę nie wiedziałam, jakbym postąpiła.

Czy istotnie mogłabym odejść od niego? Nawet wtedy, gdy kierowałabym się wyłącznie nakazem rozsądku?

Schyliłam głowę zawstydzona i upokorzona przeświadczeniem, że głos rozsądku nie zawsze decyduje o wszystkim i nawet wola nie jest decydującym czynnikiem. Czy mi to dogadza, czy też nie, czułam, że należę już do niego, dzięki miesiącom przeżyтым wspólnie pod jednym dachem i dzięki więzi fizycznej, która wbrew mojej zgodzie zadzierzgnęła się ubiegłej nocy.

I po raz pierwszy w życiu musiałam uznać w głębi duszy, że istnieje między nami wewnętrzny związek, którego istnieniu zaprzeczałam dotychczas gorąco i z przekonaniem.

ROZDZIAŁ XXIV

Mijały dni, podobne do siebie jak dwie krople wody, ale jednak mniej ponure, jak gdybyśmy zawarli z sobą ciche przymierze.

Instynktowna nieufność, która nas dotąd dzieliła, przeobraziła się w miłą koleżeńskość. Oczy jego nie posyłały mi już takich ostrych spojrzeń, brzemiennych nie wypowiedzianym pytaniem i ja ze swej strony nie śledziłam już tak czujnie jego gestów, doszukując się w nich, jak dawniej, ukrytej intencji upokorzenia mnie.

Nadszedł okres zawieszenia broni, zharmonizowania słów, poglądów, gestów, odruchów nawet, które zlały się w formę współżycia może nieco monotonną, lecz pogodną.

Teraz, kiedy już dobrowolnie pozostając przy nim, wyraziłam zgodę na zachowywanie przez nas oboje pozorów normalnego małżeństwa, zabrakło nam powodów do scysji i sporów. Walter bez dyskusji zgadzał się na wszystko, co mówiłam, czy robiłam. Muszę przyznać, że wobec tak wyraźnych wysiłków z jego strony, żeby utrzymać zgodny

nastrój, przestałam odczuwać potrzebę przeciwstawiania się mu.

Nie od razu zdałam sobie sprawę, do czego zmierza jego sposób bycia. Dopiero z biegiem czasu, kiedy ręka jego stopniowo przedłużała uścisk mojej dłoni albo kiedy ramię coraz częściej zaczęło mnie obejmować niby mimochodem, zdałam sobie sprawę, że wszystko to nie jest przypadkowe.

Przyznaję, że to odkrycie nie zrobiło mi przykrości. Zaszła we mnie jakaś niezrozumiała i zapewne nie mniej radykalna zmiana. Dumna Simona Montagnac zaczęła powoli przyznawać rację pewnemu panu, twierdzącemu ongiś, że serce nie liczy się z granicami i odmiennością języków. Spostrzegła, że miłość ma również swoje przyjemne strony, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi młody, przystojny i inteligentny mężczyzna, który bądź co bądź jest jej mężem.

Czekał nas jednakże jeszcze jeden wstrząs. Widocznie los, zanim nas skojarzył, chciał raz jeszcze wypróbować wzajemne uczucia i dowieść nam, że są one z trwałego kruszcu.

Ostatnimi czasy dość często wychodziliśmy razem, bądź w godzinach popołudniowych na spacer, po sprawunki czy z wizytami, bądź też wieczorami, na koncerty albo do teatru.

Pewnego dnia podczas rozmowy z Walterem w jego gabinecie przypadkowo spostrzegłam na biurku kupon do loży jednego z czołowych teatrów londyńskich.

Przyzwyczałam się już do tego, że ostatnio towarzyszyłam memu mężowi w jego wieczornych wycieczkach na miasto, toteż pierwszą moją myślą było, że mąż kupił dla mnie lożę i zabierze mnie na jakieś dobre przedstawienie.

Machinalnie odczytałam datę uwidocznioną na bilecie i numer loży, nie przywiązując zresztą do tego faktu żadnego znaczenia.

Ale w tej chwili Walter, spostrzegłszy widać, że zainteresował mnie ów bilet, nieznacznie sięgnął po niego i schował do szuflady biurka, która zamknął na klucz.

To drobne zdarzenie powinno było właściwie przejść niepostrzeżenie, zwłaszcza że mąż chowając ten bilet jakby odruchowo, nie przerwał nawet prowadzonej ze mną rozmowy.

A jednak jego zachowanie wzbudziło nieoczekiwane moją podejrzliwość. Do dziś dnia nie mogę pojąć, co się stało zalążkiem niepokoju i niczym nie uzasadnionych na razie podejrzeń.

Schował bilet, żebym go nie zobaczyła, pomyślałam bezwiednie.

I może właśnie dlatego numer loży i data wyryły mi się głęboko w pamięci.

Loża nr 8... osiemnasty czerwca...

Bilet, kupiony piętnaście dni przed datą przedstawienia! Cóż to za uroczyść, która wymaga tak wczesnego zaopatrzenia się w bilety?

Oczywiście przy pierwszej okazji zaszłam do kasy tego teatru, żeby wybadać kasjerkę.

— W tym dniu — wyjaśniła mi kobieta, siedząca po drugiej stronie okienka — odbędzie się wielkie galowe przedstawienie w języku francuskim z udziałem wybitnych artystek paryskich, które przyjeżdżają specjalnie w tym celu aż z kontynentu. Nawet dwór królewski zaszczyli tę uroczystość — dodała z dumą. — To będzie na pewno wspaniały wieczór. Ceny biletów są podwójne, nic odstraszy to jednak wykwitnego towarzystwa.

Powinam była poprzestać na tych wyjaśnieniach, ale jakaś przekora, która naprowadziła już moją uwagę na drobny, kolorowy świstek papieru na biurku Waltera, podszeptała mi nowy podstęp.

Twierdzę stanowczo, że w chwili udzielania mi wyjaśnień przez kasjerkę, jedna myśl tylko zajmowała mój umysł: Walter Anderson chce mi zrobić miłą niespodziankę tym przedstawieniem.

Mimo tych myśli, nie wiadomo dlaczego zwróciłam się do kasjerki:

— Czy mogę wykupić łóżę nr 8?

Pytanie to nie miało najmniejszego sensu, ponieważ wiedziałam, że bilet posiada mąż, a jednak z lękiem oczekiwałam, co mi odpowie kasjerka.

Ta wcale Cię nie zdziwiła, wydawało się rzeczą zupełnie naturalną, że ktoś może mieć upodobanie do takiej, a nie innej łóży. Szukała więc spokojnie żądanego kuponu wśród książeczek z biletami.

— Łoża ósma? — zapytała.

— Tak.

— Niestety, jest już zajęta. Zamówiła ją pani Maud Assy. Spadło to na mnie jak grom. Czułam, że blednę i że wszystko wiruje dookoła mnie.

A jednak, mimo wszystko zdziwiło mnie to znacznie mniej, niżby powinno. Zdarzają się takie dziwne przeczucia, które kierują naszymi posunięciami. Zrozumiałam, dlaczego przypadek kazał mi zwrócić uwagę na drobny kawałeczek papieru i podyktował takie właśnie pytanie.

Zaspokoiliam już swoją ciekawość, a jednak tkwiłam nieruchomo przed okienkiem kasy. Dalsze wypadki potoczyły się doprawdy jakby bez udziału mej woli. Posłuszna głosowi instynktu zapytałam bezwiednie:

— Ósma łoża już sprzedana? To proszę mi dać którąś z sąsiednich. Obojętnie która, byleby była niedaleko od tamtej.

— Może nr 12? Jest to zresztą jedyna łoża, którą jeszcze rozporządzam, i to wyłącznie dlatego, że lord Derby ją zwalnia.

— W takim razie biorę łożę nr 12 — zawołałam uszczęśliwiona.

Kiedy znalazłam się na ulicy z miniaturową kartką w ręku, zapewniającą prawo użytkowania czterech foteli w ciągu dwóch i pół godziny, przez parę sekund stałam przed drzwiami teatru sama nie wiedząc, po co to zrobiłam? Do czego zmierzam i co pocznę z biletem na przedstawienie, na które przypuszczalnie wcale nie pójdę?

Przecież nie mogę sama wypełnić sobą czterech foteli. I ten niewiarygodny wydatek. Co teraz zrobić z tym biletem, jak się go pozbyć?

Przeznaczenie jednak musiało się dopełnić. Mój wybryk na tym się nie skończył. Kierowana niespodziewanym odruchem wkroczyłam do największego i najelegantszego domu mody w Londynie — Ellena — gdzie wybrałam najcudowniejszą toaletę wieczorową, jaką można sobie wymarzyć, a także kilka innych szalonych zakupów, spowodowanych jedynie kokieterią i próżnością.

— Musisz być równie piękna jak Maud Assy tego wieczoru, a nawet jeszcze piękniejsza.

ROZDZIAŁ XXV

Wreszcie nadszedł ów dzień, w którym miało się odbyć przedstawienie. W południe w czasie drugiego śniadania mąż uprzedził mnie, że, niestety, wieczorem nie będzie mi mógł dotrzymać towarzystwa przy obiedzie. Nieobecność usprawiedliwił koniecznością spożycia obiadu w restauracji ze swym wydawcą i omówienia z nim jakichś trudnych warunków nowego kontraktu.

Oczywiście prosił, żebym nie czekała do późnej godziny, ponieważ nawet w przybliżeniu nie może ustalić godziny powrotu.

Nawet nie drgnęłam, słuchając tych wszystkich kłamstw.

Gdybym miała do tej chwili bodaj cień wątpliwości w związku z kuponem do loży teatralnej, który widziałam u niego na biurku, ten cień rozwiałyby się bez śladu, pod wrażeniem jego nieudolnych tłumaczeń i wykrętów.

Jedno było faktem, nie podlegającym dyskusji. Mój mąż wychodził z domu w określonym dniu i w godzinach odpowiadających porze przedstawi-

nia teatralnego. Wiązało się to dziwnie z datą przedstawienia i z kuponem do łoży, która na ten wieczór stanowiła własność kobiety, będącej przez długie lata jego oficjalną kochanką.

Najprostsza logika zmuszała mnie do wyciągnięcia stąd wniosku, że udaje się on do teatru w towarzystwie tej kobiety.

Ponieważ zaś mógł mówić ze mną zupełnie spokojnie, nie zdradzając nawet intonacją głosu, że kłamie, przekonałam się, że ukrywanie prawdy czy zaniekształcanie jej nie sprawia mu żadnej trudności i że musi być do tego przyzwyczajony.

Jednakże czoło jego przecinała głęboka fałda, nadająca mu wyraz zatroskany i pozornie perspektywa owego „obiadu z wydawcą” nie budziła w nim entuzjazmu.

Dla mnie jednak ten wyraz twarzy był tylko częścią odgrywanej komedii i przekonana byłam, że w duchu Walter czuł się uszczęśliwiony perspektywą nocnej eskapady pozamałżeńskiej.

Popołudnie minęło szybko. Pod wieczór nadszedł fryzjer, który zaondulował mi włosy i ułożył je w piękny waleczek, podkreślający kształt mojej głowy. Nieco później nadeszła garderobiana, żeby mnie ubrać w ową wspaniałą toaletę.

Nie pożałowałam kosztów, czując neodpartą potrzebę zabłyśnięcia na widowni teatru, w którym odbywało się bądź co bądź nieprzeciętne, galowe przedstawienie. Za wszelką cenę postanowiłam wytrzymać porównanie z Maud Assy, toteż wiedząc

z góry, jak wiele słynna artystka wydaje na toalety i jaki ma gust, dołożyłam wszelkich wysiłków, żeby obmyśleć najdrobniejsze szczegóły.

Obcisła tunika z mięstego jedwabiu koloru kości słoniowej, całą pokryta haftem w tym samym tonie, przylegała tak ściśle do mego ciała, że raczej rozbierała, niż ubierała. Dekolt nie przekraczał granic elementarnej przyzwoitości, a długie *sortie* tiulowe przetykane srebrną nitką, zarzucone niedbale na ramiona i opadające aż do stóp, ledwo tuszowało śmiałą linię kroju samej sukni.

Suknia ta wydłużała mnie i wyszczuplała. Zręczna krojczyni potrafiła podkreślić walory mojej budowy.

Miałam zaledwie kilka drobnych klejnotów rodzinnych, nie posiadających wielkiej wartości i to mnie trochę kępowało, bo wiedziałam, jaką wagę Angielki przywiązują do biżuterii. Wybrałam więc tylko jeden *pendentif* przybrany starymi kamieniami, który blaskiem swym ożywił matowość mego dekoltu.

Niewielka brylantowa gwiazda wpięta we włosy uzupełniła biżuterię. Te skromne klejnociki, na tle takiej toalety, jak gdyby nabrały wartości, chociażby dlatego, że ze względu na ich dyskrecję, nikt nie mógł podejrzewać, że mogą być fałszywe.

Garderobiana przyglądała mi się długo i uważnie i wreszcie uśmiech triumfu rozjaśnił jej twarz.

— Właściciel firmy będzie zadowolony. Jego suknia ubiera milady doskonale. Jaśnie pani jest bardzo piękna!

Przejrzałam się w lustrze i zarumieniłam się z radości na widok uroczego zjawiska, które ukazało się moim olśnionym oczom.

Nie wierzyłam własnym oczom, że ta młoda istota w bieli, to ja, Simona Montagnac?

W tej chwili zapukano do drzwi i służący zawiadomił, że zajeżdża wynajęta kareta.

ROZDZIAŁ XXVI

W nocnej mgle podjazd teatralny odcinał się jaskrawą plamą. Tysiące lamp elektrycznych oświetlało fronton teatru i plafon olbrzymiego przedsionka, z którego rozchodziły się kuluary, wiodące do łóż.

Kiedy zaprzęg zatrzymał się przed głównym wejściem, kilku lokai w bogato szamerowanych liberiach podbiegło do karety, otwierając drzwiczki i pomagając mi wysiąść. Musiałam przedefilować sama wzdłuż długiego chodnika, który wiódł aż do marmurowych schodów. Po obu stronach tego chodnika tłoczył się tłum gapiów, obserwujących zajeżdżającą publiczność.

— Ładna smarkata — krzyknął jakiś andrus. — Dałbym cały swój miesięczny zarobek, żeby ją zdobyć choć na jedną noc.

Tłum odpowiedział śmiechem na tę uwagę, a jakiś głos dorzucił:

— Nic krępuj się, miejsce jest wolne. Ślicznotka śpieszy sama.

Ileż bolesnej ironii w tej uwadze, rzuconej mi w twarz tak bezczelnie! Ten anonimowy okrzyk rozdrapał wciąż krwawiącą ranę w sercu.

Zabrakło mi jednak czasu na rozmyślenia i rejestrowanie przykrych wrażeń. Szwajcar podszedł do mnie i wskazał drogę do łoży nr 12.

Olśniewająca powódź światła i tysiące poruszających się głów... Jasne stroje pań sąsiadujące z czernią męskich ubrań, barwna mozaika rozedrgana i falująca — oto pierwsze wrażenie sali teatralnej, która wydała mi się jakąś fantastyczną, nierealną wizją. Początkowo nie mogłam rozróżnić szczegółów, tak dalece oślepiła mnie jasność i migotliwe refleksy strojnego tłumu widzów.

Odźwierny, który doprowadził mnie do łoży, skłonił się nisko.

— Czy milady nie byłaby łaskawa przypomnieć mi swoje nazwisko?

Odwróciłam się ku niemu trochę zaskoczona tym pytaniem, ale opanowałam się natychmiast i zapytałam wyniośle:

— Czy mój bilet nie odpowiada łoży, do której mnie wprowadzono?

— Ależ owszem, milady, sądziłem tylko... Ruchem ręki wyjaśnił, o co mu chodzi, wskazując na pozostałe nie zajęte fotele łoży.

— W porządku. Proszę odejść. — Ręką wskazałam mu drzwi.

Znikł cicho i dyskretnie jak duch, a ja mimo woli się uśmiechnęłam.

Jego zdumienie było zrozumiałe. W tej sali, wypełnionej po brzegi, w której wszystkie miejsca bez wyjątku były wyprzedane, tak że nawet w najdal-

szych zakamarkach widziało się dostawione krzesła, trzy puste fotele musiały zwrócić uwagę. Człowiek ten przypuszczał zapewne, że moi domniemani towarzysze zjawią się lada chwila i chcąc ich właściwie skierować, zapytał o nazwisko.

Zapewne teraz zastanawia się nad moją rozrzutnością. W dniu, w którym moc ludzi, nawet gotowych zapłacić bająnskie sumy, aby tylko być na tym przedstawieniu, odeszło od kasy teatru z powodu braku biletów, ja, samotna kobieta, zagarnęłam na własny użytek cztery fotele, z których trzy miały pozostać puste.

Przypuszczam, że właśnie owe puste fotele zwróciły uwagę sali na moją lożę. Ze wszystkich stron bombardowały mnie spojrzenia.

Ta ciekawość ludzka, która normalnie byłaby bardzo przykra, nie robiła dziś na mnie żadnego wrażenia. Mogli tracić czas przypatrując mi się, nie zwracałam na to uwagi.

Mój wzrok pochłaniała całkowicie loża, oddalona od mojej o niecałe trzy metry, w której królowała Maud Assy.

Piękna aktorka miała wspaniałą toaletę z czarnego tiulu, usianego pająkami, podkreślającą olśniewającą białość karnacji tej blondynki.

W fotelu obok niej siedziała drobna, zażywna kobietka, bardzo ruda i przesadnie umalowana, a z tyłu dwaj panowie, których plecy jedynie dostrzegałam z mojej loży. W jednym z nich poznałam mego męża, drugim zaś był powieściopisarz Jerzy

Blunn, najbliższy przyjaciel Waltera Andersona. Znałam go tylko z widzenia, lecz byłam pewna, że i on ranie zna, i pozna.

Trudno mi opisać wrażenie, jakie wywarł widok tych dwóch par.

Mąż mój siedział zaraz za krzesłem artystki. Jego smukła ręka spoczywała bezceremonialnie na poręczy jej fotela. Od czasu do czasu pochylał się z uśmiechem ku niej albo ona odwracała się w jego stronę i mówiła coś z ożywieniem.

Niejednokrotnie już ich widywałam razem, ale spotkania te zdarzały się tylko na początku mego pobytu w Londynie, kiedy czułam do Waltera jedynie żywą antypatię i nie chciałam w nim uznać swego męża.

Dużo czasu minęło od spotkań, kiedy widok ten był mi najzupełniej obojętny.

Dziś, muszę to niestety wyznać ze skruchą, ten sam widok wzbudzał we mnie nieco odmienną reakcję. Jeszcze w wigilię tego dnia człowiek ten nadskakiwał mi, usiłował być najbliżej, próbował mnie obejmować i szukał w moich oczach zrozumienia jego uczuć i chociaż nie padło między nami żadne decydujące słowo, zdawało się, że dusze nasze łączy już miłość.

I tego samego człowieka widziałam w tej chwili u boku Maud Assy, otwarcie afiszującego się ze swą piękną przyjaciółką.

Ostry ból ścisnął mi serce, chociaż wargi nie przestawały się uśmiechać, a oczy usiłowały oderwać

się od tej przeklętej pary i błąkać się po różnych punktach odświętnej sali.

W tym momencie przyznaję, że trochę żałowałam swego odruchu szaleństwa, które przyprowadziło mnie na to przedstawienie.

Prędko jednak otrząsnęłam się z tej przelotnej słabości. Byłam tu, ponieważ taka była moja wola i ponieważ postanowiłam stanąć twarzą w twarz z mężem i przypomnieć mu w sposób dla niego dotkliwy, że obowiązkiem jego jest liczyć się ze mną.

Wyzywający uśmiezek starł szybko z mojej twarzy grymas cierpienia, który z trudem dotychczas opanowywałam.

Rozległy się pierwsze tony uwertury i zawisła cisza pełna kultu dla wielkiej sztuki. Wsparłam się o parapet łoży i z na wpół przymkniętymi oczyma zasłuchałam się w brzmienie skrzypiec, rozpoczynających uwerturę.

Leciuchny zgrzyt otwieranych drzwi łoży przerwał moje zasłuchanie. Obejrzałam się bezwiednie i w uchylonych drzwiach początkowo ujrzałam tylko olbrzymią więź białych róż, wsuwających się do łoży. Woźna, która ją wniosła, milcząc położyła ją na fotelu tuż koło mnie i wycofała się bezszelestnie.

Zdumiona wpatrywałam się w piękne kwiaty.

Któż to na tej sali interesował się mną tak dalece, żeby mi składać tak wspaniałe dar? Spostrzegłam

jakiś bilecik przypięty do jednej z łodyg i na nim parę skreślonych słów. Pochyliłam się nad bukietem i odczytałam:

Najpiękniejszej z obecnych w hołdzie.

Duc of Cumberland

Nazwisko to było mi zupełnie nie znane, toteż byłam przekonana, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Po prostu woźna musiała się pomylić i weszła do innej łoży, ofiarowując kwiaty nie tej osobie, dla której były one przeznaczone. Nie zdążyłam jednak przywołać jej, bo już kurtyna poszła do góry.

Trupa francuska, która dawała to przedstawienie, odegrała cudownie pierwszy akt sztuki, toteż nagrodzono ją w pierwszym antrakcie hucznymi oklaskami.

Na sali powstał gwar, ludzie wstawali i rozchodzili się, spiesząc do foyer i palarni.

Zawahałam się przez chwilę. Może bym również poszła pospacerować trochę po foyer? Ale na to nie starczyło mi już śmiałości, przelekłam się tych niezliczonych par oczu, pod których pręgierzem odbywałabym samotną przechadzkę.

Rozsądek zwyciężył i grzecznie zostałam w łoży w towarzystwie tajemniczego bukietu róż, z którego machinalnie uszczknęłam pączek i jak speszone dziecko gryzłam go z lekka, wdychając z zachwytem aromat.

W łoży Maud Assy stłoczyli się teraz odwiedzający ją panowie. Mały kwadrat wybity aksamitem,

pełen był ponad granicę jego pojemności, a w uchylonych na korytarz drzwiach tłoczyły się dalsze sylwetki we frakach, usiłując za wszelką cenę dotrzeć do pięknej blondynki.

Natomiast mój mąż i Jerzy Blunn byli nieobecni. Obie kobiety same przyjmowały hołdy mężczyźn.

Jeden z panów bawiących w tej loży musiał zwrócić uwagę artystki na mnie. Przypuszczalnie zapytał, czy mnie zna i czy może go poinformować, kim jestem.

Ujrzałam, jak Maud Assy odwraca głowę w moją stronę i patrzy na mnie.

Na mój widok źle zamaskowała odruch zdumienia. Jakby nie wierząc własnym oczom, wzięła do rąk lornetkę i pozornie z zupełną obojętnością zrobiła pobieżny przegląd całej sali, żeby w końcu zatrzymać wzrok na mojej osobie.

Cały ten manewr nie uszedł mojej uwagi.

Ona mnie zna i nie może wyjść z podziwu, widząc mnie tutaj, pomyślałam. Ale aktorka wzruszyła z lekka ramionami. Ręka, zaopatrzona w lornetkę, opadła i zrobiła ruch wyrażający zupełną nieświadomość. Ruch ten był tak plastyczny, że wydało mi się, iż słyszę jej głos:

— Niestety, nie znam jej.

W tej chwili stało się coś, co odwróciło moją uwagę od Maud Assy. Jakiś nieznajomy wtargnął do mojej loży.

Wysoki, szczupły, przystojny, w wieku trzydziestu lat, wyglądał rasowo i nieprzeciętnie interesująco.

Oczy jego obrzuciły mnie spojrzeniem pełnym podziwu, wywołując gorący rumieniec zawstydzienia.

Składając głęboki ukłon, przeproszał mnie za swoją śmiałość:

— Milady, pozwoli złożyć jednemu ze swych najgorętszych wielbicieli wyrazy podziwu i szacunku u jej stóp.

— Ależ, milordzie... nie mam przyjemności...

— Wiem o tym, milady, że nie dostąpiłem dotąd zaszczytu być pani przedstawiony, ale proszę mnie rozgrzeszyć i pozwolić samemu dopełnić tej formalności, ponieważ nie znalazłem nikogo, kto by ułatwił mi osiągnięcie wielkiej łaski poznania pani.

Zażenowana trochę, nie zdając sobie sprawy, do czego zmierza ta nieoczekiwana wizyta nieznajomego, zjednana jednak nieskazitelną poprawnością jego słów, skłoniłam z lekka głową, nic nie odpowiadając.

Przyjął to widać za znak przyzwolenia,

— Duc of Cumberland — przedstawił się, skłaniając ponownie głowę w niskim ukłonie.

— Wyczytałam pana nazwisko na tym oto bilecie milordzie — wyjaśniłam, wskazując na wiązanek róż.

W oczach jego ujrzałam błysk zdziwienia.

— Stanowczo nie mam szczęścia — powiedział z goryczą. — Jedyna kobieta na tej sali, której nie mogłem być przedstawiony, jest również jedyną, która nie zna mego nazwiska.

— Możliwe, milordzie, że stanowią rzadki wyjątek i moja niewiedza wydaje się panu czymś nawet obraźliwym, ale zrozumie pan to, kiedy się pan dowie, że jestem cudzoziemką.

— Jest to dla nas wielką stratą, że nie możemy pani zaliczyć do naszych rodaczek. Aleja bardzo kocham Francję, bo pani musi być chyba Francuzką. Czy może myłę się?

— Istotnie, jestem Francuzką.

— Jedynie pani ojczyzna potrafi obdarzać kobiety taką białą karnacją przy tak ciemnych oczach.

Uważałam, że to jest już trochę zbyt śmiało. Zaczerwieniwszy się, powiedziałam z odcieniem dumy:

— Pan wybaczy, ale nie przywykłam...

— Słyszeć słów prawdy z ust nie znanych pani mężczyzn — dokończył z kurtuazją. — Ale jeżeli pani uważa, że wyolbrzymiam pani walory, to proszę się rozejrzeć po sali. Czy widzi pani te setki oczów wpatrzone w panią i przysyłające pani nieme wyrazy uwielbienia i zachwytu? W oczach kobiet wyczyta pani największy komplement, na który potrafią się zdobyć — cień zazdrości. Oczy mężczyzn są jeszcze bardziej szczerze...

Mógł tak mówić bez końca, nie słuchałam go już.

Oczy moje pobiegły znów ku pobliskiej łoży, która opróżniała się stopniowo. Maud Assy, zwrócona twarzą do wnętrza łoży, udawała, że patrzy na widzów wypełniających balkony, ale wiedziałam, że najlżejszy mój ruch nie uszedł jej uwagi.

Spostrzeżenie to skłoniło mnie do większej swobody i jawnej uprzejmości w stosunku do nie proszonego gościa.

W tej chwili właśnie nalegał, żebym mu wyjawiała swoje nazwisko.

— Ale w jakim celu, milordzie? Nikt mnie nie zna w Londynie. Jestem dziś po raz pierwszy w teatrze.

— Po raz pierwszy i pani przyszła... sama.

— Tak, sama. Cóż w tym dziwnego, że Francuzka, przebywająca na obczyźnie, pragnie ujrzeć sztukę, graną po francusku?

— Nie jest dziwne, skoro pani to czyni. Pani urok nie może iść w parze z czymkolwiek, co nie jest piękne i słuszne. Ale proszę pozwolić zadać sobie jedno tylko pytanie, popełnić raczej jeszcze jedną niedyskrecję?

— Nie lubię niedyskrecji, milordzie.

— Narażę się więc raz jeszcze na pani niezadowolenie, ale nie zdołam powstrzymać pytania, które ciśnie mi się na usta.

Mimo woli zmarszczyłam brwi.

— Proszę mnie nie potępiać, dopóki mnie pani nie wysłucha.

— A więc słucham pana, milordzie.

— Otóż... czy mam z tego wywnioskować, że będąc samotna dzisiaj — tu w teatrze — pani jest sama w ogóle w Anglii?

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

— Jest pan niemal bliski prawdy, ale niezupełnie — zauważyłam, przyglądając mu się z lekką drwiną.

— Jest więc pani samotna, ale nie... wolna!

— Otóż to.

— Ale chyba nie zamężna?

— Dlaczego?

— Doprawdy, jest pani mężatką?

— Tak.

— Żoną Francuza, który pozostał we Francji?

— Nie. Żoną Anglika, który mieszka w Londynie.

Aż podskoczył na krześle ze zdumienia.

— Co u licha? ICtóry pozwala, żeby... żeby...

— - Który dopuszcza do tego, żebym szła sama do teatru, chciał pan powiedzieć.

— Ależ to skandal!

— Znacznie mniejszy niż fakt, że pan jest w mojej łoży, pan, którego nie mam przyjemności znać.

— Ależ, milady, niczego nie pragnę więcej, niż okazji poznania pani bliżej i lepiej.

Już miałam dać mu odpowiednią odprawę, kiedy w pobliskiej łoży zjawił się Walter Anderson wraz ze swym przyjacielem.

Ledwo wszedł, Maud Assy pochyliła się w jego stronę szepcząc coś i równocześnie ręką dała mu znak, żeby się cofnął w cień.

To, co mu powiedziała, wywołało efekt krótkiego spięcia elektrycznego. Nie panując nad sobą, odwrócił się i ukazał się w pełnym świetle, patrząc na mnie oczyma rozszerzonymi zdumieniem.

Spod zmrużonych powiek przyglądałam się całej tej scence.

Dojrzałam, że zbladł, jak w owym dniu, kiedy mu rzuciłam w twarz nazwisko jego kochanki. Tym razem zauważyłam również w jego oczach wyraz przerażenia i rozpacz.

Jego zmieszanie wynagrodziło mi przykre chwile, przeżyte na początku tego wieczoru. Zachęcałam go w duchu:

— No, Walterze, okaż się dobrym graczem, mój przyjacielu. Z jednej strony, kobieta, której nikt nie zna, z drugiej zaś, twoja przyjaciółka, aż nazbyt popularna. Nie możesz teraz nie opowiedzieć się przy jednej, nie poświęcając drugiej. Którąkolwiek z nich byś opuścił, nie przebaczy ci ona nigdy tego publicznie doznanego upokorzenia,

Instynktownie cofnął się znowu w cień, czułam nadal wpatrzone we mnie spojrzenie.

Minęły dwie minuty, które wydały mi się dwoma godzinami.

Wyczułam jego wahanie. On również zdawał sobie sprawę, że ważą się w tej chwili nasze losy: los żony i przyjaciółki. Byłam przekonana, że jego męska duma, z lęku przed ośmieszeniem się w oczach wszystkich przyjaciół, skłoni go do pozostania przy Maud Assy.

Tymczasem Duc of Cumberland widząc, że antrakt ma się ku końcowi, nalegał coraz intensywniej, żebym mu zdradziła nazwisko i adres.

Widząc, że jestem obserwowana, uśmiechnęłam się wyrozumiale do księcia.

— Proszę się nie uśmiechać tak cudnie, milady. Bo gotów jestem popełnić najniewłaściwszą rzecz, jaką można zrobić w Londynie.

— Mój Boże, cóż znaczy ta straszna groźba?

— Zostanę przy pani w czasie całego drugiego aktu.

— To byłby ze strony pana nie tylko nietakt, ale wręcz szaleństwo, i nie sądzę, żeby mąż mój dopuścił do tego.

— A więc małżonek pani wie, że pani jest tutaj? Mimo woli spojrzałam w kierunku łoża Maud

Assy

— Ależ oczywiście, że wie.

— Nie domyśli się jednak nigdy, że miałem zaszczyt rozmawiania z panią.

— Niestety, tego również nie uda nam się utrzymać w tajemnicy.

W tej chwili drzwi mojej łoża otworzyły się i stanął w nich Walter.

Zrobiłam w kierunku księcia gest, którym wskazałam na mego męża, potwierdzając nim słuszność słów.

Zdumienie przemknęło przez twarz nieznajomego. Odgadłam raczej niż dosłyszałam pytanie, które wyszeptał cichutko:

— To on jest mężem pani?

— Tak, właśnie on.

Nie zdołam opisać zdziwienia, z jakim księżę popatrzył na Waltera Andersona.

Nie ulegało kwestii, że księżę znał bodaj z widze-

nia sławnego autora, a moje twierdzenie, że jestem jego żoną, wprowadziło widać solidny zamęt do jego mózgu i przewróciło w nim pojęcie, jakie miał o tym człowieku.

Jego nieskazitelne formy towarzyskie nie pozwoliły mu trwać długo w tym osłupieniu.

Nie ruszając się z fotela, na którym siedział, czekał bardzo spokojnie, co dalej nastąpi. W danej chwili, ja grałam w tej łoży rolę gospodyni i pani domu.

Elementarne poczucie przyzwoitości nakazywało mi zaznajomienie dwóch mężczyzn. Musiałam się zdobyć na wielki wysiłek, świadczący o mej zimnej krwi, żeby wymówić sakramentalną formułkę:

— Duc of Cumberland... Walter Anderson, mój małżonek.

Pierwszy z nich uklonił się ze swobodą bywalca, którego nic nie zdoła wytrącić z równowagi, drugi zaś skinął mu w odpowiedzi głową. Ruch ten był tak krótki i zdawkowy, że graniczył niemal z impertynencją.

Walter był blady jak chusta, a jego zimne, stalowe oczy przenosiły kolejno z księcia na mnie i odwrotnie, patrząc na nas twardo i pytając oczyma, co to ma wszystko znaczyć.

Robiło mi się coraz nieprzyjemniej. Sposób zachowania się mego męża groził jakimś wybuchem. Czułam, że obecność nie znanego mężczyzny w mojej łoży wydała mu się podejrzana.

Postanowił widać wybrnąć z sytuacji ignorując obecność nieznanego pana. Zwracając się ku

mnie, powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu i brzmiącym jak rozkaz:

— Droga moja, karetka czeka już na ciebie. Służę ci moim ramieniem, żeby cię do niej doprowadzić.

Jego spojrzenie nakazywało mi posłuszeństwo, Ale nie ma bardziej głupiej istoty, niż ta, która nie chce słyszeć. Potrząsnęłam tylko głową przecząco, będąc zupełnie zdecydowana robić tego wieczora to tylko, co mi dogadza.

— Karetka zaczeka — odrzuciłam wesołym głosem. — Postanowiłam pozostać do końca przedstawienia.

Walter spojrział na mnie z nie ukrywaną pasją. Nie zrezygnował jednak i powtórzył rozedrganym głosem:

— Miałaś opuścić teatr po pierwszym akcie.

— Czyżbym ci to istotnie obiecała? — zawołałam, śmiejąc się już zupełnie otwarcie. — W takim razie zachowam się jak dziecko, które aby zdobyć ciastko, obiecuje, że zje tylko małe kawałeczki, a otrzymawszy je, zjada do ostatniej okruszynki. Teraz, kiedy zobaczyłam już pierwszy akt, postanowiłam pozostać do końca i poznać całą sztukę...

Spojrzeniem nie mniej stanowczym niż jego, wyraziłam mu w sposób niedwuznaczny, że nie ustąpię. Zrozumiał, że nie należy nalegać, że z jego zgodą czy bez niej, pozostanę do końca przedstawienia.

Ponadto oparłam się wygodnie o parapet łóżka w mocnym postanowieniu nieruszania się z miejsca.

Walter rozejrzał się bezradnie po szczupłej przestrzeni łoży, zatrzymując wzrok na obu wolnych fotelach. Zawahał się przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, gdzie usiąść. Może obliczał w duchu, ile osób może tu jeszcze nadejść. Przypuszczalnie tak właśnie było, pochylił się bowiem nade mną, pytając po cichu:

— Czy fotel, który pani zajmuje, jest właśnie pani miejscem?

— Oczywiście.

— Kto je pani ofiarował?

— Nikt... Zakupiłam je zawczasu. Oto mój bilet. Wziął mały skrawek papieru, obejrzał go uważnie

i twarz jego wypogodziła się zlekka. Wskazał jednak na księcia i zmieniając ton zapytał wyniośle:

— A ten pan jest twoim gościem? Nieznajomy zdał sobie sprawę z całej impertynencji tej uwagi.

— Nie — odpowiedział, podnosząc się szybko z fotela. — Pozwoliłem sobie jedynie złożyć uszanowanie lady Anderson, która jest bezsprzecznie królową dzisiejszego wieczoru. Nie będę jednak dłużej przeszkadzał państwu, zwłaszcza że drugi akt się już rozpoczyna.

Pożegnał się z nami i wkrótce zostałam w łoży sama z mężem, który stał nadal za moim fotelem, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, jak dalej postąpić.

Ponieważ po paru minutach zdałam sobie sprawę, że się jeszcze nie poruszył, odwróciłam się ku niemu.

— Nie zatrzymuję pana, Walterze. Jeżeli jest pan oczekiwany gdzie indziej, to proszę się nie kępować, nic pana nie zmusza do pozostania tutaj.

Moje miejsce jest u boku pani, a ponieważ upiera się pani przy tym, żeby dosiedzieć do końca przedstawienia...

— M ój Boże! Wydaje mi się, że mam takie same prawo oglądać to przedstawienie, jak i pan. Wcale pana nie proszę, żeby mi pan dotrzymywał towarzystwa...

— Lecz z chwilą, kiedy nie może być inaczej...

— To już sprawa pana przesądów. Nikt mnie nie zna w Londynie.

— Za wyjątkiem księcia Cumberland.

— No i panny Maud Assy, której pan nie wymienia.

Widząc, że Walter zagryzł wargi, z chwilą kiedy rzuciłam jej nazwisko, dodałam z pośpiechem:

— Och, nie robię panu żadnych wyrzutów... Ma pan zupełną swobodę postępowania tak, jak pan to uważa za wskazane, niemniej nie może pan mnie pozbawiać tej samej swobody.

— Nie do tego stopnia jednak, żeby pani w jej wieku pokazywała się publicznie bez opiekunki.

— Och, w Londynie jest mi to zupełnie obojętne.

— Znam pani poglądy i zapatrywania na tę kwestię. Nie potrzebuje mnie pani przekonywać — zauważył sucho.

— Pan jest nadzwyczajny w swym męskim braku logiki — zawołałam ze śmiechem. — Ciekawam,

z jakiego tytułu mógłby pan protestować w tej chwili.

Ale doprowadzony widać do ostateczności, Walter przerwał mi dość brutalnie:

— Proszę zamilknąć. To nie jest odpowiednie miejsce do przeprowadzania zasadniczych dyskusji.

Jego gniewny ton skłonił mnie do pełnego ironii wzruszenia ramionami.

Piękne miał motywy do gniewu dlatego tylko, że byłam w teatrze, podczas gdy on sam znalazł się tu w towarzystwie przyjaciółki.

Pretensje mężczyzn są czasem bardzo zabawne. Ale jego w danej chwili były już wręcz oburzające, i co ciekawe, widocznie dobrze sobie z tego zdawał sprawę, skoro zmuszał mnie tak energicznie do milczenia.

Kurtyna szła w górę i zaczął się drugi akt sztuki. Usiłowałam skupić całą uwagę wyłącznie na scenie. Sztuka rozwijała się z wciąż rosnącym powodzeniem artystów francuskich, co budziło we mnie uczucie usprawiedliwionej dumy.

Nie przeszkodziło mi to jednak zauważyć, że Walter Anderson pochylił się nad wspaniałą wiązką róż i oderwał od łodygi przymocowany do niej bilecik.

Zaledwie rzucił okiem na jego treść, zmiął gwałtownie arkusik bristolu i rzucił nieznacznym, lecz gwałtownym ruchem zmiętą kulkę aż w przeciwległy kąt łoża. Po chwili, pochwycił również i kwiaty, które podzieliły los biletu.

Dopiero po tej doraźnej egzekucji zdecydował się usiąść koło mnie. Siedząc oboje, jedno obok drugiego, nie poruszyliśmy się aż do zakończenia drugiego aktu. Z chwilą, kiedy kurtyna opadła, podniosłam się z mego fotela.

— Ach, więc jednakże zdecydowała się pani opuścić teatr — zauważył półgłosem, wstając w ślad za mną.

— Przepraszam pana bardzo — odpowiedziałam spokojnie. — Pan źle rozumie moją intencję. Nie tylko nie mam zamiaru odejść, ale mam ochotę obejrzeć foyer.

— Simono, nie wystawiaj mej cierpliwości na próbę — powiedział głosem stłumionym pasją. — Pozostań w łoży... Nie powinniśmy dawać ludziom dodatkowego przedstawienia.

— Pan mnie więzi przemocą, lordzie Anderson. Takie odnoszę wrażenie. Czyżby pan miał powód wstydić się mnie... Może pan zostać w łoży, jeżeli to pana bawi. Ja muszę i chcę trochę rozprostować nogi.

Łagodnie, lecz rękę drżącą ze zniecierpliwienia odsunęłam go z drogi, otworzyłam drzwi łoży i wyszłam, nie interesując się tym, czy mąż mój podąża za mną.

Oczywiście poszedł w ślad za mną z miną ponurą, usiłując jednak zachować pozory zupełnie naturalnej uprzejmości w stosunku do mnie, jak przystało na młodego małżonka, który zdaje sobie sprawę, że tłum go obserwuje i podgląda każdy jego gest.

Spojrzenia, które biegły naszym śladem, mogły być dla niego jedynie wysoce pochlebne.

Moja urocza toaleta osiągnęła większe powodzenie, niż ośmielałam się przypuścić. Podniosła też moją urodę, podkreślając wszystkie atuty, toteż spojrzenia mężczyzn zatrzymywały się na mojej drobnej postaci z wyraźnym uznaniem. Widziałam, jak w oczach ich zapalały się ogniki, jak wzrokiem szukali moich oczu, i powiem, że świadomość tego sukcesu nie była przykra.

Przechodząc z jednego salonu do drugiego znaleźliśmy się oboje przed wielkim lustrem, które ukazało odbicie naszych obu postaci.

Nie wiem, czy przelekleliśmy się oboje, że stracimy panowanie nad sobą, ale jednocześnie odwróciliśmy się gwałtownie od podwójnego wizerunku, wyzierającego z lustra.

Chociaż błądziłam wzrokiem po otaczającym nas strojnym tłumie, czułam na sobie ciężki wzrok męża, który ślizgał się po mnie ukradkiem, jak gdyby nagość moich ramion i dekoltu była dla niego czymś nowym i objawiła mu się dziś po raz pierwszy.

Po zakończeniu przedstawienia, uwieńczonego nie tylko sukcesem, ale wręcz owacją pod adresem wykonawców, Walter Anderson w milczeniu podał mi okrycie.

— Zwracam panu wolność — powiedziałam, dziękując uprzejmym skinieniem głowy. — Przyjaciele oczekują już pana niecierpliwie — dodałam z czarującym uśmiechem.

Nie odpowiedział nic, przeszył mnie tylko gniewnym spojrzeniem, czując całą ironię ukrytą w tych słowach.

Przy wejściu do przedsionka, który przeszłam sama przed trzema godzinami, publiczność tłoczyła się teraz tłumnie.

— Kareta lady Anderson — zażądał Walter donośnym głosem.

Wiele głów obróciło się w naszą stronę i rozległy się szepty.

Nazwisko autora było znane i przykuwało uwagę ludzi. Możliwe również, że ciekawość wielu osób była w tej chwili zaspokojona, gdyż wreszcie udało im się dowiedzieć, kim jest ta nieznana kobieta włoży. O ile bowiem twarz Waltera spopularyzowana fotografiami nikomu nic była obca, o tyle mnie dotychczas nikt jeszcze nie widział i zapewne zastanawiano się, kim jest ta pani, która przywłaszczyła sobie tak niepodzielnie słynnego powieściopi-sarza?

Pozwoliłam się prowadzić Walterowi niemal bezwolnie aż do stopnia karety i wsiadłam, lokując się wygodnie na miękkich poduszkach siedzenia. Już Walter rzucał rozkaz stangretowi, żeby ruszał, kiedy zdałam sobie sprawę, że zamyka drzwiczki, ma więc zamiar odesłać mnie samą do domu.

— Chwileczkę, Walterze — zawołałam. — Jeżeli pan pojedzie ze mną, to udam się tam, gdzie pan sobie życzy, ale jeżeli mam odjechać sama, pojedę gdzie indziej, tam, gdzie mi się podoba.

— Cóż to znów nowego — przerwał mi niecierpliwie. —
Gdzie pani chce jechać o tak późnej porze?

— Jestem po prostu głodna — odparłam spokojnie.

- Proszę wskazać woźnicy adres jakiejś dobrej nocnej restauracji.

Aż podskoczył z wrażenia słysząc moją prośbę.

— Co to za nowe szaleństwo? Może pani zjeść w domu, to będzie znacznie przyzwoiciej.

Uśmiechnęłam się, robiąc grymas, mający wyrazić całą pogardę do tak nakreślonego programu zakończenia wieczoru.

— Bardzo zabawna jest taka samotna kolacja w domu.

Wyciągnęłam dłoń na pożegnanie.

— Dobranoc, Walterze. Powracaj do swych spraw i pozostaw mnie własnemu losowi. To najlepsza droga do naszego porozumienia.

Nie zdążyłam dokończyć zdania, a Walter już siedział obok mnie w karecie.

Kareta potoczyła się w kierunku naszego domu.

Czułam, jak towarzysz mój, siedzący tak blisko, aż drży ze zdenerwowania i tłumionej wściekłości. Przezornie nie przerywałam milczenia, siedząc spokojnie w kąciu karety. Musiał więc sam przeżuwać złość.

Z chwilą kiedy przekroczyliśmy próg naszego mieszkania i znaleźliśmy się w moim apartamencie, dokąd udał się za mną, gniew jego, długo hamowany, wybuchnął jak gejzer.

Byłam na to przygotowana i przyznaję szczerze, że od paru godzin robiłam wszystko, żeby go doprowadzić do tego stanu.

Wymówki, którymi mnie zasypał, nazywając mój postęp „niewiarygodnym wybrykiem”, odbiły się początkowo o moją całkowitą obojętność.

Rozumiałam, że jest wściekły, iż popsuałam mu wieczór, po którym wiele sobie prawdopodobnie obiecywał. Toteż daremnie powtarzałam mu, iż popełnił błąd przyznając się do tego, iż mnie zauważył z chwilą, kiedy ja dołożyłam wszelkich starań, żeby go nie dostrzec w łoży, w której bawił. Słowa moje nie zdołały go jednak uspokoić.

Wręcz odwrotnie, za każdym razem, kiedy usiłowałam podkreślić całkowitą swą obojętność w stosunku do jego eskapady, tak jakbym dolewała oliwy do ognia, która podsycala jeszcze płomień jego gniewu i niezadowolenia.

Na nieszczęście, mówiąc o obecności księcia of Cumberland w mojej łoży, użył jakiegoś niezręcznego zwrotu. Człowiek ten cieszył się ponoć złą opinią uwodziciela i pozbawionego skrupułów Don Juana. Toteż kobieta wyróżniona przez niego była już, zdaniem Waltera, bezapelacyjnie skompromitowana.

Walter Anderson wyrzucał mi więc gorzko, że zastał Cumberlanda w mojej łoży i na fakt ten kładł tak wielki nacisk, że bezwiednie niemal zaczęłam bronić księcia.

Od- słowa do słowa doszło między nami do kłótni. Sama już nie wiem, jak i kiedy powiedziałam mężowi, że jako mężczyzna księżę Cumberlandu nie ustępuje w niczym Maud Assy, toteż winniśmy się czuć skwitowani, nie ma bowiem zasadniczych różnic między nim, który siedział w łoży ze swą przyjaciółką, a mną, przyjmującą w łoży nieznanego mężczyznę.

Podskoczył z oburzeniem na te słowa.

— Pani beztroska nieświadomość wagi jej postępów przekracza już wszelkie granice przyzwoitości. Szanująca się mężatka nie rozumuje tak jak pani.

— Możliwe, tylko że ja nie jestem mężatką — odparłam z całym spokojem — jestem tylko pozornie kobietą zamężną.

— A jednak nosi pani tytuł, szanowna pani, tytuł. Pani jest moją żoną...

Przerwałam mu, raz jeszcze powracając do wielokrotnie już poruszanego między nami tematu:

— O nie. Wie pan najlepiej, że nie uważam pana za swego męża. Dodam nawet, żeby wreszcie dzisiejszy incydent doprowadzić do właściwych rozmiarów, że tak, jak pan pozwala sobie na oficjalną kochankę, nie będę miała najłżejszych skrupułów dobierając sobie kochan...

Nie zdołałam dokończyć słowa, kiedy poczułam na ramionach miażdżący uścisk dwóch brutalnych dłoni, które potrząsnęły mną gwałtownie i cisnęły w drugi kąt pokoju.

Napaść ta była tak nieoczekiwana, że nie zdążyłam nawet krzyknąć. Jak tłumok miękkiej bielizny upadłam w przeciwnym krańcu pokoju, o parę centymetrów zaledwie od ostrej krawędzi komódki, o którą łatwo mogłam rozbić głowę.

W pierwszym odruchu chciałam się zerwać i uciekać, ale niezdolna byłam wykonać najdrobniejszego ruchu. Oczy moje rozszerzone nieludzkim przerażeniem dostrzegły nad głową zaciśnięte dwie pięści Waltera, które już, już miały opaść na moją czaszkę.

Instynkt samozachowawczy wydarł mi z gardła okrzyk i nieprzytomna, wobec tego ataku furii, którą sama rozpętałam, ukryłam tylko twarz w dłoniach lękając się tego potwornego widoku i oczekując z drżeniem serca, co dalej nastąpi.

Jednakże żaden cios nie spadł na mnie. Groźnie uniesione pięści opadły bezwładnie. Najwyższym wysiłkiem woli ten dobrze wychowany człowiek zdołał poskromić szal, który go ogarnął.

Mała, bezwładna szmatka, rozplaszczona na ziemi, łkała teraz nieprzytomnie. Po raz wtóry zdałam sobie sprawę, że, chcę czy nie chcę, jestem jednak jego własnością, że nie mogę się uchylić od pewnych obowiązków w stosunku do niego i nie uznawać pewnych praw. Zrobiło mi się nagle wstyd z powodu tej całej ohydnej sceny, którą sprowokowałam, i tego wstrętnego słowa, którego dźwięk musiał być najdotkliwszym policzkiem, jaki kobieta może wymierzyć miłości własnej i godności mężczyzny.

„Kochanek”...

Jak mogłam powiedzieć coś podobnego? Przecież wiedziałam dobrze, że nie jestem zdolna do zdrady, nawet w stosunku do tego pozornego męża, którego praw nie chciałam uznać.

Słyszałam, jak Walter ciężko dyszy, dławiąc się własnym oddechem i szepcze bezładne jakieś słowa, mające wyrazić oburzenie na siebie samego za ten morderczy odruch. Machinalnie powtarzał słowo „kochanek”, słowo, które rozpętało w nim te pierwotne instynkty.

Cały gniew opadł zeń tak nagle, jak przyszedł, toteż błyskawicznie zdał sobie widać sprawę z konsekwencji, jakie musiał pociągnąć za sobą, i z grozy sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się oboje. Cofnął się do pierwszego stojącego po drodze fotela i opadł nań jak człowiek pozbawiony zmysłu równowagi. Oparł łokcie na kolanach, twarz ukrył w dłoniach i zastygł w bezruchu.

Minęły długie minuty. Każde z nas snuło nić własnych beznadziejnych myśli, których treść nie różniła się tak bardzo.

Z jękiem, miałam bowiem uczucie pogruchotanych członków, uniosłam się z ziemi. Spostrzegłam w tej chwili, że ramiona Waltera drżą i że jedną ręką szuka daremnie chustki.

Widok ten zmaćił mi zmysły.

On płacze!

Dźwignęłam się i czołgając się na kolanach, posunęłam się ku niemu.

Rwało się coś we mnie na strzępy. Nie mogłam już myśleć. Niezdolna byłam ani do analizy, ani do krytyki. Wiedziałam tylko jedno: Walter płakał z mego powodu!

Usiłowałam rozsunąć dłonie kurczowo przyciśnięte do twarzy. Wścizgnęłam się między jego kolana opierając policzek o jego wilgotną twarz. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i tak wtulona w niego, nic nie mówiłam. Pragnęłam za wszelką cenę zdjąć z niego cały ciężar bólu, zniweczyć pamięć o wszystkim, co się stało i co było powiedziane.

— Walterze, przysięgam, że po raz pierwszy w życiu widziałam księcia Cumberlanda. Przysięgam, że ani on, ani żaden inny... nigdy nie kochałam nikogo.

W tej chwili przesunęła mi się przed oczyma sylwetka Maud Assy ale jakaś przybladła, jak zanikający cień.

Była jego kochanką... tak kochanką, ale ja, ja jestem jego żoną, kobietą, którą on szanuje, dla której wymaga od wszystkich szacunku... Moja rola w jego życiu była cenniejsza!

On płakał z mego powodu... Coś mi szeptało, że dla niej nie wylałby ani jednej łzy.

Wargi moje dotknęły jego twarzy, usiłowały spijać płynące łzy, osuszyć ich źródło.

— Walterze, byłam zazdrosna, ale nie zawiniłam w niczym więcej... Nigdy już nie powiem ci nic podobnego.

Jego ramiona zwały się szczelnie dokoła mojej postaci.

— Zazdrość prowadzi do szaleństwa — szepnął

— przed chwilą mógłbym cię zabić.

— Mnie znów myśl o tej kobiecie doprowadzała do szału... Chciałam, żebyś i ty cierpiał. Jedynie to skłoniło mnie do pójścia do teatru.

— Kto ci powiedział, że tam będę?

— Domyśliłam się, widząc bilet do teatru, który usiłowałeś ukryć przede mną. W kasie poinformowano mnie, że tę łożę zakupiła twoja przyjaciółka, wówczas postanowiłam za wszelką cenę być na tym przedstawieniu.

— Z tą kobietą od dawna nic mnie już nie łączy

— powiedział wolno.

— Ooo.

Wbrew samej sobie, całą siłę przekonania włożyłam w ten protest. Tak się lękałam, żeby w tej chwili nie skłamał. Odruchowo spróbowałam uwolnić się od jego uścisku. Ale nie puścił mnie. Ramiona jego trzymały mnie mocno w uwięzi i z oczyma wpatrzonymi w moje oczy potwierdził z jeszcze większą siłą:

— Przysięgam ci, że ta kobieta jest dla mnie niczym. Od wielu, wielu już miesięcy traktuję ją jedynie jako dobrą odtwórczynię ról w moich sztukach, nic ponadto.

— Odtwórczynię, z którą afiszujesz się publicznie.

— Jedynie dzisiejszego wieczoru. Od bardzo

dawna już nikt mnie nie widział w jej towarzystwie, ani u niej w domu, ani w lokalach publicznych. To sięga czasów, kiedy... tak, nawet dawniej... zanim jeszcze spędziłaś noc w moim pokoju. Wierz rrii, Simono! Przysięgam ci, że mówię prawdę.

— Jakże mam uwierzyć, kiedy dziś wieczór właśnie...

Posłuchaj... Zapytasz tych ludzi, którzy byli ze mną w łoży. To oni zorganizowali ten wspólny wieczór. Ongiś, kiedy cię jeszcze nie znałem, powiedzieliśmy sobie w środowisku kolegów, że każde zerwanie musi się zakończyć małą uroczystością... miała to być wesoła forma protestu przeciwko smutnej stronie prawdziwych rozwodów. Otóż minęło już wiele miesięcy od chwili mego zerwania z Maud Assy... Kochana, jeśli ci mówię o tym, to jedynie dlatego, że jest to szczerą prawdą. Przyjaciele moi przypomnieli mi tę lekkomyślną obietnicę, daną im kiedyś... Początkowo odmówiłem, ale tak mi tym dokuczali, że ustąpiłem. Miałem nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz. Chciałem już ostatecznie skończyć z tą moją przeszłością, cieszyłem się po prostu, że wieczór ten postawi kropkę, oficjalną kropkę nad dawno zerwanym związkiem.

— A więc istotnie ten wieczór to było ostateczne zerwanie?

Oczy moje badały z nateżeniem wyraz jego twarzy, szukając w niej potwierdzenia słów.

— Powiedziałem ci już, maleńka, że zerwanie datuje się już od wielu miesięcy. Ten wieczór był

poniekąd oficjalną ceremonią pogrzebową naszego stosunku. Chodź ze mną do mego gabinetu, pokażę ci listy moich przyjaciół, którzy zainicjowali ten wieczór. Ponieważ chcesz dowodów, będziesz je miała i one cię przekonają.

Chciał mnie podnieść z klęczek i pociągnąć do gabinetu, ale ja nie miałam ochoty się ruszać. Przytuliłam się jeszcze mocniej, mówiąc:

— Nie, pozostajmy tu. Chcę panu wierzyć bez dowodów, ponieważ sprawia mi rozkosz mieć całkowite zaufanie do pana i... dlatego że ja nie mam żadnych dowodów, którymi mogłabym panu służyć! Pomimo to jednak pan musi mi uwierzyć i musi mi pan ufać wbrew wszelkim pozorom.

— Tak, wiara w ciebie jest dla mnie kwestią życia. Ale ty powiedziałaś takie jedno słówko, którego nie mogę wygnać z mózgu, które doprowadzi mnie chyba do szaleństwa. Simono, powtórz raz jeszcze, że nigdy...

— Przysięgam, Walterze, że nigdy...

— Czy wiesz, najdroższa, jak wielkie jest słowo „nigdy”.

Wolniutko z namysłem kiwnęłam głową i nagle zaczerwieniłam się gwałtownie. Przypomniałam sobie tę noc, a nie chciałam myśleć o tym, co się wówczas stało.

Odgadł od razu, jaka myśl spowodowała mój nagły rumieniec i popatrzył na mnie tak jakoś dziwnie.

— Simono, wiem, że w duszy oskarżasz mnie o pewien haniebnny czyn?

— Tak.

— Wiem, że wierzysz w to, co myślisz o mnie, ale to nieprawda.

— Jak to? — zapytałam zupełnie zdezorientowana.

— Powiedziałem ci, że wykorzystałem moje męzowskie prawo...

— Czyż tak nie było?

— Nie.

— Nie?

— Byłem zupełnie zdecydowany. Twój upór smagał moją miłość własną. Rzuciłem ci tę groźbę... ale od słów do czynów jest jeszcze daleko. Są w życiu gesty, przed których spełnieniem gentleman zawsze się zawaha... Przede wszystkim zaś nie zniósłbym myśli, że cię zdobyłem tą drogą. Sam fakt posiadania nie zaspokaja miłości. Pragnę cię otrzymać od ciebie samej.

— W takim razie dlaczego dopuściłeś do tego, żebym tyle czasu wierzyła w to, żeś uczynił rzecz haniebną i nie do odrobienia, która z konieczności wzniosła między nami ślepy mur.

— Oskarżyłaś mnie natychmiast i bez namysłu wydałaś na mnie wyrok. Po prostu postanowiłem nie bronić się. Przypomnij sobie, z jakim rozgoryczeniem zaznaczyłem wówczas, iż gdyby mi przyszła ochota zaprzeczyć, nie wierzyłabyś mi.

— To prawda, ale byłam dotknięta do żywego.

Myśl o tym, co mogło się dzieć tej nocy, wyprowadzała mnie z równowagi. A teraz twierdzi pan, że nic się w ogóle nie stało... że nadal jestem panią swego ciała i życia. Wolna... a więc nadal jestem wolna.

Wstałam z klęczek.

— Tak, wolna — zauważył ze smętnym uśmiechem, który stanowił kontrast z moim radosnym podnieceniem. — Masz, Simono, nawet pełną swobodę porzucenia mnie, gdyż teraz nie będę cię już zatrzymywał, a raczej winienem to inaczej wyrazić, pragnę cię otrzymać od ciebie samej.

— Wolna, wolna... — powtarzałam ze wciąż rosnącą egzaltacją, nie zwracając uwagi na jego biedną, zmienioną twarz, obserwującą mnie żałośnie. - - Mogę więc odjechać, odbudować swoje życie i wreszcie być szczęśliwą.

— Możesz — szepnęły wargi, z których uciekła cała krew.

— I pan nie będzie usiłował zatrzymać mnie jakąś nową straszną groźbą?

— Nie — powiedział z wysiłkiem. — Ale czy ty doprawdy myślisz jeszcze o odejściu? Przed chwilą powiedziałaś mi, że byłaś o mnie zazdrosna... zazdrość to niemal dowód miłości.

— Ach, nie wiem już, co mogłam panu powiedzieć przed chwilą, ani co mówiłam w ciągu ostatnich miesięcy. Mam wrażenie, że żyję dopiero od paru chwil. Uspakajając mnie, że nigdy nie byłam bez mojej zgody pana żoną, przywrócił mi pan

nadzieję i zdolność do przeżywania szczęścia. Jestem nadal panią swego serca i ciała i mogę je ofiarować temu jedynemu mężczyźnie, którego pokocham i którego wybiorę spośród wszystkich. To jedno jest dla mnie ważne w tej chwili.

Z piersi Waltera wyrwał się jęk udręki:

— Simono, miej litość nade mną i powiedz mi, że tym mężczyzną będę ja.

— O, tego jeszcze nie wiem, nie jestem zupełnie pewna — odpowiedziałam żywo, usiłując uwolnić się z jego ramion, które usiłowały mnie przygarnąć.

I łagodniej już, widziałam bowiem, jak bardzo jest nieszczęśliwy, dodałam:

— Proszę cię, Walterze, nie przyspieszaj mojej decyzji. Boję się, czy odpowiedź moja byłaby istotnym wyrazem mych uczuć. Od wielu miesięcy usiłuję już wmówić w siebie, że nie widzę w tobie swego męża. Początkowo byłeś mi człowiekiem obcym, potem stałeś się nieprzyjacielem, wrogiem tym gorszym, że narzuconym mi poniekąd legalnie. Ostatnio widok twoich łez wstrząsnął mną do głębi, ale czy to przypadkiem nie litość przywiodła mnie do twoich kolan¹?

— Ale odczuwałaś przecież zazdrość?

— Tak, to prawda. Lękam się, czy to nie jest jednak uczucie zrodzone tylko z instynktu, którym obdarzona jest każda kobieta, zwłaszcza kiedy wchodzi w grę druga.

— Jesteś stokroć piękniejsza od niej i ciebie właśnie pokochałem.

— Dzięki ci za te słowa, dzisiejszego wieczoru boję się nastroju i... pomyłki. Jakąż wagę można przywiązywać do moich słów właśnie dziś, kiedy wypełnia mnie bez reszty uczucie bezgranicznej radości i niewymownej ulgi, że nie wzięłaś mnie siłą w stanie mojej absolutnej niewiedzy i bezbronności. Jestem przekonana, że odpowiedź, udzielona dziś, nie byłaby odpowiedzią szczerą, wyrażającą niezłomne przeświadczenie, że jest właśnie tak, nie inaczej. Nie chcę powiedzieć ci czegoś, czegobym żałowała jutro rano.

— A więc poczekam do jutra. Zanim jednak rozstaniemy się, chcę, żebyś wiedziała, Simono, że cię kocham całym sercem, całą duszą i wszystkimi zmysłami i że moja miłość nie zadowoli się nadal samym twym widokiem. Pożadam słów miłości, które upajają, pocałunków, w których się zatracę, płomiennych pieszczot i uścisków... Cierpię już od tak dawna niewysłowione męki, żyjąc w twoim pobliżu, z wciąż narzuconą mi maską obojętności. Nie mogę już dłużej, Simono, musisz być dobra i zrozumieć, jak bardzo się męczę. Kocham cię i pragnę jednej tylko rzeczy... twojej wzajemności.

— Kochasz mnie? A tak niedawno jeszcze dawałaś brutalnie nieraz wyraz swej nienawiści,

-- Ach milcz. Nie wierzę, żebyś brała za dobrą monetę te wszystkie słowa trawiącej mnie pasji, które przeciwstawić usiłowałam twej rozpaczliwej obojętności. Twój kobiecy instynkt nie mógł ci nie podszeptać, jakie robisz na mnie wrażenie... Mój

Boże, przecież pokochałem cię niemal nazajutrz po twoim przybyciu. Przecież na wstępie...

— Co to, to nie, — zaprotestowałam energicznie. — Na samym wstępie traktowałeś mnie jako intruza, który przemocą wdziera się w twoje życie.

— To nie trwało długo. A już od tego wieczoru, kiedy przeglądałaś album z fotografiami i poznałaś na jednej z nich wizerunek swego towarzysza zabaw dziecięcych, wiedziałem, że to ty, ty jedna możesz być moją żoną.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— A przecież twierdziłeś wówczas, że bardzo mało znasz tego chłopca?

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

— Nie grzeszysz ciekawością, Simono, dlatego też nie zapytałaś starego Johna, kim jest to dziecko, którego fotografię przechowuję w albumie.

— Czy sądzisz, że on mógłby mi coś o nim powiedzieć?

Walter zrobił niezdecydowany ruch ręką.

— John znał bardzo wiele osób...

— I prawdopodobnie panu udzielił on wyjaśnień...

— Nie pytałem go o szczegóły, ale przypuszczałem, że tyś to zrobiła.

— Nie przyszło mi na myśl, a teraz żałuję tego, zwłaszcza że fotografia tego nie znanego dziecka wpłynęła tak decydująco na zmianę twych uczuć dla mnie.

— Tu nie chodzi o fotografię, wzruszyła mnie twoja wierność wspomnieniom, związanym z tym dzieckiem.

— Czy dlatego, że nie zapomniałam tego chłopczyka?

— Dlatego że medalion, który matka zawiesiła na twojej szyi, a który zawiera wizerunek tego dziecka, nie opuszcza cię nigdy.

Nie mogłam ukryć śmiechu.

— Nie podejrzewałam cię o taki sentymentalizm.

— Sam ze zdumieniem odkryłem w sobie tę cechę.

Zapanowało między nami milczenie. Walter wstał i stojąc zamyślony wpatrywał się we mnie.

— A więc jutro — przemówił wreszcie — jutro dasz mi wreszcie ostateczną odpowiedź... Zastanów się bardzo głęboko i szczerze, Simono, czy zdołasz mnie pokochać na całe życie. O ja nieszczęsny, jakież straszne chwile oczekiwania i lęku stoją przede mną. Żebym chociaż mógł mieć pewność...

Twarz jego zmieniła się, przybladła, znać na niej było mękę niepewności.

— Walterze, proszę cię, bądź rozsądny i... cierpliwy — powiedziałam, ujmując go serdecznie za rękę. — Nie mówmy już więcej na ten temat. Popatrz, która może być godzina? Brzask już się budzi. Jesteśmy oboje zmęczeni, zdenerwowani i wszystko, co byśmy powiedzieli, byłoby jedynie wynikiem tego nastroju. Zobaczymy się przecież tak prędko. Wypoczęci, spokojni, zastanowimy się nad

wszystkim, a nasze postanowienia będą wówczas wynikały z rozwagi i poczucia odpowiedzialności za każde wymówione słowo.

— Z rozwagi... —jęknął. —Jakież okrutne słowa dyktuje ci twoja obojętność dla mnie. Czyż miłość chadza w parze z rozwagą? Kocham cię, Simono, i będę ci to wciąż powtarzał, bez żadnych wyrachowań i namysłów.

— Aleja — odpowiedziałam z wielką stanowczością —jeżeli nadejdzie dzień, że ci to powiem, to już będzie na całe życie i wtedy będę już pewna, że nigdy tego nie pożałuję.

— Będę czekał...

— Jutro pomówimy o tym.

Opuścił pokój, obsypawszy uprzednio moje ręce pocałunkami.

Wyznaję, że niejedną raz w ciągu tej rozmowy miałam pokusę złożyć głowę na jego ramieniu i powiedzieć owo słowo, o które tak błagał. Jakiś rozkaz silniejszy od woli powstrzymywał mnie jednak. Nie wiem, czy nie było to wspomnienie Maud Assy, a może raczej pamięć nieprzejednanej buty Waltera Andersona, jego ataków gniewu i gwałtowności, graniczącej czasem z brutalnością? Tyle razy przecież ranił mnie tak boleśnie swoją ironią.

Sądzę jednak, że raczej chodziło mi o upewnienie się co do własnych uczuć, które przeskakiwały gwałtownie od żalu i obrazy do współczucia, od nienawiści do miłości, tak że wreszcie nie wiedziałam dokładnie, które z nich były prawdziwe? Możliwe, że

był to odruch kobiecej kokieterii, która upominała się o prawo zemsty za długi okres chłodu i obojętności, a nawet wzgardy.

Wszystkie te pytania kłębiły się gorączkowo w mojej głowie po odejściu Waltera.

Rozebrałam się i położyłam do łóżka, chociaż jednak zaciągnęłam story, żeby się uchronić od blasku wschodzącego poranka, nie mogłam jakoś znaleźć ukojenia we śnie. Wszystkie wypadki ostatniej nocy w formie obrazów, zmieniających się jak w kalejdoskopie, osaczyły moją zmaconą, ociężałą głowę.

Widziałam więc znów oświetloną salę teatralną, bezczelną odwagę księcia, Waltera wchodzącego do łoża z miną tragicznie ponurą, potem znów jego w brutalnej scenie, która rozegrała się już w domu. Widziałam jego brutalność, słyszałam słowa najgorszej obelgi, spadające tak niesłusznie na moją głowę. Widziałam wreszcie tego samego Waltera, czołgającego się u moich stóp, szepczącego szaleńcze słowa, będące mieszaniną gróźb i przysięg miłosnych.

A kiedy już wreszcie zmęczona myślami przymykałam oczy, zapadając w drętwotę poprzedzającą właściwy sen, koszmarna wizja ukazywała *mi* Maud Assy w objęciach Waltera. Obraz ten podrywał mnie z poduszki, siadałam w łóżku, przyciskając rozpalone dłonie do twarzy zroszonej zimnym potem.

Nagle lekki szmer tuż nad moją głową obudził mnie zupełnie.

Nadśluchiwałam. To stary John wstawał i potraçał meble, ubierając się.

Myśl moja pobiegła do medalionu zawieszono na szyi. Jednym skokiem znalazłam się poza łóżkiem. Narzuciłam tylko szlafrok na ramiona i zmierzałam ku drzwiom,

Szmer tam w górze potęgował się. Jakies drzwi zgrzytneły i na schodach rozległ się chrzęst ostrożnie stawianych kroków. Staruszek schodził z górnego piętra i zbliżał się do moich drzwi. Jeszcze kilka sekund i zniknie za zakrętem korytarza.

Skoczyłam ku drzwiom, uchylałam je i wezwałam staruszkę do siebie. Zdumiony i zaniepokojony przydreptał zaraz.

— Czy milady jest chora, że tak wcześnie dziś wstała z łóżka?

— Nie, Johnie. Potrzebuję tylko pewnego wyjaśnienia. Proszę, niech John tu wejdzie.

Pokazując mu zawartość medalionu, spytałam gorączkowo:

— Czy John znał to dziecko?

Wziął do rąk klejnot, spojrział na fotografię i przeniósł zdumiony wzrok na mnie.

- Milady sądzi, że stary John już zupełnie stracił pamięć?... Przecież milady wie, że żyję więcej w przeszłości niż w teraźniejszości. Dlaczego więc milady stawia mi to pytanie?

— Imię tego chłopca? — spytałam zniecierpliwiona. — Czy John wie, jak on się nazywał?

— I nazywa się nadal. Cały dom mógłby milady na to odpowiedzieć.

— No więc?

— To lord Walter.

— Jak to, wasz pan?—krzyknęłam oszołomiona tą niezwykłą rewelacją.

— Mój Boże, oczywiście. Przecież to fotografia naszego pana, kiedy liczył sobie siedem czy osiem lat.

— Waszego pana? Waltera Andersona, mego męża? — pytałam dalej, nie mogąc uwierzyć.

— Ależ jego, jego i to z całą pewnością. Milady nie wiedziała tego? — dodał, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Ja... ja... nie... istotnie nie podejrzewałam nawet. — Myśli moje plątały się tak, że nie mogłam ich uporządkować w głowie. Staruszek kiwał tylko głową z wielkiego zdumienia.

— Milady przypuszczała, że powiem jakieś inne imię?

— Ależ tak. Sądziłam, że John opowie mi o zniknięciu tego dziecka, może o jego śmierci...

Parokrotnie przetarłam zwilgotniałe czoło dłonią, jakbym usiłowała zebrać zrozpaczone myśli.

— Czy aby John jest zupełnie pewien, że to jest fotografia Waltera?

— Och, milady, przecież go wychowałem i byłem przy nim we wszystkich okresach rozwoju. Nigdy go wówczas nie odstępowałem, toteż nie mogę się

mylić. A zresztą to nie jest jedyna fotografia z tamtych czasów. Jest tu ich w domu kilka.

— Ale to jedyna, z którą się spotkałam.

— Jaśnie pan miał ich parę w swoim pokoju. Ja również mam u siebie na górze parę zdjęć. Nasz milord sfotografowany jest w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Mogę je zaraz przynieść, milady. Milady sama oceni, czy to jest to samo dziecko.

— Nie, to jest zbędne, mój dobry Johnie. Wiem, że John się nie myli, że się nie może mylić. I teraz, kiedy się zastanawiam nad tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że istotnie ta główka małego chłopczyka może być głową Waltera w jego dzieciennych latach... Dziękuję wam, Johnie, możecie już odejść.

Pomimo zachęty, żeby opuścił mój pokój, starzec stanął koło drzwi i patrzył na mnie.

— Co takiego, Johnie, czy macie mi coś jeszcze do powiedzenia?

— Tak, milady! To w związku z tym dzieckiem... Pan Walter był małym dumnym chłopczykiem, dzielnym i nieustraszonym... i stary John żyje nadzieją, że jeszcze przed śmiercią...

Przerwał i pochylił głowę. - O jakiej nadziei John mówił?

— Niech milady mi raczy wybaczyć, ale wydaje mi się, że nie będę mógł odejść spokojnie z tego świata, jeżeli przed śmiercią nie uścisknę innego małego Walterka, równie ładnego i dzielnego...

Pomimo iż staruszek mówił pokornie, cicho i z oczyma spuszczoneymi, zaczerwieniłam się na te aluzję. — Niebo wysłuchuje czasem modłów wiernych — odpowiedziałam. — Do widzenia, Johnie, niech John nie traci nadziei, że może kiedyś pragnienia jego się spełnią... Jeśli Pan Bóg sobie tego życzy, oczywiście...

— Och, milady, jestem przekonany, że Panu Bogu byłoby to miłe. Jeżeli tylko milady godzi się na to, już jestem spokojny.

Odszedł wreszcie, a ja zostałam sama, głęboko wzruszona treścią tej ostatniej rozmowy.

— Więctobył Walter... Mój mąż...— powtarzałam po cichu wpatrując się w małą fotografijkę z medalionu. — To dziecko, które wydawało mi się odległym jakimś wspomnieniem, żyło tuż przy mnie przez długie miesiące. I to był właśnie mój mąż, mąż najzupełniej legalny, którego ja odtrącałam, nie chcąc uznać jego praw... Walter wiedział o tym i niczym się nie zdradził...

Dlaczego przemilczał rzecz, którą byłoby mi tak słodko usłyszeć. Gorzej nawet, czyż rozmyślnie nie naprowadził mnie na fałszywy trop, twierdząc, że nie wspomniał tej nocy, że właśnie moja wierność tym wspomnieniom dziecięcym stała się źródłem jego miłości do mnie?

Myśl ta obudziła we mnie dreszcz radosnego podniecenia.

Znaczy więc, że i on kochał swoją małą towarzyszkę zabaw, którą tyranizował i psuł na przemian. Tak

dokładnie pamiętałam naszą zwariowaną kawalkadę, kiedy wiózł mnie zwisającą w poprzek siodła. Oczy wypełniły łzy, na wspomnienie, jak bardzo się zmartwił, kiedy o mało nie utonęłam. Machinalnie przyłożyłam medalionik do warg.

— Mój Walter, drogi, niezapomniany towarzysz jasnej przeszłości, mój Walter, dzisiaj mój mąż.

Jakaś trwoga ścisnęła mi nagle serce.

— Mój mąż... To jest ten człowiek, który tak niedawno szeptał mi gorące słowa miłości i którego ja odprawiłam do jego pokoju, nie chcąc go nawet wysłuchać...

Myśl ta rozpalonym żelazem parzyła mnie. I wówczas stało się coś, co było silniejsze ode mnie. Bez namysłu wybiegłam z pokoju i w szlafrocжку popędziłam przez korytarz do apartamentu mego męża. Ani cienia wahania przed jego drzwiami. Nie pomyślałam nawet, że o tej porze może jeszcze spać. Wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że on musi czuwać i czekać na mnie.

Drzwi, które się otwiera i zamyka za sobą, kilka kroków jeszcze przez cichą palarnię i oto stoję na progu jego pokoju... tego samego pokoju, w którym obudziłam się pewnego poranka pełna oburzenia i niesmaku.

Mój instynkt powiedział mi prawdę. Walter nie spał. Nawet się nie kładł do łóżka, które stało nie tknięte. Siedział w kącie dużej kanapy, zatopiony w jakiejś bolesnej medytacji.

Ujrzałam go, zanim jeszcze mnie spostrzegł, a wi-

dząc, jak bardzo jest smutny, odruchowo wyciągnęłam do niego ramiona, gestem tym wyrażając, jak bardzo pragnę mu ulżyć i jak sama pragnę serdeczności i miłości.

— Walterze.

Jednym skokiem stanął na równych nogach i spostrzegając mnie, rzucił się ku mnie.

— Simono, ty... ty tutaj...

Niespokojne oczy zatoneły w moich, szukając w nich wyjaśnienia, co spowodowało moje przyjście do niego.

— Ty... Ty... — powtarzał tylko.

Spostrzegł moją nagość pod koronkowym szlafrokiem, wyczuł moje zmieszanie i wezwanie całej mojej istoty, garnącej się ku niemu, więc otoczył ramieniem i już bez oporu przygarnął mnie całą do piersi.

— Maleńka moja, najdroższa, przyszłaś wreszcie.

Uścisk ten był tak słodki i wargi jego wtulone w moją szyję takie drżące i ciepłe, że cały świat znikł mi z oczu w uczuciu niewymownie szczęśliwej świadomości, że oto jestem tu, gdzie jest moje miejsce. Łzy szczęścia i wielkiej wdzięczności dla losu zamgliły mi wzrok.

— Przyszłaś, przyszłaś do mnie — powtarzał Walter jak w upojeniu. Pociągnął mnie za sobą na sofę i trzymając mocno w ramionach, zarzucił pytaniami.

— Wybadałam wreszcie Johna. Powiedział mi wszystko... Walterze, ty byłeś, ty...

— Tak, maleńka, ja.

— I niemi o tym nie powiedziałaś. Twierdziłaś, że to jakieś nieznane dziecko, to byłeś ty... właśnie ty, Walterze. Och, dlaczego nie powiedziałaś mi całej prawdy, zaraz, natychmiast... Byłabym taka szczęśliwa i... i..., i nigdy bym ci nie zrobiła żadnej przykrości.

— Najdroższa, wszystko zło się już skończyło. Nie mówmy o tym więcej. Teraz nam wolno mówić tylko o naszym szczęściu, o tym, że zawsze będziemy razem, że nigdy się nie rozstaniemy. Bo chyba nie przyszłaś po to, żeby mnie raz jeszcze nastraszyć, iż chcesz odejść?

— Nigdy cię nie opuszczę, Walterze, ale powiedz mi, dlaczego ukrywałeś przede mną fakt, iż to właśnie ty byłeś moim kochanym towarzyszem zabaw?

— Ponieważ nie wyobrażasz sobie, jak bardzo byłem szczęśliwy, że nosisz moją fotografię na szyjce i bałem się, że jeżeli się zdradzę i jeżeli domyślisz się, czyja to jest podobizna, to przez brawurę, albo chcąc mnie ukarać, przestaniesz nosić medalion.

— O, Walterze, tego nie powinieneś był się obawiać, bo... ale muszę ci wyznać w sekrecie jedną wielką tajemnicę...

— Jaką?

— Miałaś w moim sercu jednego tylko rywala.

— Rywala? A któż to był?

— Był nim chłopczyk z mego medalionu.

ROZDZIAŁ XXVIII

Właściwie nie mara już nic do dodania do tej historii mego małżeństwa, zawartego bądź co bądź w niebanalnych warunkach i okolicznościach.

Życzę moim siostrzycom we Francji, żeby w dniu ich pełnoletności nie spadał im raptem na głowę cudzoziemiec, legalny mąż, którego trzeba zdobyć. Zaręczam, że jest to ciężki orzech do zgryzienia. Gdyby jednak kapryśny los spletał *im* kiedykolwiek takiego figla jak mnie, życzę im, żeby były mniej buńczuczne, bardziej elastyczne i giętkie w stosunku do męża, który im spada z nieba. A poza tym życzę im, żeby ten nieznany mąż, którego los im przeznaczył, był równie udany, jak mój Walter, który okazał się najczulszym z małżonków.

Spotykam teraz dość często mistrza Curnetta. Pewnego dnia zapytałam go, czemu kładł tak wielki nacisk na to, żebym pokochała męża i żebym wzbudziła jego miłość dla mnie.

Moje pytanie zmieszało go początkowo. Odnosiło się bowiem do pewnego wspomnienia, które ciążyło mu czasem na sumieniu.

— Pani przypomina sobie, milady, że rozmówiłem się najpierw w cztery oczy z lordem Andersonem, dopiero potem zadałem pani kilka intymnych pytań, niezbędnych do przeprowadzenia pomyślnie całej sprawy do końca?

Istotnie, naszą rozmowę poprzedziła narada z Walterem.

— Otóż zadałem sobie wiele trudu, żeby go skłonić do uznania w pani osobie legalnej małżonki i namówić go, żeby próbował lojalnie współżyć z panią. Żeby uzyskać jego zgodę, zmuszony byłem użyć pewnego... nieco specjalnego argumentu.

— Jakiego?

— Po pierwsze pani domagała się unieważnienia swego małżeństwa z lordem Andersonem, który się temu stanowczo przeciwstawił. Zwróciłem mu przeto uwagę, że z chwilą, kiedy pani zechce udać się pod opiekę prawa, to ono przyzna pani słuszność, ale ta mała, a przykra historyjka, rozgłoszona przez gazety, okryje go śmiesznością. Dalej dałem mu do zrozumienia, że aby uniemożliwić pani wszelkie kroki prawne, należy panią skłonić, żeby z dobrej woli zgodziła się pani na próbę współżycia pod jednym dachem. W ten sposób uniemożliwiało się pani wyciąganie słusznych zresztą argumentów przeciwko temu małżeństwu, a więc uzurpacji legalnego tytułu żony przez ową awanturnicę, nadużycia pani dobrej wiary i pani nieświadomości etc... etc... Wspólne miejsce zamieszkania z nim w oficjalnej

roli małżonki chroniło go więc radykalnie od wszelkich pani reklamacji.

Ależ to jest paskudne, co pan mi mówi. Przyjmując pańską propozycję, wierzyłam panu i byłam zupełnie szczerą. Nie przyszło mi na myśl, żeście panowie mogli uknuć taki brzydki spisek, którego celem było skompromitować mnie. Nigdy bym nawet nie uwierzyła, że pan, panie Curnett, potrafi być taki podstępny, i to moim kosztem.

— Biję się w piersi, milady. Właśnie dlatego, że chciałem uspokoić własne sumienie, tak bardzo nalegałem na panią, żeby pani zrobiła wszystko, co jest w jej mocy, żeby lord Anderson panią pokochał.

— Teraz rozumiem, dlaczego Walter był taki zły, kiedy zmusił mnie pierwszego wieczoru, żebym mu powtórzyła pana słowa.

Przez chwilę siedziałam zadumana, po czym zauważyłam z rezygnacją:

— Nikt nie jest kowalem własnego losu. Lord Anderson i ja również byliśmy szczerze przeświadczeni, że nigdy nie znajdziemy wspólnego języka i że nic nie zdoła w nas obudzić wzajemnych uczuć. Toteż żadne z nas nie chciało się pierwsze przyznać do tego, że uczucie już w nas jest i żyje, a z drugiej strony buntowaliśmy się, że nasz partner nie zechce się może nigdy przyznać do nurtujących go uczuć.

Wesoły śmiech rozproszył resztę cieni błakających się dookoła wszystkich naszych tragicznych przeżyć przeszłości.

— Przypuszczam, że dlatego dokuczaliśmy sobie tak dobrze, że oboje czuliśmy, że każdy nasz cios trafia właściwie i istotnie rani przeciwnika.

N a koniec dodam, że od paru miesięcy najskrytsze pragnienie starego Johna urzeczywistniło się. Zjawił się mały Walterek i ten mały mężczyzna jest najrozkoszniejszym i najmilszym tyranem, jakiego zdarzyło mi się oglądać. Stary John jest tego samego zdania.

K O N I E C